



***MARGARET MILLAR***



*Taka jak ona*

*Tytuł oryginalny: Beast in view*

Głos był cichy, ale znać było, że osoba po drogiej stronie uśmiecha się.

– Panna Clarvoe?

– Tak.

– Wie pani, kto mówi? .

– Nie.

– Przyjaciółka.

– Mam wiele przyjaciółek – skłamała panna Clarvoe.

W lustrze nad telefonem ujrzała, jak jej wargi, zadowolone z tego kłamstwa, powtarzają je, i jak jej głowa kiwa potakująco – *to kłamstwo to prawda, to bardzo prawdziwe kłamstwo*. Tylko oczy zdawały się nieprzekonane. Mrugnęły zawstydzone i spojrzały gdzieś indziej.

– Dawno się nie widziałyśmy – powiedział głos. – Choć ja widywałam panią w mojej kryształowej kuli.

– W... czym?

– W kryształowej kuli, takiej do spoglądania w przyszłość. W tej, którą mam, pojawiają się wszyscy moi przyjaciele. Dzisiaj zobaczyłam panią.

– Mnie? – Helen Clarvoe znów spojrzała w lustro. Było okrągłe jak kryształowa kula i, niczym stara przyjaciółka, pojawiła się w nim jej własna twarz – znana na wskroś, ale nielubiana. Zbyt wąskie, zaciśnięte usta – sama skóra i kości. Jasnobrązowe włosy, przycięte krótko, po męsku, odsłaniające uszy, które zawsze wydawały się leciutko fioletowe, jakby wciąż marzły. Rzęsy i brwi tak jasne, że okolone nimi oczy zawsze wyglądały na bezbronne i wystraszone. Stara przyjaciółka w kryształowej kuli.

Spytała ostrożnie:

- Przepraszam, a kto mówi?
- Evelyn. Nie pamięta pani? Evelyn Merrick.
- A, tak.
- Już sobie pani przypomniała?

– Tak. – Kolejne kłamstwo, ale to przyszło jej z większą łatwością. Nazwisko to nic jej nie mówiło. Był to tylko dźwięk, nie mogła go wyodrębnić spośród innych i zidentyfikować, tak jak nie można wyodrębnić odgłosów, które wydają poszczególne samochody, pędzące bulwarem trzy piętra pod jej oknami. Fordy, austiny, cadillaki, nawet Evelyn Merrick – wszystkie brzmiały podobnie.

- Panno Clarvoe, jest tam pani?
- Tak.
- Słyszałam, że zmarł pani ojciec.
- Tak.
- Podobno zostawił pani sporo pieniędzy.
- To moja sprawa.
- Pieniądze to wielka odpowiedzialność. Mogłabym pani pomóc.
- Dziękuję, nie potrzebuję pomocy.
- Wkrótce może pani potrzebować.
- Wtedy sama sobie poradzę, nie będę korzystać z rad nieznajomych.
- Nieznajomych? – W głosie słyhać było nutę zniecierpliwienia. –

Mówiłaś, że mnie pamiętasz.

- Po prostu chciałam być grzeczna.
- Grzeczna. Zawsze starasz się być damą, co, Clarvoe? Albo przynajmniej udawać. Ale ty mnie jeszcze popamiętasz. Pewnego dnia zostanę

sławna, moje ciało znajdzie się w każdej galerii w kraju. Każdy będzie mógł mnie podziwiać. Czy już zazdrościsz mi, Clarvoe?

– Myślę, że pani jest... szalona.

– Szalona? O, nie. *Ja* nie jestem szalona. Za to ty, Clarvoe, jesteś. To ty mnie nie pamiętasz. I wiem dlaczego. Bo jesteś zazdrosna, zawsze byłaś o mnie zazdrosna, jesteś tak zazdrosna, że aż wymazałaś mnie z pamięci.

– To nieprawda – głos panny Clarvoe stał się ostry. – Nie znam pani. Nigdy o pani nie słyszałam. Coś się pani pomyliło.

– Ja się nigdy nie mylę. A ty, Clarvoe, potrzebujesz kryształowej kuli, która pomogłaby ci pamiętać o starych przyjaciółach. Może powinnam przysłać ci moją. Wtedy mogłabyś zobaczyć w niej i siebie. Chciałabyś? A może byś się bała. Z ciebie zawsze był taki tchórz, że od mojej kuli pewnie postradałabyś ze strachu zmysły. Mam ją tu obok. Powiedzieć ci, co w niej widzę?

– Nie... proszę przestać!

– Widzę ciebie, Clarvoe.

– Nie!

– Twoja twarz jest tuż przede mną, widzę ją ostro i wyraźnie. Ale coś jest z nią nie tak. A, teraz widzę. Miałaś wypadek. Jesteś pokaleczona. Czoło masz rozcięte, z ust leci ci krew, wszędzie krew, wszędzie krew...

Jednym ruchem ręki panna Clarvoe zmiotła telefon ze stolika. Wyładował bokiem na podłogę, nieuszkodzony, wciąż mający sygnał.

Usiadła sztywno, sparaliżowana ze strachu. W kryształowej kuli lustra jej twarz pozostawała niezmienną, nieokaleczoną. Czoło było gładkie, wargi – zaciśnięte z rezerwy i dezaprobaty, skóra – blada, jakby nie było w niej już ani

kropki krwi. Panna Clarvoe wykrwawiła się dawno temu, krwotok ten był długi, cichy i wewnętrzny.

Gdy poczuła, że szok mija, pochyliła się, żeby podnieść telefon i umieścić go z powrotem na stoliku.

Słyszała, jak telefonistka mówi: – Numer proszę. Tu centrala. Proszę o numer. Pod jaki numer chce pani *zadzwoić*?

Myślała, żeby poprosić o połączenie z policją, tak jak robią to aktorzy, nonszalancko, jakby dzwonili na policję dwa albo trzy razy w tygodniu. Panna Clarvoe jeszcze ani razu nie dzwoniła na policję i nigdy w swoim trzydziestoletnim życiu nie rozmawiała z policjantem. Nie żeby się ich bała, po prostu nie miała dotąd okazji. Nie popełniła żadnego przestępstwa, nie miała nic wspólnego z ludźmi, którzy przestępstwa popełniali, nigdy też nie popełniono przestępstwa wobec niej.

– Numer proszę.

– Czy to... June, to ty?

– Ależ oczywiście, panno Clarvoe. Ojejku, nic pani nie mówiła, to myślałam, że pani zemdląca, czy co.

– Ja nigdy nie mdleję. – Kolejne kłamstwo. Zaczynało to już przeradzać się w nawyk, hobby, jak nisanie paciorków. Naszyjnik z kłamstw. – Która godzina, June?

– Koło dziewiątej trzydzieści.

– Jesteś bardzo zajęta?

– No, jestem praktycznie sama w centrali. Dora ma grypę. A ja staram się właśnie odeprzeć atak choroby.

Smętny ton i lekkie bełkotanie świadczyły o tym, że June odpiera atak grypy sposobem, którego kierownictwo i sama panna Clarvoe nie mogliby pochwalić.

– A kiedy kończysz pracę? – zagadnęła.

– Za jakieś pół godziny.

– Czy mogłabyś zatem... to znaczy... byłabym niezmiernie zobowiązana, gdybyś po pracy zechciała przyjść do mojego apartamentu.

– Panno Clarvoe, czy coś się stało?

– Tak.

– O rety, ja nic nie...

– Więc spodziewam się ciebie po dziesiątej, June.

– No dobrze, ale wciąż nie wiem, co ja...

Panna Clarvoe odłożyła słuchawkę. Wiedziała, jak postępuje się z takimi jak June. Odkłada się słuchawkę. Rozłącza się. Panna Clarvoe nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, że w swoim życiu przerwała zbyt wiele połączeń, odkładała słuchawkę zbyt często, zbyt łatwo, zbyt wielu ludziom. Teraz, w wieku trzydziestu lat, była sama. Telefon już nie dzwonił, a pukanie do drzwi zwiastowało kelnera niosącego kolację, kobietę z salonu, która przysła obciąć jej włosy, albo boya z poranną gazetą. Nie miała już nikogo, z kim mogłaby się rozłączyć – tylko telefonistkę, która pracowała kiedyś w biurze jej ojca, i obłąkaną nieznajomą z kryształową kulą.

Rozłączyła się z nieznajomą, owszem, ale za późno. Do wysłuchania jej pannę Clarvoe zmusiła samotność – nawet przykre słowa są lepsze od braku słów.

Przemierzyła salon i otworzyła drzwi prowadzące na mały balkonik. Było na nim miejsce tylko na jedno krzesło, i tu panna Clarvoe usiadła, wpatrzona w

ruch uliczny pod jej stopami. Bulwar zapchany był samochodami, a ich migoczące światła sprawiały, że zdawał się tętnić życiem. Na chodnikach tłoczyli się ludzie, noc pełna była odgłosów życia. Dźwięki te wydawały się jej obce, jak z innej planety.

Na niebie pojawiła się gwiazda, pierwsza gwiazdka, której można powierzyć jakieś życzenie. Ale nie wypowiedziała żadnego życzenia. Trzy piętra w dół dzielące ją od ludzi na bulwarze były tak samo nieprzebyte, jak nieskończona odległość między Ziemią a tą gwiazdą.

June spóźniła się, bo skorzystała z okrężnej drogi – przez bar i tylne schody, na które wychodziła kuchenka panny Clarvoe. Czasem korzystała z nich sama panna Clarvoe. June często widywała ją, przemykającą tam i z powrotem, jak wychudzona, przerażona zjawa, chcąc uniknąć żywych ludzi.

Drzwi od kuchenki były zamknięte. Panna Clarvoe wszystko zamykała. Po hotelu krążyła plotka, że trzyma w apartamencie olbrzymią ilość gotówki, bo nie ufa bankom. Ale to była tylko plotka, którą zazwyczaj rozpowszechniał ten czy inny boy, który planował akurat jakąś drobną kradzież, bo właśnie spłukał się na wyścigach.

June nie wierzyła tej plotce. Panna Clarvoe wszystko zamykała, bo po prostu była typem osoby, która musi mieć wszystko, cenne czy nie, pod kluczem.

Zapukała do drzwi i czekała, kołysząc się lekko – częściowo z powodu podwójnego martini, a częściowo z powodu walca, dobiegającego z radia na korytarzu. Walce zawsze miały na nią taki wpływ – jej chude ciało, owinięte tanim paletkiem w szkocką kratę, mimowolnie kiwało się w przód i w tył.

Na tle muzyki głos panny Clarvoe wydawał się wyjątkowo ostry: – Kto tam?

June, dla równowagi, oparła się o klamki obu skrzydeł drzwi. – To ja.  
June.

Panna Clarvoe przekręciła klucz w zamku i zdjęła łańcuch. – Spóźniłaś się.

– Musiałam najpierw gdzieś wstąpić.

– Tak, widzę. – Doskonale zdawała sobie sprawę, dokąd i po co June musiała wstąpić, czuć to już było w całej kuchni. – Chodź do pokoju.

– Mogę zostać tylko na chwilę, ciotka będzie się...

– Dlaczego weszłaś tylnymi schodami?

– Cóż, nie wiedziałam, do czego konkretnie jestem pani potrzebna, i pomyślałam sobie, że jeśli w czymś pani uchybiłam, to lepiej, żeby inni mnie nie widzieli i nie zaczęli węszyć.

– W niczym nie uchybiłaś mi, June. Chciałam tylko zadać ci parę pytań.

– Uśmiechnęła się życzliwie. Wiedziała, jak postępuje się z ludźmi takimi jak June. Trzeba się uśmiechać. Nawet w największej agonii niepewności, trzeba się uśmiechać. – Widziałaś już mój apartament, June?

– Nie.

– Nigdy?

– Jakże bym mogła? Nigdy wcześniej mnie pani nie zapraszała na górę, a zaczęłam tu pracować dopiero po pani przeprowadzce.

– Może chciałabyś się rozejrzeć?

– Nie. Nie, dziękuję, panno Clarvoe. Trochę mnie się spieszy.

– Więc napij się czegoś. Masz ochotę na drinka? – Trzeba się uśmiechać. Trzeba ich zachęcać. Częstować drinkami. Trzeba robić wszystko, żeby nie zostać znów sam na sam z telefonem, który może w każdej chwili zadzwonić.



– Mam niezłą sherry. Trzymałam ją na wypadek... na wypadek, gdyby mnie ktoś odwiedził.

– Kieliszeczek sherry chyba mi nie zaszkodzi – łaskawie przyznała June.

– Tym bardziej że grypa mnie bierze.

Panna Clarvoe wprowadziła ją z przedpokoju do salonu. June rozglądała się ciekawie, korzystając z tego, że panna Clarvoe była do niej odwrócona plecami. Ale nie było tu zbyt wiele do oglądania. Wszystkie drzwi pozostawały zamknięte, nie można było domyślić się, co kryją – garderobę, sypialnię czy łazienkę.

Ostatnie prowadziły do salonu. Tu panna Clarvoe spędzała dni i noce, czytając w fotelu pod oknem, leżąc na sofie, pisząc listy przy orzechowym biurku: *Droga Mamo, mam się dobrze... pogoda wspaniała... nadchodzą Święta... pozdrowienia dla Douglasa... Szanowny Panie Blackshear, piszę w sprawie tych stu akcji Atlasu...*

Jej matka mieszkała sześć mil na zachód, w Beverly Hills, a biuro pana Blacksheara znajdowało się na tym samym bulwarze co hotel panny Clarvoe, kilka budynków dalej, ale nie widziała się z nimi już od dawna.

Nalała sherry z karafki stojącej na ławie. – Proszę bardzo, pij, June.

– Ojejku, dziękuję, panno Clarvoe.

– Usiądź, dobrze?

– Dobrze, jasne.

June usiadła w fotelu pod oknem, a panna Clarvoe patrzyła na nią i myślała, jak bardzo dziewczyna ta przypomina ptaka, z tymi swoimi szybkimi, urywanymi ruchami, bystrymi, chciwymi oczkami i kościstymi rączkami. Wróbelek, mimo blond włosów i jaskrawego płaszcza, pijany wróbelek dokarmiany sherry, a nie okruszkami.

I patrząc na June, po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jak wygląda Evelyn Merrick.

Powiedziała ostrożnie: – Godzinę temu, około dziewiętej trzydzieści, otrzymałam telefon. Byłabym bardzo wdzięczna za wszelkie informacje na jego temat.

– Znaczy, skąd do pani dzwoniłono?

– Tak.

– Tego nie mogę wiedzieć, panno Clarvoe. Chyba że to była zamiejskowa. Dzisiaj wieczorem przyjąłem dwie albo trzy zamiejskowe, ale żadna z nich nie była do pani.

– Ale pamiętasz, że łączyłaś się z moim pokojem?

– Nie jestem pewna.

– Przypomnij sobie.

– Jasne, panno Clarvoe, *staram* się sobie przypomnieć, naprawdę się staram. – Skrzywiła twarz w grymasie udawanej koncentracji. – Bo widzi pani, jeśli ktoś dzwoni i prosi pannę Clarvoe, to na pewno to zapamiętam. Ale jeśli prosi tylko, żeby połączyć go z pokojem 425, to już zupełnie inna historia.

– Zatem osoba, która do mnie dzwoniła, znała numer tego apartamentu?

– Chyba tak.

– Dlaczego „chyba”, June?

Dziewczyna zaczęła się wiercić. Jej wzrok wędrował w kierunku drzwi, potem w kierunku panny Clarvoe i znów w kierunku drzwi.

– Nie wiem.

– Powiedziałaś „chyba”.

– Chodziło mi tylko o to, że ja... nie pamiętam, abym łączyła kogoś z numerem 425.

- Twierdzisz, że ja kłamię?
- Och nie, panno Clarvoe! Oczywiście, że nie. Po prostu...
- Tak?
- Nie pamiętam, to wszystko.

Były to ostatnie słowa tego przesłuchania. Nie padły już żadne „dziękuję”, „do widzenia” czy „miło mi było”. Panna Clarvoe wstała i otworzyła drzwi. June wypadła na korytarz. I panna Clarvoe znów została sama.

Ściana dzieląca jej pokój z pokojem sąsiadów aż wibrowała od śmiechu. Przez otwarte drzwi na balkon słychać było głosy.

- Dobryś sobie, George!
- Słuchajcie, ludziska, jak ona pięknie mówi.
- Hej, kto, do cholery, brał otwieracz? .
- A po co Bóg dał ci zęby?
- Bóg dał, Bóg wziął.
- Dolly, gdzie położyłaś ten cholerny otwieracz?
- Nie pamiętam.

*Nie pamiętam, to wszystko...*

Panna Clarvoe usiadła przy swoim orzechowym biurku i chwyciła za wieczne pióro, które wiele lat temu dostała na urodziny od ojca.

Napisała: „Droga Mamo! Dawno nie dostałam od ciebie żadnego listu. Mam nadzieję, że Ty i Douglas sobie wadzicie”.

Zaczęła przyglądać się temu, co napisała, podświadomie czując, że zrobiła jakiś błąd, ale w pierwszej chwili nie dostrzegła go. Wyglądało to tak naturalnie: *Mam nadzieję, że Ty i Douglas sobie wadzicie.*

Chciałam napisać *radzicie*, pomyślała. Zwykła pomyłka, przecież nie mam do niej żalu. To przez ten hałas... nie mogę się skupić... ci okropni ludzie zza ściany...

– Harry, czasem zachowujesz się jak mała.

– Chodźcie wszyscy na banany, Harry głodny!

– Co w tym takiego śmiesznego?

– W ogóle nie masz poczucia humoru! To taki dowcip. Panna Clarvoe zamknęła drzwi balkonowe na klucz.

Może ten telefon to też był dowcip, pomyślała. Ktoś, prawdopodobnie ktoś z pracowników hotelu, chciał ją tylko nastraszyć, bo jest uważana za bogatą i dziwną. Zdawała sobie sprawę, że cechy te przyciągają dowcipnisiów. Przyzwyczała się do tego już dawno, więc skrywane dłonią, tłumione chichoty nie wytrącały jej z równowagi tak, jak w czasach szkolnych.

Dlatego już postanowione. Dziewczyna z kryształową kulą to po prostu kawał. Nie ma żadnej Evelyn Merrick. Lecz nazwisko to zaczynało pobrzmiwać znajomo i panna Clarvoe nie mogła być już dłużej pewna, czy gdzieś go wcześniej nie słyszała.

Zaciągnęła zasłony i wróciła do listu.

„Mam nadzieję, że Ty i Douglas sobie wadzicie”.

Poprawiła „wadzicie” na słowo „radzicie”.

„Mam nadzieję, że Ty i Douglas sobie radzicie. Choć właściwie nie. Nie mam żadnej nadziei. Nic mnie już nie obchodzi”.

Przedarła kartkę na pół i starannie umieściła ją w koszu obok biurka. Właściwie nie miała swojej matce nic do powiedzenia. Nigdy nie miała i nigdy nie będzie miała. Sam pomysł, żeby zapytać ją o radę, szukać u niej

pocieszenia, był absurdalny. Pani Clarvoe nie mogła jej tego zaoferować, nawet jeśli Helen odważyłaby się ją poprosić.

Przyjęcie w pokoju obok wkroczyło w fazę śpiewów: „Koło starego młyna”, „Jesienna pełnia”, „O, Daisy, Daisy”. Czasem na głosy, czasem nie.

Ogarnęła ją fala złości i żalu. Kto im pozwolił urządzać takie hałasy o tej porze? Będzie musiała zastukać w ścianę, a jeśli to nie poskutkuje, sprowadzi tu kierownika hotelu.

Zaczęła wstawać, ale zahaczyła obcasem o poprzeczkę krzesła i upadła, zawadzając głową o kant biurka. Leżała tak bez ruchu, czując w ustach metaliczną słoność krwi, słuchając, jak skronie jej pulsują, a serce wali jak oszalałe.

Po jakimś czasie podniosła się na nogi. Sztywno i ociężale podeszła do lustra wiszącego nad stolikiem z telefonem. Czoło miała lekko podrapane, a z kącika ust, w miejscu gdzie ząb przeciął dolną wargę, sączyła się krew.

*...W mojej kryształowej kuli... Widzę ciebie... Ostro i wyraźnie. Miałaś wypadek. Czoło masz rozcięte, z ust leci ci krew...*

Wargi panny Clarvoe chciały krzyknąć po pomoc. Pomóżcie mi! Ratunku, mamó... Douglasie... panie Blackshear...

Ale nie dobył się z nich żaden krzyk. Uwiązł jej w gardle i przełknęła go, tak jak przełknęła już wiele innych krzyków.

Nic mi się nie stało. Muszę zachowywać się rozsądnie. Ojciec zawsze z dumą opowiadał wszystkim, jaka to jestem rozsądna. Dlatego nie mogę histeryzować. Muszę pomyśleć, jak w tej sytuacji zachowałaby się osoba rozsądna.

Podeszła z powrotem do biurka, wzięła pióro i nową kartkę.

Szanowny Panie!

Zapewne przypomina Pan sobie, że na pogrzebie mojego ojca powiedział Pan, że w razie potrzeby jest Pan gotów służyć mi wszelką radą i pomocą. Nie wiem, czy był to frazes, który mówi się każdej osobie w żałobie, czy też naprawdę chciał mi Pan pomóc. Mam nadzieję, że to ta druga ewentualność, gdyż, jak Pan się już chyba domyśla, zaistniała właśnie taka potrzeba. Wydaje mi się, że padłam ofiarą osoby obłąkanej...

TCLLR

## 2

...Czuję się niezręcznie, zwierając się z tych obrzydliwych szczegółów. Staram się nie obarczać nikogo moimi problemami, ale zawsze służył Pan fachową radą mojemu zmarłemu ojcu, toteż i ja chciałabym z niej skorzystać w opisanej przeze mnie sprawie.

Byłabym niezmiernie zobowiązana, gdyby po przeczytaniu tego listu zatelefonował Pan do mnie i podzielił się swymi sugestiami.

Oczywiście zamierzam wyrazić moją wdzięczność w formie bardziej namacalnej niż słowa.

Pozostaję z szacunkiem,

Helen Clarvoe

List ten dostarczono do biura pana Blacksheara, a później do jego mieszkania na Los Feliz, bo tego dnia adresat wyszedł do domu wcześniej. Nie pojawiał się w biurze tak regularnie jak dawniej. W wieku lat pięćdziesięciu Blackshear zaczynał stopniowo i elegancko przechodzić na emeryturę. Po części dlatego, że mógł sobie na to pozwolić, ale głównie dlatego, że zaczynała doskwierać mu nuda. Dopadła go niczym zbyt wczesna zima: sprawy zaczęły się powtarzać, nowe sytuacje przypominały mu te stare, ludzie, których poznawał, niczym nie różnili się od tych, których znał od dawna. Nic już nie było nowe.

Lato minęło. Nastąpiła zima nudy, a w umyśle Blacksheara niepodzielnie zapanował mróz. Żona mu zmarła, obaj synowie pożenili się i mieli własne życie, grono przyjaciół ograniczyło się do znajomych z branży, z którymi spotykał się na lunch w Scandii, Brown Derby albo Roosvelcie. Kolacje i wieczorne przyjęcia zdarzały się rzadko, bo Blackshear musiał wstawać na

długo przed świtem, żeby zdążyć do biura na szóstą, kiedy to otwierano nowojorską giełdę.

Jeszcze przed końcem popołudnia czuł się zmęczony i rozdrażniony, a gdy otrzymał list od panny Clarvoe, nawet nie miał ochoty go otwierać. Znał Helen Clarvoe od lat, poprzez jej ojca, który był jednym z jego klientów. Jej rezerwa i ograniczone horyzonty przygnębiały go. Nigdy nie myślał o niej jako o kobiecie. Była po prostu panną Clarvoe, miał całe tuziny klientek takich jak ona – samotnych, bogatych dam, pragnących jeszcze większych bogactw, które umożliwiłyby im zrzucenie klątwy samotności.

– Przeklęta baba – powiedział na głos. – Przeklęte nieciekawe baby.

List jednak otworzył, bo na kopercie ujrzał napis „Poufne, Bardzo Ważne”, wykaligrafowany tak starannie, że od razu widać było, że panna Clarvoe chodziła do szkoły prywatnej.

...Aby nie pomyślał Pan, że przesadzam, spieszę z zapewnieniem, że podałam Panu dosłowną treść rozmowy telefonicznej oraz następującej po niej konwersacji z telefonistką, June Sullivan. Z pewnością zdaje Pan sobie sprawę, jak wielki szok przeżyłam i jak bardzo nurtuje mnie ta historia. W ciągu całego życia nikogo nie skrzywdziłam, w każdym razie nie umyślnie, dlatego też jestem głęboko wstrząśnięta, że ktoś żywi do mnie urazę...

Po przeczytaniu listu zadzwonił do panny Clarvoe, do hotelu. Kierowała nim bardziej ciekawość niż faktyczna chęć pomocy, bo panna Clarvoe nie była kobietą, która przyjąłaby zaoferowaną pomoc. Jediną osobą, z którą i dla której żyła, była sama panna Clarvoe, odgradzona od świata murem pieniędzy i kratami własnego egotyzmu.

– Panna Clarvoe?

– Tak.



- Mówi Paul Blackshear.
- Och. – Nie było to słowo, ale głębokie westchnienie ulgi.
- Kilka minut temu dostałem pani list.
- Tak. Ja... dziękuję, że pan dzwoni.

Brzmiało to bardziej jak koniec niż początek rozmowy. Poirytowany jej powściągliwością, powiedział: – Prosiła mnie pani o radę, panno Clarvoe.

– Tak. Wiem.

– Nie mam zbyt dużego doświadczenia w tego typu sprawach, ale stanowczo zalecam...

– Proszę – wyrzuciła z siebie. – Proszę nic nie mówić.

– Ale prosiła mnie pani...

– Ktoś może to usłyszeć.

– Mam prywatną linię.

– Ale ja, niestety, nie.

Pewnie chodzi jej o tę dziewczynę, June Sullivan, pomyślał. O ile nie jest zajęta, na pewno podsłuchuje – panna Clarvoe prawdopodobnie zraziła ją do siebie albo przynajmniej wzbudziła jej ciekawość.

– Zaszły nowe okoliczności. – W jej głosie słychać było rezerwę.

– Mogę o nich mówić tylko w cztery oczy.

– Rozumiem.

– Wiem, jak jest pan zajęty, i naprawdę nie chciałabym się narzucać, ale... cóż, muszę, panie Blackshear. Po prostu *muszę*.

– Proszę kontynuować. – Zza muru z pieniędzy, zza żelaznej kraty, dobiegło go wołanie dziewicy w niebezpieczeństwie. Panna Clarvoe, niechętnie i niezręcznie, ale błagała o pomoc. Blackshear skrzywił się, bo

raptem ujrzał siebie w roli równie niechętnego śmiałka, który ma ją ocalić: zmęczony, obojętny, łysiejący rycerz w tweedowej zbroi.

– Co mogę dla pani zrobić, panno Clarvoe?

– Gdyby przyjechał pan do mnie do hotelu, moglibyśmy porozmawiać... prywatnie.

– Wydaje mi się, że w moim mieszkaniu mielibyśmy więcej prywatności.

– Nie. Ja... boję się wyjść.

– Dobrze. Więc o której mam przyjechać?

– Jak najszybciej.

– Dobrze, to wkrótce się zobaczymy, panno Clarvoe.

– Dziękuję. Bardzo panu dziękuję. Naprawdę, nie mogę wyrazić, jak bardzo jestem...

– Więc proszę tego nie robić. Do zobaczenia.

Szybko odłożył słuchawkę. Strumień wdzięczności panny Clarvoe płynący ze słuchawki nie podobał mu się. Ostre, fałszywie brzmiące dźwięki były jak drobniaki wysypujące się z jednorękiego bandyty. Cała pula emocji panny Clarvoe – *bardzo panu dziękuję*.

Co za okropna kobieta, zupełnie pozbawiona gracji, pomyślał. Ciuła jak ostatnia sknera, a wydaje tylko na to, co pozwala jej utrzymywać się przy życiu.

Często komunikowali się listownie, ale nie widział jej od zeszłego roku, od dnia pogrzebu jej ojca. Wysoka i blada, stała z dala od pozostałych żałobników. Nie płakała, a jedynym uczuciem, jakie rysowało się momentami na jej twarzy, była dezaprobata, przejawiająca się w krzywych spojrzeniach rzuconych zapłakanej wdowie, Vernie Clarvoe, opartej na ramieniu syna,

Douglasa. Im więcej łez roniła jej matka, tym sztywniejsza stawała się Helen Clarvoe i tym bardziej zaciskały się jej wargi.

Po ceremonii Blackshear, świadom jej niemego cierpienia, podszedł do panny Clarvoe.

- Tak mi przykro, Helen. Odwróciła twarz.
- Tak. Mnie też.
- Wiem, że ty i twój ojciec byliście sobie bliscy.
- To niezupełnie prawda.
- Jak to?
- On był mi bliski, a ja jemu nie, panie Blackshear...

Ostatni raz widział ją, jak sztywno wsiada do długiego, czarnego cadillaka, którym wieziono głównych złobników: panią Clarvoe, Helen i Douglasa. Dziwne z nich było trio.

Tydzień później otrzymał od niej list informujący, że przeniosła się na stałe do hotelu Monica i chciałyby, aby prowadził jej interesy.

Hotel ten był ostatnim miejscem na świecie, w którym spodziewałby się ją zastać. Był to niewielki hotelik położony w samym sercu Hollywood, przy ruchliwym bulwarze. Jego klientelę stanowiły nie ciche, samotne kobiety w rodzaju panny Clarvoe, ale podróżni, którzy zostawali w nim na noc czy dwie, a potem ruszali dalej; kierownicy niższego szczebla z żonami, łączący interesy z wypoczynkiem; sprzedawcy, z walizkami pełnymi próbek swoich towarów; pracownicy reklamy, szukający nowych klientów; dyskretne panie, których usługi można było zamówić za pośrednictwem boya hotelowego; oraz turyści, zwiedzający studia filmowe i biorący udział w widowiskach telewizyjnych. Ludzie, których panna Clarvoe zazwyczaj nie cierpiała i unikała. Jednak

postanowiła zamieszkać właśnie w ich towarzystwie, jak przybyszka z obcej planety.

Blackshear zostawił samochód na parkingu, przeszedł przez ulicę i wkroczył do hotelu Monica.

Recepcjonista, nazwiskiem G. O. Horner, jak głosiła jego plakietka, był chudym, starszym mężczyzną z wyłupiastymi oczami, które sprawiały, że wyglądał na niezmiernie ciekawskiego. Wrażenie to było jednak mylne. Po trzydziestu latach w tym zawodzie ludzie znaczyli dla niego tyle, co pojedyncze pszczoły dla pszczelarza. Różnice między nimi zacierały się w gąszczu statystyk, ginęły pod naporem liczb. Przychodzili i wychodzili; jedli i pili; byli szczęśliwi, smutni, chudzi, grubi; kradli ręczniki i zostawiali szczoteczki do zębów, książki, pasy do pończoch; wypalali dziury w meblach poślizgiwali się w wannach, wyskakiwali z okien. Wszyscy, krążąc wokół ula, byli tacy sami, a pan Horner bronił się przed nimi ochronną siatką obojętności.

Znaczenie miało tylko to, czy na czas płać rachunki. Blackshear wyglądał na wypłacalnego, otrzymał więc uśmiech.

- Co mogę dla pana zrobić, sir?
- Czeka na mnie panna Clarvoe.
- Pańska godność?
- Paul Blackshear.
- Proszę chwileczkę poczekać, sir, sprawdzę.

Horner podszedł do centrali telefonicznej, cicho i ostrożnie, jakby obawiał się, że któryś z jego starych wrogów porozkładał na podłodze pinezki. Chwilę rozmawiał z dyżurną telefonistką, prawie nie poruszając wargami. Dziewczyna z zaciekawieniem spojrzała na Blacksheara przez ramię, przyszło

mu na myśl, że może to właśnie jest June Sullivan, o której panna Clarvoe wspomniała w liście.

Też na nią spojrzął. Wychudzona blondynka, o trzęsących się dłoniach i bladej, wymizerowanej twarzyczce – wyglądała, jakby czarne pijawki słuchawek wyssały z niej za dużo krwi.

Horner pochylił się nad nią, a dziewczyna odsunęła się najdalej jak mogła i zaczęła ziewać. Ziewnęła trzy czy cztery razy, oczy zaszły jej łzami, na górnych powiekach pojawiło się zaczerwienienie. Nie można było określić jej wieku. Mogła to być zarówno niedożywiona dwudziestka, jak i nierozkwitła czterdziestka.

Horner wrócił, jego palce nerwowo skubały klapy czarnej marynarki. – Panna Clarvoe nie zostawiła tu żadnej wiadomości, sir, i nie odbiera telefonów.

– Wiem, że na mnie czeka.

– Och, z pewnością, sir, nie chciałem pana obrazić, zapewniam pana. Panna Clarvoe często nie odbiera telefonów. Nosi zatyczki do uszu. Hałasy ulicy zmuszają wielu naszych gości do noszenia...

– Jaki numer ma jej apartament?

– Czteryście dwadzieścia pięć.

– Pójdę do niej.

– Oczywiście, sir. Windy są po pańskiej prawej.

Idąc do windy, Blackshear znowu zerknął w stronę pulpitu recepcjonisty i stwierdził, że Horner wciąż mu się przygląda. Na moment podniósł swą ochronną siatkę obojętności i gapił się, jak taka staruszka podglądająca sąsiadów zza firanki.

Blackshear zniknął w windzie, a pan Horner znowu przywdział siatkę obojętności i pozwolił, aby jego myśli znów skryły się za firanką: *ten garnitur*

*musiał go kosztować ze sto pięćdziesiąt dolarów... ci naciągacze zawsze starają się sprawiać dobre wrażenie... ciekawe, jak ją okręci i za ile...*

Panna Clarvoe musiała chyba czekać na niego pod drzwiami. Otworzyły się w tym samym momencie, gdy Blackshear zapukał. Panna Clarvoe wyszeptała pospiesznie: – Proszę wejść.

Natychmiast zamknęła za nim drzwi i przez kilka chwil wpatrywali się w siebie w milczeniu, stojąc bez ruchu nad dzielącą ich przepaścią czasu. Panna Clarvoe wyciągnęła w końcu rękę, a Blackshear uścisnął ją.

Jej skóra przypominała w dotyku pergamin – była chłodna, sucha i sztywna. Nie był to uścisk przyjacielski, nie wyczuwało się w nim nawet zainteresowania. Witania się przez podanie ręki, bo wychowano ją w przekonaniu, że świadczy to o grzeczności. Blackshear wyczuł, że nie lubi być dotykana. Była tak zamknięta w sobie, że dotyk wytrącał ją z równowagi. Zamknięta w sobie, ale zawsze podglądająca przez dziurkę od klucza, pomyślał.

Dzień był ciepły jak na listopad, więc Blackshear miał ręce wilgotne od potu. Nie bez złośliwości uzmysłowił sobie, że część tej wilgoci musiała znaleźć się i na jej dłoni.

Czekał, aż panna Clarvoe ukradkowo, nawet nieświadomie, wytrze sobie rękę, ale nie zrobiła tego. Zrobiła jedynie krok do tyłu i zarumieniła się.

– To bardzo miłe, że dla mnie zadał pan sobie tyle kłopotu, panie Blackshear.

– To nie żaden kłopot.

– Proszę spocząć. Ten fotel jest bardzo wygodny.

Usiadł. Fotel był faktycznie wygodny, ale trudno było nie zauważyć, że, podobnie jak pozostałe meble, wydawał się tani i niestarannie wykonany.

Przypomni sobie rezydencj rodziny Clarvoe w Beverly Hills; rcznie rzezbione krzesa i ogromny salon, z dywanem utkanym specjalnie pod kolor Gauguina nad kominkiem. Po raz kolejny zastanowio go, dlaczego panna Clarvoe wyjechaa tak nagle i odizolowaa sie od swiata w malutkim apartamencie drugorzdnego hotelu.

– Nic sie nie zmieniaas – skama z grzecznoci.

Przesza go wzrokiem.

– Czy mia to by komplement, panie Blackshear?

– Tak, oczywicie.

– Dla mnie usysze, e sie nie zmieniaam, to nie komplement. Bo chciaabym sie zmieni.

Diabli niech wezm t bab, pomya. Wobec niej nie mona pozwoli sobie nawet na grzeczno. Nie bya zdolna przyj komplementu czy jakiegokolwiek prezentu; zdaway sie parzy ja jak zapalone strzay, musiaa wiec wyrywa je i, wci ponce, posya z powrotem, z bezwzgdna celnoci.

Spyta chodno:

– Jak miewa sie twoja matka?

– Cakiem dobrze, z tego co mi wiadomo.

– A Douglas?

– Douglas jest jak ja, panie Blackshear. Te nic sie nie zmieni.

Niestety.

Podesza do orzechowego biurka. Nic nie swiadczyo o tym, e panna Clarvoe speda przy nim cae godziny. Nie byo na nim adnych walajcych sie listw czy dokumentw, na podkadce do pisania nie mona byo dostrzec adnych plam z atramentu. Panna Clarvoe nie zostawiaa niczego na wierzchu.

Swoje rzeczy trzymała w szufladach, w schowkach, w porządnym metalowym segregatorach. Cały przebieg jej życia był zamknięty pod kluczem – liściki od Douglasa, w których prosił o pieniądze; wyciągi z banku i anulowane czeki; listy od matki, pachnące gardeniami; wycinki z gazet dotyczące jej ojca; tłoczone zaproszenie na ślub, naddarte w połowie; buteleczka tabletek nasennych; smycz i szelki dla psa, wraz ze srebrną plakietką, na której widniało imię Dapper; fotografia chudej, niezdarnej dziewczyny w stroju baletowym oraz plik banknotów, spięty złotą klamerką.

Panna Clarvoe wzięła ten plik i podała go Blackshearowi.

– Proszę przeliczyć, panie Blackshear.

– Po co?

– Mogłam się pomylić. Czasem jestem... podenerwowana i nie mogę się odpowiednio skoncentrować.

Blackshear przeliczył pieniądze.

– Sto dziewięćdziesiąt sześć dolarów.

– Więc nie pomyliłam się.

– Nie rozumiem.

– Ktoś mnie okrada, panie Blackshear. Może systematycznie, przez kilka tygodni, może zrobił to tylko raz, nie wiem. Ale wiem, że w tym pliku powinno być prawie tysiąc dolarów.

– Kiedy odkryłaś, że ich nie ma?

– Dzisiaj rano. Obudziłam się, jak jeszcze było ciemno. Słyszałam, że ktoś kłóci się na korytarzu, mężczyzna i kobieta. Głos tej kobiety przypominał głos dziewczyny, która do mnie dzwoniła, Evelyn Merrick, i... cóż, wyprowadziło mnie to z równowagi. Już nie mogłam zasnąć. Zaczęłam myśleć



o niej i o tym, kiedy... czy ona znowu się do mnie zgłosi i czego tak właściwie ode mnie chce. Jedyne co mam, to pieniądze.

Zamilkła, jakby chciała dać mu szansę na zaprzeczenie lub przytaknięcie. Blackshear nic nie mówił. Wiedział, że panna Clarvoe nie ma racji, ale nie sądził, aby oznajmiając to, mógł coś osiągnąć: miała jeszcze coś oprócz pieniędzy, co mogło zainteresować kobietę taką jak Evelyn Merrick – łatwo było ją skrzywdzić.

Cicho podjęła swoją opowieść. – Wstałam, wzięłam tabletkę i wróciłam do łóżka. Śniła mi się ona, Evelyn Merrick. Przyśniło mi się, że ma klucz do mojego apartamentu i wchodzi tu sobie bezczelnie, jak na swoje. Miała jasne włosy, wyglądała ordynarnie, była wymalowana jak ulicznica; cały czas widzę ją tak wyraźnie. Podeszła do biurka i wzięła moje pieniądze. Wszystkie. – Panna Clarvoe przerwała i zaczęła usilnie wpatrywać się w Blacksheara. – Wiem, że takie sny nic nie znaczą, poza tym że byłam wyprowadzona z równowagi i przestraszona, ale jak tylko się obudziłam, otworzyłam biurko i przeliczyłam pieniądze.

– Rozumiem.

– Opowiedziałam panu o tym śnie, bo chciałam pana przekonać, że miałam *powód* do liczenia pieniędzy. Zazwyczaj tego nie robię. Nie jestem jakąś sknerą, która musi spędzać godziny nad uciulanymi górami złota.

Ale w jej głosie słychać było wyzwanie, zupełnie jakby ktoś kiedyś oskarżył ją już o skapstwo.

– A dlaczego w ogóle trzymasz tyle gotówki w pokoju?

– Jest mi potrzebna.

– Do czego?

– Na... cóż... napiwki, ubrania, takie rzeczy.

Blackshear nawet nie zadał sobie trudu wykazania, że tysiąc dolarów może pokryć naprawdę dużo napiwków, a czarna, dżersejowa sukienka panny Clarvoe świadczy o tym, że zakupy robi rzadko i raczej skromnie.

Cisza rozciągała się jak rolka taśmy filmowej, wydawało się wręcz, że nie ma już sensu jej przerywać.

– Lubię mieć pieniądze pod ręką – powiedziała w końcu. – Daje mi to poczucie bezpieczeństwa.

– A powinno być odwrotnie.

– Dlaczego?

– Stajesz się łatwym celem.

– Myśli pan, że właśnie tego Evelyn Merrick chce ode mnie? Po prostu pieniędzy?

Po nacisku, jaki położyła na słowa „po prostu”, zorientował się, że panna Clarvoe też podejrzewa, że może chodzić o coś innego.

– Możliwe – powiedział. – Wygląda mi to na próbę wyłudzenia. Możliwe, że ta kobieta chce cię nastraszyć i zamęczać, dopóki jej nie ulegniesz i nie zapłacisz, żeby mieć nareszcie spokój. Możliwe też, że już więcej się do ciebie nie zwróci.

Panna Clarvoe odwróciła się z westchnieniem, w którym dało się słyszeć desperację. – Boję się. Czasami boję się nawet podnieść słuchawkę.

Mina Blacksheara była poważna. – Helen, czy ty czegoś mi nie mówisz?

– Nie. Wszystko, co usłyszałam, napisałam w liście do pana. To... to jakaś wariatka, prawda, panie Blackshear?

– Trochę niezrównowazona, zapewne. Ale ja nie jestem specjalistą od tego. Zajmuję się akcjami i obligacjami, a nie psychozami.

– Więc nie ma pan dla mnie żadnej rady?

– Myślę, że dobrym pomysłem byłby wyjazd. Najlepiej na jakiś czas opuść miasto. Udaj się w jakąś podróż. Wyjedź gdzieś, gdzie ta kobieta cię nie znajdzie.

– Nie mam dokąd pojechać.

– Cały świat stoi przed tobą otworem – rzucił niecierpliwie.

– Nie... nie. – Świat jest dla par, dla kochanków, mężów i żon, matek i córek, ojców i synów. Dla panny Clarvoe cały świat, aż po horyzont, wypełniony był parami, takimi jak jej matka i ojciec, a teraz – matka i Douglas. Widok ten skuwał lodem jej serce.

– Do Anglii – mówił Blackshear. – Albo Szwajcarii. Słyszałem, że St Moritz zimą aż tętni życiem.

– Ale co ja bym robiła w takim miejscu?

– A co robią inni?

– Naprawdę nie wiem – oznajmiła poważnie. – Straciłam rozeznanie.

– Więc musisz je odzyskać.

– Jak można odzyskać coś, co się straciło? Czy pan coś kiedyś stracił, panie Blackshear?

– Tak. – Pomyślał o żonie i o swoich niekończących się, niemych modlitwach, gdy umierała. O targach z Bogiem: weź moje oczy, ręce, nogi, weź wszystko, ale nie odbieraj mi Dorothy.

– Przepraszam – powiedziała panna Clarvoe. – Nie zdawałam sobie sprawy... zapomniałam...

Blackshear zapalił papierosa. Ręce trzęsły mu się ze złości, wspomnienia żalu i przyływu gwałtownej nienawiści dla tej obcesowej, niezręcznej kobiety, której nic nie wychodziło, której nie zależało na nikim, której nie stać było na żaden bezinteresowny gest, nawet wobec psa.

– Prosiłaś mnie o radę – stwierdził beznamiętnie. – Dobrze. Sprawę zaginięcia pieniędzy będziesz musiała zgłosić na policję. To twój obywatelski obowiązek, czy ci się to podoba, czy nie.

– Obowiązek. – Powtórzyła wolno, jakby słowo to miało smak, który trzeba zanalizować, ostry posmak przeszłości, posmak oleju rycynowego, algebry, przelitych łez, obgryzanych skórek i atramentu z ciekących piór. Panna Clarvoe była smakoszką. Mogła odseparować i zidentyfikować każdy smak, nawet jeśli z upływem czasu zaczął przyćmiewać go smród stęchlizny.

– Jeśli chodzi o tę kobietę, Evelyn Merrick, usłyszałaś już moją sugestię. Zrób sobie wolne. Jest na świecie gatunek niezrównoważonych ludzi, którym uciechę sprawiają anonimowe telefony do osób, których nie znają lub które znają słabo.

– Przedstawiła mi się. To nie był anonimowy telefon.

– Był, z twojego punktu widzenia. Nie znasz jej. Nigdy o niej nie słyszałaś, czy tak?

– Chyba tak. Nie jestem pewna.

– A czy zazwyczaj dobrze pamiętasz ludzi? Nazwiska, twarze, rozmowy z nimi?

– O tak. – Panna Clarvoe pokiwała głową z gorzką satysfakcją.

– Pamiętam.

Blackshear wstał i spojrzał przez okno na ruch uliczny w dole. Po południowe godziny szczytu, wszyscy spieszyli do domów, we wszystkich kierunkach – do dzielnic Westwood i Tarzana, do Redondo Beach i Glendale, do Escondido i Huntington Park, do Sherman Oaks i Lynwood. Wyglądało to tak, jakby zarządzono ekspresową ewakuację Hollywood, ale do nadzorowania

jej przydzielono samotnego policjanta, wyposażonego jedynie w metalowy gwizdek.

Blackshear rzucił przez ramię:

– Nie jesteś zbyt dobra w przyjmowaniu rad.

– To, co pan sugeruje, graniczy z niemożliwością. Nie mogę wyjechać teraz z Los Angeles, z przyczyn osobistych. Chodzi o moją rodzinę – dodała wymijająco.

– Rozumiem. Cóż, chciałbym ci pomóc, ale obawiam się, że niewiele mogę zrobić.

– Może pan.

– Cóż takiego?

– Odnaleźć ją.

Odwrócił się, marszcząc czoło:

– Po co?

– Chciałabym... muszę ją zobaczyć, porozmawiać z nią. Muszę wyzbyć się tej... niepewności.

– A może ta niepewność tkwi w tobie samej, Helen. Odszukanie jakiejś nieznaney ci osoby nic tu wtedy nie zdziała.

Autokratycznym gestem podniosła rękę, jakby chciała go uciszyć. Ale prawie natychmiast znowu ją opuściła i oświadczyła: – Może nie. Ale mógłby pan przynajmniej spróbować.

– Jedynym punktem wyjścia jest jej nazwisko.

– Nie. Mamy więcej informacji. Pamięta pan, powiedziała, że kiedyś zostanie sławna, że jej... jej ciało będzie w każdej galerii w kraju. To na pewno oznacza, że pozuje jakimś artystom, że jest modelką.

– Modelka jest w tym mieście na pęczki.

- Ale jest już od czego zacząć. Są przecież te agencje modelek?
- Niby tak.
- Jakby tam spróbować. Zapłacę panu, oczywiście. Zapłacę...
- Zapominasz o jednym.
- O czym?
- Ja nie jestem na sprzedaż.

Milczała przez moment. – Uraziłam pana, wspominając o pieniądzach? Przepraszam. Kiedy proponuję komuś zapłatę, nie chcę go tym obrazić. To po prostu jedyne, co mam do zaoferowania.

- Masz o sobie bardzo niskie mniemanie, Helen.
- Nie urodziłam się z nim.
- Więc skąd ono pochodzi?
- To długa i nudna historia – ucięła.

– Rozumiem. – Ale nie rozumiał. Pamiętał jej ojca, wysokiego, chudego i wyciszonego, i jego głębokie uczucie dla swojej zabawnej, frywolnej żoneczki, Verny. Nie mógł pojąć, jakie złąkane chromosomy albo domowe konflikty mogły przyczynić się do powstania tak osobliwej pary dzieci jak Helen i Douglas. Nigdy nie był blisko związany z tą rodziną, choć znał ich jeszcze z czasów, gdy Helen była w college'u, a Douglas chodził do szkoły wojskowej. Zapraszano go czasami na kolacje, a rozmowy przy stole, których ster trzymała Verna Clarvoe, toczyły się wokół trzech tematów: ja, mnie, moje. Żadne z dzieci nie miało wiele do powiedzenia albo jeśli miało, to zostało poinstruowane, żeby siedzieć cicho. Zachowywały się jak pokazowi więźniowie zaproszeni do stołu naczelnika więzienia. Douglas był blady i delikatny jak na swój wiek, a Helen wyglądała niczym karykatura ojca – krótko przystrzyżone, czarne włosy i kościste kończyny.

Niedługo po śmierci starego Clarvoe, Blackshear ze zdziwieniem przeczytał w porannej gazecie, że Douglas się ożenił. Z o wiele mniejszym zdziwieniem potraktował notkę o unieważnieniu małżeństwa, która kilka tygodni później pojawiła się w dziale prawnym.

– Wiem, co pan myśli – powiedziała panna Clarvoe. – Myśli pan, że powinnam wynająć doświadczonego detektywa.

O niczym takim nie myślał, ale nie zaprzeczył. – Wydaje się to dobrym pomysłem.

– Zna pan kogoś takiego?

– Nie z głowy. Musiałbym sprawdzić w książce telefonicznej.

– Nie mogłabym zaufać komuś obcemu. Nie ufam nawet... – zamknęła usta, ale jej oczy dokończyły zdanie: Nie ufam nawet panu. Ani Douglasowi, ani matce. Nie ufam nawet sobie samej.

W końcu odezwała się. – Panie Blackshear, ja...

Nagle jej ciałem wstrząsnęły konwulsje, zaczęła więc się jak rodząca kobieta, a twarz jej wykrzywił grymas, zupełnie jakby wiedziała, że dziecko, które wyda na świat, będzie zdeformowanym potworem.

– Panie Blackshear... ja... o Boże...

Odwróciła się, przycisnęła czoło do ściany, a twarz ukryła w dłoniach. Blackshear poczuł dla niej falę współczucia, nie z powodu łez, ale z powodu wysiłku, jaki ją te łzy kosztowały. *Góra urodziła mysz.*

– No, już, nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Uspokój się. – Były to słowa, które nauczył się mówić żonie, Dorothy, gdy ta płakała. Słowa te same w sobie nic nie znaczyły, ale zaspokajały jej potrzebę bycia w centrum uwagi, bycia pocieszaną. Potrzeby panny Clarvoe były jednak głębsze i mniej jasne. Słowa nie były w stanie do niej dotrzeć.

Blackshear zapalił kolejnego papierosa, odwrócił się do okna i zaczął udawać zainteresowanie widokiem – ciemniejącym niebem, wąskim pasmem chmur. *Jutro może padać. Jeśli będzie padać, nie pójdę do biura, może lekarz miał rację, może powinienem już całkowicie przejść na emeryturę, ale co będą robił z dniami i co one zrobią ze mną?*

Uderzyła go nagła myśl, że jest w tak samo podłej sytuacji jak panna Clarvoe. Oboje osiągnęli już plateau życia, otoczone z jednej strony górami, z drugiej – głębokimi przepaściami. Blackshear wspinał się już kiedyś na te góry i zgłębił przepaście, a panna Clarvoe nie zrobiła ani jednego, ani drugiego, ale i tak znaleźli się na tym samym plateau.

– Helen... – odwrócił się i spostrzegł, że nie ma jej w pokoju. Gdy wróciła kilka minut później, miała już umytą twarz i przyczesane włosy.

– Proszę mi wybaczyć, panie Blackshear. Rzadko robię z siebie takie widowisko. – Uśmiechnęła się cierpko. – W każdym razie nie aż tak *potworne* widowisko.

– Przepraszam, że cię zdenerwowałem.

– Nie zdenerwował mnie pan. To za sprawą... czegoś innego. Chyba jestem strasznym tchórzem.

– Czego się boisz – złodzieja czy tej kobiety?

– Myślę, że to jedna i ta sama osoba.

– Może traktujesz ten sen zbyt dosłownie?

– Nie. – Zaczęła nieświadomie pocierać czoło, Blackshear zauważył na nim niewielkie zadrapanie, już zagojone. – Czy wierzy pan w to, że jakaś osoba może wpłynąć na inną... tak, że ta druga pada ofiarą wypadku?



– Wydaje mi się, że jest to możliwe, jeśli ta pierwsza osoba ma silny dar przekonywania, a u tej drugiej dojdzie jeszcze do głosu silna potrzeba samoukarania się.

– Istnieją przypadki, których nie da się wytłumaczyć samą psychologią.

– Pewnie tak.

– A wierzy pan w postrzeganie pozazmysłowe?

– Nie.

– Ale mimo to ono istnieje.

– Może.

– Czuję... czuję bardzo mocno, że ta kobieta chce mnie zniszczyć. *Wiem to.* Może pan to nazwać intuicją.

– A ty możesz to nazwać strachem – uciął Blackshear.

Spojrzała na niego ze smutkiem. – Jest pan dokładnie jak mój ojciec. Nic dla pana nie istnieje, o ile nie może pan tego dotknąć, zobaczyć albo powąchać. Ojciec w ogóle nie miał słuchu muzycznego, przez całe życie nie mógł uwierzyć, że istnieje coś takiego jak muzyka. Zawsze myślał, że ludzie, którzy słuchają muzyki, udają, że słyszą coś, czego tak naprawdę nie ma.

– Nie jest to zbyt dobra analogia.

– A może jest lepsza, niż się panu wydaje... Cóż, nie będę już pana zatrzymywać. Doceniam, że poświęcił mi pan swój czas i przyszedł się ze mną spotkać. Wiem, jaki jest pan zajęty.

– Wcale nie jestem zajęty. Właściwie przeszedłem już na emeryturę.

– Och, nie wiedziałam. Cóż, w takim razie życzę panu miłego wypoczynku.

– Dziękuję. – Co zrobisz z tymi dniami, zadawał sobie pytanie. Zacznie zbierać znaczki, hodować róże, chodzić do kina na dwa seanse pod rząd,

drzemać w słońcu na werandzie, a jeśli zacznie ci doskwierać samotność, pójdiesz pogawędzić ze staruszkami przesiadującymi na ławkach w parku. – Nigdy nie miałem zbyt wiele sposobności do wypoczywania. Będę się musiał przyzwyczaić.

– Tak – powiedziała łagodnie. – Obawiam się, że tak. Przeszła przez pokój i otworzyła drzwi. Blackshear, po chwili wahania, podążył za nią.

Znów uścisnęli sobie dłonie, a Blackshear zagaił: – Nie zapomnisz zgłosić tej kradzieży na policję?

– Nie zapomnę tego zrobić, panie Blackshear. Ja po prostu tego nie *zrobię*.

– Ale dlaczego?

– Same pieniądze nie mają dla mnie znaczenia. Siedzę tu w pokoju i bogacę się, nie kiwając nawet palcem. Z każdym przesunięciem wskazówki zegara jestem bogatsza. Co znaczy osiemset dolarów?

– No dobrze, ale Evelyn Merrick coś znaczy. Może policja będzie w stanie ją dla ciebie odnaleźć.

– Może, jeśli tylko zachce im się jej szukać.

Blackshear wiedział, że ma rację. Policja zainteresuje się kradzieżą, ale nie ma najmniejszego dowodu, że to Evelyn Merrick jest złodziejką. A jeśli chodzi o ten telefon, to podobne zgłoszenia napływają do wydziału śledczego tuzinami, każdego dnia. Historia panny Clarvoe zostanie zaprotokołowana i zapomniana, bo Evelyn Merrick nie wyrządziła jej żadnej fizycznej krzywdy, nie uciekła się do żadnych konkretnych gróźb. Nikt nie podejmie się odnalezienia tej kobiety, chyba że zrobi to sam Blackshear.

Mógłbym to zrobić, pomyślał. Przecież nie jest to śledztwo w sprawie jakiegoś poważnego przestępstwa, do czego potrzebne by mi było

doświadczenie. Muszę tylko znaleźć pewną kobietę. Nie wymaga to niczego poza inteligencją, wytrwałością i łutem szczęścia. Szukanie kobiety jest lepsze niż kolekcjonowanie znaczków albo rozmowy ze staruszkami przesiadującymi w parku.

Poczuł, jak wzbiera w nim podniecenie i gwałtowne, irracjonalne przekonanie, że panna Clarvoe ukartowała to wszystko, że w jakiś podstępny sposób zmusiła go do tej zmiany planów.

*A wierzy pan w postrzeganie pozazmysłowe, panie Blackshear?*

*Nie.*

Nie? Obrzucił ją wzrokiem. Uśmiechała się.

– Zmienił pan zdanie – rzekła, a w jej głosie nie słyhać było intonacji wznoszącej, która świadczyłaby o jakichkolwiek wątpliwościach.

### 3

Następnego popołudnia, spędziwszy cały poranek przy telefonie, Blackshear udał się do przybytku reklamowanego w książce telefonicznej śródmieścia Los Angeles jako Szkoła Wdzięku i Modelingu Lydii Hudson. Była to jedna z dwóch tuzinów podobnych szkół na liście; różniły się tylko nazwami, adresami i stopniem nieposzanowania zasad prawdopodobieństwa: Dzięki nam staniesz się Nową Osobą... Setki prestiżowych ofert pracy czeka na nasze absolwentki... Gwarantujemy poprawę osobowości, stylu, postawy, makijażu, figury i nastawienia psychicznego... „Chodź i mów w piękności” – my cię tego nauczymy...\*

Panna Hudson dokonywała swoich cudów na piętrze wynajętego biurowca na Vine Street. Sekretariat przedstawiał sobą gustowną mieszankę stylów, zapępiały go szklane luksfery, kute żelazo i wstydlive młode kobiety, znajdujące się na różnych etapach odkrywania swego naturalnego wdzięku. Dwie z nich były już najwyraźniej absolwentkami, sprzęt nosiły w pudłach na kapelusze, a ich twarze miały identyczny wyraz pół- zrezygnowania, pół- gotowości, jak u osóbek podróżnych, które zbyt długo wystawały na peronie w oczekiwaniu na spóźniający się pociąg i teraz wpatrują się w tory z nadzieją, że przyjedzie po nie jakiś wagon zastępczy.

Dostrzegły tylko przelotnie Blacksheara i zaraz znowu wszczęły ożywioną dyskusję.

– Pamiętasz Judy Hall? No, *nareszcie* ją zatrudnili.

\* *Nawiązanie do wiersza George'a Gordona Byrona „Idzie w piękności” (She Walks in Beauty) w tłum. Stanisława Egberta Koźmiana.*

– Nie! Jak w ogóle do tego doszło?

– Aż nie *śmiem* myśleć. Te jej sposoby są przecież dość drastyczne, prawda?

– Nie ma innego wyboru. W zeszłym roku strasznie się zapuściła. Widziałaś, jaką ma cerę? A postawę?

– Jej postawa nie jest jeszcze taka zła. Ale figura, to co innego!

– Założę się, że panna Hudson miałaby z nią duże pole do popisu...

„Chodź i mów w piękności” – my cię tego nauczymy...

Blackshear podszedł do biurka recepcjonistki, a dwie podróżne od razu przerwały rozmowę. Kolejny pociąg śmignął im przed nosami, nie zatrzymując się.

– Jestem umówiony z panną Hudson. Moje nazwisko: Blackshear.

Powieki recepcjonistki opadły, zdawało się, że pod ciężarem tuszu do rzęs. – Panna Hudson ma właśnie lekcję konwersacji, panie Blackshear. Zaczeka pan?

– Tak.

– To proszę sobie usiąść.

Kołysząc biodrami, przeszła przez pokój, idąc w piękności, i zniknęła za drzwiami z matowego szkła, opatrzonymi napisem „Tylko dla personelu”. Chwilę później wyłoniła się z nich niska kobieta, o włosach w odcieniu marchewki i ustach pod kolor. Ta nie kręciła biodrami. Weszła dziarskim krokiem, z ramionami ściągniętymi do tyłu i głową podniesioną wysoko, pod dość agresywnym kątem, jakby spodziewała się ataku silnego wiatru albo niezadowolonego klienta.

– Jestem Lydia Hudson. – Głos miała nadspodziewanie cichy i przyjemny, z lekką naleciałością akcentu z Nowej Anglii. – Przepraszam, że kazałam panu czekać, panie Blackshear.

– Nie kazała pani.

– Pański telefon zaskoczył mnie. Był pan bardzo zagadkowy.

– Powiedzmy: intrygujący, nie zagadkowy.

– Powiedzmy. – Uśmiechnęła się profesjonalnym, niesięgającym oczu uśmiechem. – Nie jest pan chyba policjantem, co?

– Nie.

– Może więc jest pan prawnikiem, a ta mała Merrick – zaginioną spadkobierczynią jakiejś fortuny. Jakie to byłoby zabawne.

– Owszem, byłoby.

– Ale tak nie jest, prawda?

– Nie.

– Nigdy tak nie jest. – Panna Hudson obrzuciła szybkim spojrzeniem obie modelki, które udawały, że wcale nie podsłuchują. – Jeszcze nikt się po was nie zgłosił, dziewczyny.

Jedna z modelek postawiła na podłodze swoje pudło na kapelusze i ruszyła w ich stronę. – Ależ panno Hudson, sama pani mówiła, że mamy tu przyjść na drugą, więc jesteśmy...

– Cierpliwości, Stella. Cierpliwości i wytworności. Jedna chwila złego humoru rujnuje cerę prawie tak samo jak dwie ekierki.

– Ale...

– Pamiętaj, jesteś teraz *absolwentką*, Stella. Nie możesz sobie pozwolić na zachowywanie się jak początkująca. – A do Blacksheara dodała cicho: – Chodźmy do mojego gabinetu. Nie możemy rozmawiać przy tych idiotkach.

Gabinet panny Hudson urządzone z wielką starannością, tak aby przysparzał jej nowych kursantek. Po obu stronach biurka stały lampy z różowymi abażurami, nadające cerze korzystny wygląd i sprawiające, że włosy prezentowały się niemal naturalnie. Drugą stronę pomieszczenia, przeznaczoną dla potencjalnych klientek, oświetlały jarzeniówki, dające martwe, białe światło. Dwie ściany gabinetu pokryte były w całości lustrami.

– To nasz pokój konsultacyjny – oświadczyła panna Hudson. – Sama nigdy nie krytykuję tych dziewcząt. Po prostu daję im się przejrzeć w lustrze i to *one* mówią mi, co jest z nimi nie tak. To zapewnia nam miłsze relacje i lepsze interesy. Proszę usiąść, panie Blackshear.

– Dziękuję. Dlaczego lepsze interesy?

– Często okazuje się, że dziewczyny są dla siebie o wiele surowsze, niż ja bym była. Więcej oczekują, rozumie pan?

– Nie bardzo.

– No cóż, czasami wchodzi tu śliczna dziewczyna i ja nie mogę znaleźć w niej nic do poprawy. Ale *ona* może, bo pewnie porównuje się z Avą Gardner. Zapisuje się więc na mój kurs. – Panna Hudson uśmiechnęła się sucho. – Sukces gwarantowany, oczywiście. Papierosa?

– Nie, dziękuję.

– No dobrze, teraz wie pan o tym biznesie tyle co ja. Albo – dodała, rzucając mu krótkie, bystre spojrzenie – tyle, ile pan chciał, co?

– To bardzo zajmujące.

– Czasami chce mi się od tego rzygać, ale są z tego pieniądze, a ja mam na utrzymaniu trójkę dzieci. Najmłodsza ma czternaście lat. Jak skończy college albo wyjdzie za jakiegoś miłego, spokojnego faceta, ja przejdę na emeryturę. Będę cały dzień snuła się po domu w szlafroku i kapciach i już

nigdy więcej nie otworzę słoiczka z kremem do twarzy, a każdego poranka będę spoglądać w lustro i zaśmiewać się z kolejnej zmarszczki czy siwego włosa. – Zrobiła przerwę, żeby nabrać oddechu. – Proszę nie słuchać tego lepiej, żartuję tylko. Chyba. Tak czy siak, pan nie przyszedł tu, żeby wysłuchiwać mojego biadolenia. Co chce pan wiedzieć o tej Evelyn Merrick?

– Wszystko, co może mi pani powiedzieć.

– Nie będzie to zbyt wiele. Widziałam ją tylko raz, tydzień temu. Przeczytała ogłoszenie, że przez pewien czas będę udzielała darmowych konsultacji, więc przyszła i usiadła, o tam, gdzie pan teraz siedzi. Chuda brunetka, bardzo kiepsko ubrana i wymalowana jak dziwka. Beznadziejna, z mojego zawodowego punktu widzenia. Fryzura na chłopaka, ale zapuszczona. Ma to wyglądać niedbale, rozumie pan, ale tak naprawdę taka fryzura wymaga ręki profesjonalisty. A jej ubrania... – panna Hudson przerwała gwałtownie. – Mam nadzieję, że to nie pańska znajoma?

– Na oczy jej nie widziałem.

– Czemu więc chce ją pan odnaleźć?

– Trzymajmy się wersji z zaginioną dziedziczką – uciał Blackshear. – Zaczyna mi się podobać.

– Mnie też się zawsze podobała.

– Udzieliła jej pani darmowej konsultacji?

– Zrobiłam to, co zwykle; starałam się ją oswoić, mówiłam do niej po imieniu, takie tam. Potem poprosiłam, żeby wstała, podeszła do lustra i powiedziała mi, co jej zdaniem wymaga poprawy. Na tym etapie dziewczyny są zazwyczaj zawstydzone, skore do chichotów. Ona nie. Ona zachowywała się... cóż, dziwnie.

– Czyli jak?



– Po prostu stała i gapiła się w lustro bez słowa. Zdawała się zafascynowana samą sobą. To ja czułam się zawstydzona...

*Przejdź się kawalek, Evelyn.*

*Dziewczyna ani drgnęła.*

– *Jesteś zadowolona ze swojej postawy? Cery? A z makijażu?*

*Milczała.*

– *Mamy taką zasadę, że prosimy nasze potencjalne klientki o poddanie się samoocenie. Nie poprawiamy raczej wad, których kursantka nie widzi. A zatem, czy możesz powiedzieć, że jesteś zupełnie zadowolona ze swojej figury? Przyjrzyj się uważnie, oceń siebie wzdłuż i wszerz.*

*Evelyn mrugnęła i odwróciła się od swojego odbicia. – To lustro jest krzywe, a światło niekorzystne.*

– *Wcale nie – panna Hudson była oburzona. – Światło jest... realistyczne. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy, a dopiero potem ją zmieniać.*

– *Skoro tak pani twierdzi.*

– *Zawsze tak twierdzą. Ja... ile ty masz lat, Evelyn?*

– *Dwadzieścia jeden. Chyba bierze mnie za głupią, pomyślała panna Hudson. – I chcesz zostać modelką?*

– *Tak.*

– *Jakiego rodzaju?*

– *Chcę pozować artystom. Malarzom.*

– *Nie ma aż takiego popytu na...*

– *Mam dobre piersi i nie straszne mi zimno.*

– *Moje drogie dziewczę – w głosie panny Hudson słyhać było ironię – A jakie jeszcze umiejętności posiadasz, poza tym, że nie straszne ci zimno?*

– *Naśmiewa się pani ze mnie. Pani po prostu nie rozumie.*

– *A co tu jest do rozumienia?*

– *Chcę stać się nieśmiertelna.*

*Panna Hudson milczała, zaskoczona.*

– *A żaden inny sposób nie przychodził mi do głowy – ciągnęła dziewczyna. – Wtedy zobaczyłam pani ogłoszenie i wpadłam na taki pomysł: gdyby mnie ktoś namalował, jakiś wielki artysta, to zostanę nieśmiertelna. Widzi pani, jak się o tym dłużej pomyśli, to nabiera to sensu.*

*Panna Hudson nie chciała o tym myśleć. Nie miała czasu na martwienie się nieśmiertelnością, jutro było dla niej wystarczającym zmartwieniem. – Dlaczego taka młoda dziewczyna jak ty miałaby się zadreć myśłami o śmierci?*

– *Mam wroga.*

– *A któż go nie ma?*

– *Nie, ja mam prawdziwego wroga – odparła grzecznie Evelyn. – Widziałam ją już. W mojej kryształowej kuli.*

*Panna Hudson zerknęła na jej tanią sukienkę z rayonu, zaplamioną pod pachami. – Tak zarabiasz na życie? Przepowiadaniem przyszłości?*

– *Nie.*

– *Więc gdzie pracujesz?*

– *Chwilowo jestem bezrobotna. Ale jeśli będą mi potrzebne pieniądze, mogę je zdobyć. Tyle, żeby wziąć udział w tym kursie.*

– *Mamy już listę chętnych, rozumiesz – skłamała panna Hudson.*

– *O nie. A ja myślałam...*

– *Ale z chęcią dołączę do niej twoje nazwisko. – I tam je zostawię. Nie mam ochoty mieć nic wspólnego z twoją nieśmiertelnością. Ani z tą kryształową kulą. – Jak się je pisze?*

– *M– E– R– R– I– C– K.*

– *Evelyn Merrick. Lat: 21. Adres i telefon?*

– *Cóż, z tym jest problem. Jutro się wyprowadzam i jeszcze nie zdecydowałam, gdzie zamieszkać.*

*Adresu brak – panna Hudson zapisała w notatniku. Tym lepiej. Znakomita wymówka, żeby do niej nie dzwonić.*

– *Ja zadzwonię, jak już się urządzę – oznajmiła Evelyn. – Powie mi pani wtedy, czy jest dla mnie miejsce.*

– *To może trochę potrwać.*

– *Będę próbować.*

– *Wiem – panna Hudson rzuciła sarkastycznie – nie wątpię.*

– *Więc zadzwonię do pani za jakiś tydzień?*

– *Posłuchaj mnie jeszcze przez chwilę, Evelyn. Na twoim miejscu przemyślałabym jednak ten pomysł z zostaniem modelką, ja...*

– *Ale pani nie jest mną. Zadzwonię za tydzień...*

*Tydzień minął wczoraj – wyjaśniła panna Hudson Blackshearowi. – Nie zadzwoniła. Nie wiem, czy się cieszyć, czy martwić.*

– *Mnie się wydaje, że powinna się pani cieszyć – odrzekł Blackshear.*

– *Pewnie tak. Takie z niej dziwadło. Jak Bóg mi świadkiem, żadna z moich dziewcząt nie grzeszy inteligencją, mało która ma trzycyfrowe IQ. Ale przynajmniej żadna z nich nie jest stuknięta! Wie pan, co mnie ciekawi, panie Blackshear?*

– *Nie.*

– *Ciekawi mnie, co ona widziała w tym lustrze, gdy tak stała jak zahipnotyzowana. Co zobaczyła?*

– *Siebie.*

– Nie. – Panna Hudson pokręciła głową. – *Ja ją widziałam. Ona widziała kogoś innego. Ciarki przechodzą po plecach, prawda?*

– Niespecjalnie.

– Mnie tak. Szkoda mi jej było. Pomyślałam sobie: a co, gdyby to było jedno z moich dzieci, gdyby coś mnie spotkało, nim staną się dorosłe i bezpieczne, i będą musiały stawić czoła... Dobrze, nie będziemy nad tym deliberować. To takie przygnębiające. A poza tym, ja jestem zdrowa i jeżdżę bardzo ostrożnie. A gdyby mnie zabrakło, znakomicie zajmie się nimi moja siostra... – Ni stąd, ni zowąd z wściekłością uderzyła otwartą dłonią w białobeżowy blat delikatnego biurka. – *Niech diabli wezmą tę dziewczynę! Całe życie człowiek haruje, stara się, nie myśli o śmierci, a tu nagle coś takiego. Zjawia się jakaś pomyłona ze swoimi niedorzecznymi pomysłami i nie można ich już wymazać z pamięci. To nie fair. A niech ją. Teraz żałuję, że chciałam jej pomóc.*

Blackshear podniósł brwi. – A jak konkretnie jej pani pomogła?

– Może nie pomogłam, ale starałam się. Widziałam, że jest spłukana, więc dałam jej namiar do takiego jednego. Pomyślałam, że może da jej jakąś dorywczą pracę, i zanim dziewczyna opamięta się i ochłonie, pozwoli jej to przetrwać.

– Jaką pracę?

– Pozowanie. Ten człowiek jest artystą, i to dobrym, co oznacza, że aby wiązać koniec z końcem, musi dawać lekcje. Do zajęć potrzebuje modeli, nie tylko ładnych dziewcząt, ale wszystkiego, co się rusza. pomyślałam, co mi szkodzi, mogę tam posłać Evelyn. Może spodoba ją mu się jej uszy albo paluchy, albo jeszcze coś innego. Moore ma bzika na punkcie detali.

– Moore?

– Harley Moore. Ma atelier na Palm Avenue, na rogu Sunset. Koło Santa Monica Boulevard.

– A nie wie pani, czy ona już wcześniej pozowała?

– Powiedziała, że tak. Powiedziała, że pracowała dla Jacka Teroli. To fotograf, mieszka dziesięć czy dwanaście domów stąd na południe. Nie wiem o nim zbyt wiele, poza tym, że dość dobrze płaci. Robi sesje zdjęciowe do tych gazet z wyznaniem czytelniczek, wie pan, co to żona patrzy z przerażeniem, jak mąż całuje się z sekretarką, albo młoda nauczycielka szkoły niedzielnej jest molestowana na chórze, tego typu bzdury. Moja najmłodsza córka czyta je bez przerwy, a mnie to już doprowadza do szału, bo nie mogę z niej tego wyplenić. Takie rzeczy dają dzieciom złe pojęcie o świecie – myślą później, że wszystkie sekretarki są obściskiwane przez szefów, a wszystkie katechetki napastowane na chórze. Co nie jest prawdą.

– Mam taką nadzieję.

– No właśnie, widzi pan.

Blackshear nie był do końca pewny, co miał widzieć. Wiedział przynajmniej, dokąd ma pójść.

Kreowanie piękna najwyraźniej opłacało się bardziej niż korzystanie z niego: panna Hudson mogła pozwolić sobie na luksfery i mahoniową boazerię, natomiast atelier Teroli mieściło się w długiej, wąskiej plombie, wciśniętej pomiędzy jednokierunkową uliczkę nazwaną nieco na wyrost Aleją Palisandrową oraz dwupiętrowy, chwiejnie wyglądający drewniany dom wielorodzinny. Czarny napis na matowej szybie witryny głosił:

*Studio fotograficzne Jacka Teroli*

*Akty, modelki*

*Sesje grupowe dla amatorów i profesjonalistów*

Blackshear wkroczył do środka. Choć pomieszczenie wypełniały rzędy szaf na dokumenty, a na ścianach wisiały liczne prace Teroli, biuro to wciąż przypominało salon, którym kiedyś pewnie było. Jedną ze ścian zdobił brudny kominek z czerwonej cegły, wyglądający przejmująco smutno i bezsensownie – bo znać było, że nikt go od dawna nie używał – jak zwykła dziura w ścianie, pozostałość po niedbałej ekipie budowlanej. Na prawo od kominka znajdowała się alkowa. Zasłony wokół niej nie były zaciągnięte i Blackshear mógł dostrzec kawałek wnętrza: brązowy, skórzany fotel z siedziskiem pogniecionym ze starości, kanapę przykrytą staromodną narzutą, a nad nią – mleczną szybę witryny z napisem wykonanym przez szablon. Alkowa przypominała Blackshearowi jego dzieciństwo na Środkowym Zachodzie – w najszykowniejszych domach musiała zawsze być „weranda”, na której latem było nieopisanie gorąco, a zimą – porównywalnie zimno, i która służyła domownikom tylko do afiszowania się swoim statusem społecznym.

Weranda Teroli zdawała się nie tyle znakiem szyku, co konieczności. Kanapa wyraźnie służyła mu do spania, spod narzuty wystawał rąbek brudnego prześcieradła, a poduszka aż błyszczała od tłuszczu.

Blackshear nikogo nie dostrzegł, ale zza zamkniętych drzwi z drugiej strony pomieszczenia dobiegały jakieś dźwięki; odgłos sprzętu przesuwanego po drewnianej podłodze oraz szmer rozmowy, to opadający, to wznoszący się. Nie mógł rozróżnić słów, ale z tonu łatwo wywnioskował, o co chodzi. Ktoś wydawał rozkazy, ktoś inny nie chciał ich wykonać.

Już miał zapukać w zamknięte drzwi, ale zauważył napis wydrukowany na kartce opartej o maszynę do pisania, stojącą na biurku Teroli: *Proszę dzwonić.*

Zadzwoił i czekał, i znów zadzwonił. Drzwi otworzyły się w końcu i ukazała się w nich młoda dziewczyna, ubrana w szlafrok z drukowanego jedwabiu. Nie miała makijażu, twarz lśniła jej od jakiegoś tłuszczu i wilgoci. Z jej krótkich, czarnych włosów kapłało, po szyi spływały strużki wody, a wilgotny szlafrok przylepiał się do skóry. Zdawało się to jej nie przeszkadzać.

– Chciał pan coś?

– Chciałbym zobaczyć się z panem Terolą.

– Teraz jest zajęty. Proszę usiąść.

– Dziękuję.

– Mam właśnie tonąć, ale Jackowi coś nie wychodzi ta woda. Ma to być jezioro Michigan, rozumie pan.

Blackshear pokiwał grzecznie głową na znak, że rozumie.

– Jack ma fioła na punkcie scen tonięcia – dodała dziewczyna. – A ja tam wolę suche klimaty. Już chyba lepiej, gdyby mnie dźgał sztyletem. Tyle zachodu o to jezioro. Nie chce pan usiąść?

– Wygodnie mi, dziękuję.

– Jak pan chce. W interesach?

– Poniekąd. Nazywam się Paul Blackshear.

– Miło mi. Nola Rath. No, lepiej już pójdę. Może chce pan gazetę?

– Nie, dzięki.

– To może trochę potrwać. Jeśli Jackowi wyszło to ujęcie, będzie tu lada moment, a jeśli nie, to nie.

– Zaczekam.

– Naprawdę chyba lepiej, gdyby mnie dźgał sztyłem – powtórzyła. – Powiem Jackowi, że pan przyszedł.

Wyszła, zostawiając za sobą mokry ślad i zapach mokrych włosów.

Nola Rath. Blackshear powtórzył w myślach to nazwisko, zastanawiając się, ile też mogła mieć lat. Może ze dwadzieścia pięć, tylko kilka lat mniej niż Helen Clarvoe, ale zdawało się je dzielić całe pokolenie. Wiek panny Clarvoe miał niewiele wspólnego z chronologią. Była kobietą w średnim wieku, bo nie miała niczego, co zapewniałoby jej młodość. Padła ofiarą nie tylko Evelyn Merrick, ale samego życia.

Myśl ta przygnębiła Blacksheara. Chciał zapomnieć o panie Clarvoe, ale wciąż dręczyła go, jak niedotrzymana obietnica.

Spojrzał na zegarek. Trzecia dziesiąta. Zerwał się wiatr. Podwiewał zasłony w alkowie Teroli, wprawiał w drgania pajęczyny w kominku, niepokoił myszy urzędujące gdzieś w przewodzie kominowym.

– Chciał się pan ze mną zobaczyć?

Blackshear odwrócił się, zaskoczony, bo nie usłyszał otwierania drzwi ani odgłosu kroków.

– Pan Terola?

– Zgadza się.

– Nazywam się Blackshear.

Uścisnęli sobie dłonie. Terola miał pod czterdziestkę, był bardzo chudy, wysoki i ustawicznie zgarbiony, jakby usiłował zmieścić się w ogólnie przyjętych normach wzrostu. Gdy przemawiał, jego czarne, krzaczaste brwi drgały z niecierpliwości, zadając kłam słowom padającym z miękkich, kobiecych warg. Dwa wąskie, równoległe kosmyki siwych włosów przecinały mu łysinę niczym podkłady kolejowe.



– Chwileczkę. – Podszedł do alkowy i ze złością zaciągnął zasłony. – Straszny tu bałagan. Moja sekretarka została w domu, ma świnkę. Świnkę, w jej wieku! A wydawałoby się, że to dziecięca choroba... No dobrze, co mogę dla pana zrobić, panie Blackshear?

– Jak rozumiem, zatrudnia pan, albo zatrudniał, młodą kobietę nazwiskiem Evelyn Merrick?

– A skąd pan to wie?

– Ktoś mi to powiedział.

– Niby kto?

– Panna Merrick powołała się na pana, gdy zgłaszała się na kurs dla modelek. Twierdziła, że pracowała u pana.

– W jakim zakresie?

– W zakresie, który jej pan zlecał – odparł Blackshear, starając się ukryć zniecierpliwienie. – Pan zajmuje się, nazwijmy to, działalnością artystyczną?

– Owszem, nazwijmy, i owszem, zajmuję się.

– Jak pan uważa. Ale pamięta pan Evelyn Merrick?

– Może pamiętam, a może nie. Nie odpowiadam na żadne takie pytania, chyba że mam ku temu dobry powód. Ma pan dobry powód, panie Blacksheep?

– Blackshear.

– Nie chodzi o to, że nie chcę współpracować, ale muszę najpierw dowiedzieć się, z kim mam współpracować i po co. Czym się pan zajmuje?

– Jestem doradcą inwestycyjnym.

– I?

– Powiedzmy, że jest spadek do podziału, a Evelyn Merrick może dostać się kawałek.

Terola zaczął cedzić słowa, prawie nie poruszając przy tym ustami, jakby obawiał się, że ktoś ukryty w alkwie albo w kominie wyczyta jego słowa z ruchu warg. – Panie, tej małej może się Coś dostać, ale na pewno nie z żadnego spadku.

– A więc przyszła do pana?

– Przyszła. Wcisnęła mi historyjkę o umierającej matce, więc pozwoliłem jej popracować kilka godzin. Mam słabość do umierających matek, o ile nie zmieniają zdania i nie zostają przy życiu, tak jak moja.

– Czy sprawiała panu jakieś kłopoty?

– Takie cizie nie sprawiają mi kłopotów, bo jak tylko zaczną, od razu je wywalam.

– Ją też pan wywalił?

– Musiałem. Zaczęła tu węszyć. Jak węszą, też je wywalam. Nie żebym miał coś do ukrycia – dodał, puszczając do Blacksheara oko. – Po prostu nie lubię wścibstwa. Mam go po dziurki w nosie.

– A co jeszcze robiła oprócz węszenia?

– Och, wbiła sobie do głowy, że uczynię ją nieśmiertelną. Najpierw myślałem, że żartuje i chce mnie rozśmieszyć. Mam duże poczucie humoru, to się roześmiałem, nie? Strasznie ją to wnerwiło. Moim zdaniem ona ma niezupełnie po kolei.

– Konkretnie jaką pracę jej pan dał?

– Pozowała.

– Panu czy jednej z tych „grup artystycznych”?

– A co to za różnica?

– Dla mnie to ogromna różnica.

– Jak to?

– Jeśli pozowała dla pana, do zilustrowania jakiejś historii w gazecie, mógłby mi pan dać odbitkę. Jeśli dla grupy, to nie sądzę.

Terola zdusił niedopałek w popielniczce.

– Nigdy nie rozdaję odbitek.

– A co, handluje pan nimi?

– Handlowanie to bardzo brzydkie słowo. Lepiej spadaj pan, bo będę musiał wepchnąć je panu z powrotem do gardła.

– Nie wiedziałem, że z pana taki delikatny facet.

– Nie chcę mieć z wami nic wspólnego. Wynocha.

– Dziękuję za informacje.

Terola otworzył mu drzwi. – Idź pan do diabła.

Blackshear pomaszerował do samochodu, zaparkowanego w dole alejki. Pierwszy raz od trzydziestu lat znalazł się o krok od bójki. Doświadczenie to obudziło w nim stare wspomnienia i lęki, nappełniło go też jakimś pierwotnym podnieceniem. Ręka na kluczyku mu drżała, a gniew żelazną pięścią łomotał pod czaszką. Chciał zawrócić i wyzwać Terolę na pojedynek, walczyć z nim do końca, a w razie potrzeby – zabić.

Jednak gdy ruszył w kierunku atelier Harleya Moore'a, chłodny wiatr od morza ukoił tę gwałtowną pasję, zatamował strumień jadu trawiącego mu myśli: nie jestem tak cywilizowany, jak mnie się zdawało. Niepotrzebnie go do siebie zraziłem. Źle to rozegrałem. Może z tym Moorem pójdzie mi lepiej.

## 4

Bertha Moore czekała na dziecko od piętnastu lat, więc gdy w końcu urodziła jej się córeczka, Bertha nie mogła uwierzyć swojej szczęśliwej gwiazdzie. Cały czas musiała upewniać się, że to prawda. O każdej porze dnia i nocy podchodziła na palcach pod pokój dzieciny, żeby sprawdzić, czy dziecko wciąż tam jest, czy wciąż żyje. Ani przez chwilę nie mogła skupić się na czytaniu czy szyciu, unosiła się nad ziemią jak wypełniony gazem balon, którego przed odlotem powstrzymuje tylko kawałek sznurka. Drugi koniec tego sznurka miał Harley, jej twardo stąpający po ziemi mąż.

Nie popełniła podstawowego błędu świeżo upieczonych matek – nie ignorowała Harleya. Była dla niego bardzo czuła, ale czułością wyrachowaną i pozbawioną głębi. Jakaś część jej umysłu cały czas pamiętała, że musi dołożyć wszelkich starań, aby zadowolić Harleya, bo dziecko będzie zdrowsze i lepiej przystosowane, jeśli wychowa się w szczęśliwej rodzinie i będzie miało dobrego ojca.

Podczas nielicznych momentów wytchnienia Bertha opowiadała rodzinie i znajomym, jak idealne jest jej dziecko, albo rozgorączkowana dzwoniła do pediatry, bo dziecko zwymiotowało, albo do Harleya, bo zaczęło płakać bez widocznego powodu. Dwadzieścia lat małżeństwa nauczyło Berthę, aby nigdy nie przeszkadzać Harleyowi, gdy ten pracował w swoim atelier. Wystarczył jeden dzień, by się tego bezpowrotnie i bezboleśnie oduczyć. W końcu były to telefony „dla dobra dziecka”, więc Harley nie miał prawa czynić jej wyrzutów. Dziewczynka miała się świetnie, nieświadoma poświęceń, do jakich zmuszani byli jej rodzice. Bertha nazywała ją Angie, co było skrótem od Angel i nie

miało nic wspólnego z zarejestrowaną w urzędzie Stephanie Caroline Moore. O czwartej Angie nie miała ochoty na butelkę. Bertha kołysała ją właśnie, chodząc po całym salonie, gdy zadzwonił telefon. Delikatnie przełożyła dziecko z lewej ręki na prawą i podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Dzień dobry. Pani Moore?

– Tak.

– Pani mnie nie zna, ale jestem przyjaciółką pani męża.

– Naprawdę? – Bertha pozornie *ożywiła* się, choć prawie wcale nie słuchała. Włoski Angie lechtające ją w szyję były takie mięciutkie, a jej skóra pachniała kwiatami i słońcem.

– Tu Evelyn Merrick... Może mąż wspominał coś o mnie?

– Możliwe. – Dziecko z wysiłkiem obróciło główkę, aby też posłuchać rozmowy, zrobiło przy tym tak komiczną minkę, że Bertha nie mogła się nie roześmiać.

– Jest pani sama?

– Ja nigdy nie jestem sama. Mamy przecież małego dzidziusia, wie pani.

Zapadła cisza. – Oczywiście, że wiem.

– Wczoraj skończyła właśnie cztery miesiące.

– Dzieci w tym wieku są takie słodkie.

– Prawda? Ale Angie jest nad wiek rozwinięta, nawet lekarz mówi, że wygląda na sześć miesięcy, nie cztery. – I nie było to kłamstwem. Lekarz faktycznie, po usilnych naleganiach ze strony Berthy, stwierdził, że Angie jest „dość dobrze rozwinięta” i że „ładnie rośnie”.

– Angie, jakie to śliczne imię.

– Tak naprawdę to tylko jej przydomek. – Jaki miły głos ma ta kobieta, myślała Bertha, i jak interesuje się dzieckiem! – A propos imion, chyba nie dosłyszałam, jak pani się nazywa.

– Evelyn Merrick. Panna Merrick.

– Brzmi znajomo. Jestem prawie pewna, że Harley wspominał coś o pani. Zazwyczaj jestem tak zajęta przy dziecku, że nie słyszę, co do mnie mówią... Przestań, Angie. Nie, nie dotykaj tego... Chce wyciągnąć sznur od telefonu.

– Jaka ona urocza.

– O, to prawda. – Bertha od tak dawna podziwiała dzieci innych kobiet – mówiąc prawdę, gdy dziecko było ładne, a zmyślając, gdy nie było – że uważała, iż teraz wszelkie podziwy sprawiedliwie należą się jej dziecku. Miło, że na temat Angie wcale nie trzeba było zmyślać. Naprawdę była idealna. Bertha z czystym sumieniem mogła przyjmować nawet najbardziej przesadzone komplementy i wygórowane pochlebstwa.

– Podobna jest do pani czy do Harleya?

– O, obawiam się, że do mnie – roześmiała się z dumą. – Wszyscy tak twierdzą.

– Chciałabym ją zobaczyć. Szaleję... za dziećmi.

– Więc może pani do nas wpadnie?

– Kiedy?

– Po południu, jeśli to pani odpowiada. Angie jest taka żywiotka, że całymi godzinami nie chce zasnąć. – Miło byłoby pokazać ją komuś z przyjaciół Harleya, tak dla odmiany. Harley, z wrodzonej skromności, tak rzadko przyprowadzał kogoś, żeby pochwalić się swoją córeczką. – Harley nie wróci do domu przed szóstą. Napijemy się herbaty i pogadamy, a ja pokażę pani album Angie. Jest pani może artystką, panno Merrick?

– Tak jakby.

– Tak się zastanawiam: Harley twierdzi, że Angie jest za mała, żeby mocją namalować, ale ja... No, nieważne. Sama pani zobaczy. Zna pani adres?

– Tak. To będzie dla mnie wielka przyjemność poznać panią, pani Moore.

Pożegnały się i Bertha odłożyła słuchawkę, czując rozchodzące się po całym ciele przyjemne ciepło oczekiwania i matczynej dumy.

Z natury ani z doświadczenia nie była osoba podejrzliwą. Harley miał tuziny przyjaciół wśród przedstawicieli obu płci, więc fakt, że panna Merrick nie podała powodu dla swojego telefonu, nie wydał się Bercie niepokojący.

– Miła pani – wyjaśniła córeczce – przyjdzie cię dziś odwiedzić i podziwiać. Chcę, żebyś była zniewalająca.

Angie zaczęła ssać palce.

Po przewinięciu dziewczynki, założeniu jej nowego ubranka i wyszczotkowaniu centymetrowych włosów, Bertha zadzwoniła do męża.

Odebrał sam Harley, jego głos przez telefon zawsze wydawał się ostry i nieufny, jakby spodziewał się, że ktoś po drugiej stronie chce go zanudzić albo oszukać.

– Har? To tylko ja.

– O... Coś stało się dziecku?

– Nie, skądże. Zdrowa jak rybka.

– Słuchaj, ja mam tu teraz urwanie głowy. Jest u mnie człowiek, który...

– W takim razie nie będę ci przeszkadzać, kochanie. Chciałam tylko powiedzieć, że nie musisz się spieszyć z powrotem do domu, bo będę miała towarzystwo na herbacie. Przychodzi jakaś panna Merrick, chce zobaczyć małą.

- Kto?
  - Twoja przyjaciółka, panna Merrick.
  - Przychodzi do ciebie?
  - No właśnie. Co się stało, Har? Jakoś dziwnie...
  - O której?
  - No, nie wiem, nie ustaliłyśmy konkretnej godziny.
  - Bertha, posłuchaj mnie uważnie. Zamknij drzwi i nie wychodź z domu, dopóki nie wrócę.
  - Nie rozu...
  - Rób, co mówię. Będziemy tam za piętnaście minut.
  - Jak to: będziemy? Kto?
  - W moim atelier jest właśnie człowiek, który jej poszukuje. Mówi, że to wariatka.
  - A wydawała się taka miła... i tak interesowała się Angie, i chciała ją zobaczyć...
- Ale Harley już się rozłączył.
- Pobladła z zaskoczenia, wstała, przyciskając dziecko do piersi. Angie wyczuła napięcie matki i podniosła płacz w proteście przeciwko temu mocnemu, rozpaczliwemu uściskowi.
- Zachowuj się teraz, Angie – powiedziała Bertha pozornie spokojnym głosem. – Nic się nie stało, nie ma się co bać.
- Ale spokój w głosie nie ukoił dziewczynki, słyszała przyspieszony oddech matki, czuła drżenie jej mięśni i zapach strachu.
- Po prostu zamkniemy drzwi i poczekamy na tatusia. Nie ma co płakać. O rety, co powiedzą sąsiedzi, taka duża dziewczynka, a tyle robi hałasu...



Z wyjątkiem dzieckiem na ręku Bertha zamknęła troje zewnętrznych drzwi i zasunęła ciężkie zasłony w wykuszowym oknie salonu. Następnie usiadła w bujanym fotelu, zakupionym przez Harleya, bo przekonała go, że bez bujanego fotela dziecka nie można wychować. Przyciemnione światło i łagodne kołysanie fotela uspokoiły Angie.

– Grzeczna dziewczynka. Teraz uspokój się i zaśnij. Ojejku, po co było się tak denerwować...

Ciszę przerwał dźwięk dzwonka.

Nawet nie patrząc w stronę drzwi, Bertha zniosła śpiącą córeczkę do pokoju dzieciennego, położyła ją w łóżeczku i nakryła kocykiem. Gdy rozległ się kolejny dzwonek, podeszła cicho do drzwi wejściowych.

Stała pod nimi i z kamienną twarzą zaczęła nasłuchiwać. Nie słychać było przejeżdżających samochodów, bawiących się dzieci czy kobiet spieszących z zakupów do domu. Zupełnie jakby wszyscy, uprzedzeni przed niebezpieczeństwem, przenieśli się w inne rejony miasta.

– Pani Moore? – Ten głos dobiegający ze szpary w dębowych drzwiach był cichy, ale i nieustępliwy. – Proszę mnie wpuścić.

Bertha przycisnęła wierzch dłoni do ust, jakby bała się, że słowa popłyną z nich wbrew jej woli.

– Przyszłam od razu. Już nie mogę się doczekać zobaczenia małej. Proszę mnie wpuścić... Wiem, że pani tam jest, pani Moore. O co chodzi? Boi się mnie pani? Nikomu nie zrobię krzywdy, chcę tylko zobaczyć dziecko Harleya... Harley i ja też może będziemy mieli dziecko.

Jej słowa sączyły się przez drzwi jak krople śmiertelnej trucizny.

– Szokuje to panią? Słabo orientuje się pani w tym, co wyprawia się w tym jego atelier, prawda? A jak pani myśli, co dzieje się, gdy kończy pracę nad aktem, do którego mu akurat pozuję?

Niech ona przestanie, modliła się Bertha. Ona kłamie. To wariatka. Harley nigdy by... on nie jest taki... powiedział, że one wszystkie są dla niego jak kawałki drewna...

– O, niech pani nie myśli, że jestem jedyna. Jestem po prostu ostatnia. Po skończeniu pozowania to takie naturalne, takie nieuchronne. Przez te wszystkie lata dawała się pani nabierać? Nigdy to pani nie nurtowało? A teraz nie nurtuje to pani? Powinnam pożyczyć pani moją kryształową kulę. O, ileż rzeczy by w niej pani zobaczyła!

I zaczęła je wolno i dokładnie opisywać, jakby chciała pouczyć dziecko, a Bertha słuchała jak dziecko, nie rozumiejąc niektórych brzydkich wyrazów, ale zahipnotyzowana potencjałem zła, który w sobie kryły. Nie była w stanie ruszyć się spod drzwi ani na krok, aby wydostać się spoza zasięgu rażenia trucizny. Kropla za kroplą, paliła jej serce i wżerała się koszmarami w myśli.

Nagle, zza zakrętu rozbrzmiały dźwięki melodyjki sygnalizującej przyjazd obwoźnego sprzedawcy lodów.

Piosenka skończyła się i rozbrzmiała od nowa, ale w chwili ciszy Bertha usłyszała stukot obcasów na chodniku. Poruszając się jak marionetka, podeszła do okna w salonie i rozsunała story.

Ulicą biegła kobieta, jej ciemne włosy tarł wiatr, a płaszcz łopotał wokół chudych nóg. Minęła zakręt i, wciąż biegnąc, ruszyła na południe.

Bertha wróciła do pokoju dziecinnego. Angie spała na boku, z kciukiem w buzi.

Bertha stanęła nad łóżeczkiem, spoglądając na córeczkę i zastanawiając się, jakim człowiekiem jest jej ojciec.

Bertha... Dobrze się czujesz, kochanie?

– Oczywiście.

– Jesteśmy tak szybko, jak tylko mogliśmy. To pan Blackshear. Moja żona, Bertha.

– Miło mi. – Uścisnęła mu dłoń. – Ma pan ochotę na drinka?

– Dziękuję, chętnie.

– Ja też. Miałam się napić herbaty, ale... na herbacie miałam mieć gościa. Jedna miła pani chciała zobaczyć dziecko. Ubrałam Angie i uczesałam ją. Byłam taka szczęśliwa, pamiętam. To było tak dawno temu...

– Bertha, czy ty się na pewno dobrze czujesz?

– Tak – odparła grzecznie. Jakże dziwnie Harley wyglądał, z fryzurą na jeża, opalony, w okularach w rogowych oprawkach. Wcale nie jak malarz. Może dlatego, że ostatnio już niewiele malował... w jego atelier działy się o wiele ważniejsze rzeczy...

Harley przyrządził jej bourbona z wodą sodową. Drink wydał się jej słaby i kwaśny, po upiciu pierwszego łyka po prostu trzymała szklanekę przy ustach i znad jej krawędzi obserwowała Blacksheara. Cichy, poważny, godny zaufania. Ale nigdy nie wiadomo. Jeśli myliła się co do Harleya, mogła mylić się co do wszystkich pozostałych.

Ręce jej się trzęsły i trochę koktajlu wylało się na sukienkę. Wiedziała, że obaj mężczyźni zauważyli ten wypadek. Przypatrywali jej się z zaskoczeniem, jakby zdawali sobie sprawę, że coś jest nie tak, ale nieśmiałość lub dobre wychowanie nie pozwalały im spytać, o co chodzi.

– Była tutaj – powiedziała. – Prosiła, żeby ją wpuścić, a gdy ja nie chciałam, zaczęła mówić przez drzwi. Nic nie odpowiedziałam, nie wydałam żadnego głosu, ale ona i tak wiedziała, że tam stoję i słucham. – Spojrzała szybko na Harleya i znowu odwróciła wzrok. – Nie mogę powiedzieć ci, o czym mówiła, nie przy obcych.

– Dlaczego nie?

– Mówiła o tobie i o waszych relacjach.

– Nie mam z nią nic wspólnego, tyle tylko, że raz przyszła do mojego atelier w poszukiwaniu pracy, a ja ją odrzuciłem.

– Powiedziała, że jest jedną z twoich... modelek.

– No, dalej – mruknął ponuro Harley. – Co jeszcze?

– Powiedziała, że ty i ona... użyła strasznych słów... nie mogłabym ich nikomu powtórzyć...

Krew odpłynęła Harleyowi z opalonej twarzy, która teraz wyglądała jak z piaskowca, szara i martwa. – Sugerowała, że pozostawałem z nią w intymnym związku?

– *Sugerowała.* – Bertha zaczęła się śmiać. – *Sugerowała.* To naprawdę zabawne. Gdybyś jej tylko posłuchał...

– A ty jej posłuchałaś, Bertho?

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nie chciałam, brzydziło mnie to, ale słuchałam.

– I uwierzyłaś w to, co mówiła?

– Nie.

Przyjął to nieprzekonujące kłamstwo i nie naciskał na nią więcej. Chciał nawet uśmiechnąć się do niej krzepiąco, ale poczuł się tak chory i wyczerpany,

że zwrócił się do Blacksheara: – Czy to właśnie takie figle płata ta cała Merrick?

– Obawiam się, że to coś więcej niż figle.

– Cóż, może to i wariatka, ale zdaje się sporo wiedzieć o ludzkich słabościach.

– Owszem. – Blackshear pomyślał o tym, co Evelyn Merrick powiedziała panie Clarvoe. Wykorzystała lęki panny Clarvoe, tak jak teraz lęki pani Moore i, w mniejszym stopniu, Lydii Hudson. Nie musiała niczego wymyślać, bo posługiwała się lękami, które już kiełkowały. W każdym z przypadków obierała inną strategię, ale efekty osiągała te same: niepewność, niepokój, strach. Panna Hudson miała na tyle silną osobowość, że potrafiła poradzić sobie z takimi problemami, a panna Clarvoe prawdopodobnie nie poradzi sobie z nimi nigdy. Pani Moore, natomiast, potrzebowała pomocy, i co więcej, była w stanie ją przyjąć.

Blackshear oznajmił:

– Evelyn Merrick czerpie satysfakcję z ludzkiego bólu, pani Moore.

Dzisiaj był to pani ból. Ale były też inne.

– Tego... nie wiedziałam.

– To prawda. Jest w stanie mówić cokolwiek, byleby tylko dalej się zamęt. Możliwe, że w pani przypadku miała jeszcze dodatkowy motyw. Pan Moore powiedział mi, że gdy do niego przysła, miał bardzo mało czasu, więc ostro ją odprawił.

Bertha uśmiechnęła się słabo.

– Harley jest w tym naprawdę dobry.

– Możliwe, że Merrick chciała mu odpłacić. Takie drobne incydenty, o których normalny człowiek szybko zapomina, w umyśle osoby niezrównoważonej urastają do olbrzymiej rangi.

– Nie uwierzyłam jej ani na chwilę, to chyba jasne – powiedziała mocnym, rozsądnym głosem. – W końcu Harley i ja już od dwudziestu lat jesteśmy szczęśliwym małżeństwem... Harley pewnie mówił panu o naszej malutkiej?

– Tak.

– Chciałby ją pan zobaczyć?

– Bardzo chętnie.

– Przyniosę ją – rzekł Harley, ale Bertha już zdążyła wstać.

– Ja ją przyniosę – uśmiechnęła się. – Muszę jej coś powiedzieć. Angie spała przez cały ten czas. Dotknięcie Berthy obudziło ją, wydała z siebie pisk protestu, który przerodził się w ziewnięcie.

Bertha szepnęła jej do uszka:

– Twój ojciec to dobry człowiek. Nie wolno nam o tym zapominać. To *dobry* człowiek.

Zaniosła dziecko do salonu, przemierzając mieszkanie szybkimi krokami, jakby chciała uciec od szeptów, odbijających się echem od ścian jej pamięci: *Słabo orientuje się pani w tym, co wyprawia się w tym jego atelier... Przez te wszystkie lata dawała się pani nabierać?... O, ileż rzeczy zobaczyłaby pani w mojej kryształowej kuli...*

I Bertha słuchała tego.

## 5

Helen? To ty, Helen, kochanie?

– Tak.

– Mówi mama.

– Tak.

– Coś czuję, że nie jesteś zbyt szczęśliwa, że dzwonię...

– Staram się. – Helen pomyślała, że głos matki, jak zawsze, przypomina głos zawodzącego dziecka.

– Kochanie, mów głośniej, proszę cię. Nie znoszę, jak ktoś mamrocze do słuchawki. Helen? Jesteś tam?

– Jestem.

– Teraz lepiej. A zatem, chciałam z tobą porozmawiać, bo dostałam niezmiernie tajemniczy telefon od pana Blacksheara. Pamiętasz go, pośrednik handlowy i przyjaciel twojego ojca, ten, któremu żona zmarła na raka?

– Pamiętam.

– No więc on zadzwonił do mnie, tak ni z gruszki, ni z pietruszki, i spytał, czy może mnie wieczorem odwiedzić. Czy nie sądzisz, że to może mieć jakiś związek z pieniędzmi?

– W jaki sposób?

– Może odnalazł jakieś zapodzione akcje albo obligacje twojego ojca?

– Nie sądzę.

– Ale jest to możliwe, prawda?

– Tak, chyba tak.

– Byłaby to wyśmienita niespodzianka, na przykład kilka akcji AT&T, wsadzone kiedyś do szuflady i zapomniane. Czyż to nie byłoby wspaniałe?

– Tak. – Nie chciało jej się prostować, że ojciec nigdy nie kupował akcji AT&T, a gdyby nawet, to na pewno nie trzymałby ich na dnie jakiejś szuflady. Niech Verna sama się o tym przekona, dysponowała w końcu całą szafą niespełnionych nadziei, jedna mniej czy więcej nie zrobiłaby jej różnicy.

Wizja przyływu gotówki, jakkolwiek odległa, sprawiła, że głos Verny nabrał ożywionych, dziewczęcych tonów:

– Całe wieki się nie widziałyśmy, Helen.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Jak się miewasz?

– Dobrze, dziękuję.

– Odżywasz się odpowiednio?

Na to pytanie nigdy nie można było odpowiedzieć właściwie, bo w umyśle Verny pojęcie „odpowiedniego odżywiania” zmieniało znaczenie średnio raz na tydzień, zależnie od tego, jaka dieta właśnie przykuła jej uwagę. Stosowała naprzemiennie dietę odchudzającą i zwiększającą wagę, dietę poprawiającą poziom cukru i dietę mającą dobry wpływ na cerę, dietę zapobiegającą alergiom oraz dietę polepszającą przepływ żółci. Cel nie miał znaczenia, liczył się sam proces. Zapewniało jej to temat do rozmów, czyniło ją bardziej interesującą i niezwykłą. Poziom żółci od lat utrzymywał się jej na tym samym poziomie, ale Verna wypróbowywała kolejne diety, a kobiety, które mogły i chciały jadać wszystko, czuły się przy niej jak idiotki.

– Doprawdy, Helen, mów głośniej!

– Nic nie mówiłam.

– Och. Cóż. Chodzi o to, że Dougie i ja idziemy jutro na obiad do Vine Street Derby. To tak blisko ciebie, że pomyślałam sobie, że może wybrałabyś się z nami. Pójdziesz?



– Obawiam się, że nie. Ale dziękuję za zaproszenie.

– Ale to taka okazja! Po pierwsze, Dougie ma jutro urodziny, dwudzieste szóste. *Tempus fugit*, prawda? Po drugie, będzie tam ktoś, kogo powinnaś poznać, nauczyciel Dougiego z kursu plastycznego, niejaki pan Terola. Podobno niezmiernie fascynujący mężczyzna.

– Nie wiedziałam, że Douglas interesuje się malarstwem.

– O, nie malarstwem. Fotografiami. Dougie twierdzi, że fotografia ma przed sobą świetlaną przyszłość, a pan Terola wie o niej absolutnie wszystko.

– Doprawdy...

– Naprawdę chciałabym, żeby udało ci się przyjść, moja droga. Zjawimy się w Derby równo o pierwszej.

– Postaram się. – Wiedziała, dlaczego matce tak zależy na jej obecności: spodziewała się, że Helen przyniesie Douglasowi prezent urodzinowy w postaci czeku.

– Jesteś tam jeszcze, Helen?

– Tak.

– Denerwują mnie te długie przerwy w rozmowie, naprawdę. Nigdy nie wiem, co ty tam sobie *myślisz*.

Helen uśmiechnęła się ponuro do słuchawki. – Mogłabyś kiedyś zapytać.

– Boję się, że wtedy byś mi odpowiedziała – Verna zaśmiała się cierpko.

– A więc jesteśmy umówione? Jutro o pierwszej?

– Niczego nie obiecuję,

– Ja stawiam, oczywiście. I słuchaj, Helen, umaluj sobie troszkę usta, dobrze? I nie zapomnij, że to urodziny Dougiego. Na pewno doceniłby niewielki dowód pamięci.

– Na pewno.

– A więc do jutra.

– Do widzenia.

Helen odłożyła słuchawkę. Rozmawiała z matką pierwszy raz po wielu miesiącach, ale nic się nie zmieniło. Między nimi wciąż wyczuwało się wrogość, wiszącą w powietrzu jak obosieczny miecz, którym żadna nie mogła się posłużyć, bo sama musiałaby się pokaleczyć.

Sto – powiedziała Verna na głos. – Albo dwieście, jeśli nam się poszczęści. Na pewno nie zapomni. A jeśli pan Blackshear odnalazł te akcje AT&T, jeszcze nam na długo wystarczy.

Vernie został jeden samochód, druga hipoteka i służąca, pracująca na pół etatu. Firmie telefonicznej zleciła zabranie dodatkowych telefonów ze swojej sypialni i z patio, przetarty dywan w jadalni przykryła bawełnianą matą, a na pękniętej ścianie w kuchni zawiesiła kalendarz. W skrócie, zrobiła co mogła, aby ograniczyć wydatki i utrzymać dom. Ale dom nie dawał się utrzymać, ciążył jej jak słoń i z każdym tygodniem zapadał się coraz niżej.

Były momenty, zwykle na początku miesiąca, gdy przychodziły rachunki, że Verna życzyła sobie w duchu, aby Douglas poszedł do pracy. Ale zazwyczaj była zadowolona, że ma go w domu. Zapewniał jej towarzystwo, bo lubiła tę jego cichą obecność, zajmował się ogrodem i wykonywał wiele cięższych prac w domu, o ile się tylko nie uczył. Zdaniem Verny, Douglas był urodzonym studentem. Nie skończył college'u z powodu jakiegoś rozdmuchanego incydentu w szatni przy sali gimnastycznej, ale kontynuował studia we własnym zakresie i zaliczył już ceramikę, poezję współczesną, francuskich impresjonistów, hodowlę awokado oraz klarnet. Klarnet ranił go w usta, sadzonki awokado w ogródku na tyłach domu powiędły i nikt nie był

zainteresowany oglądaniem jego wyrobów ceramicznych ani słuchaniem, jak czyta na głos wiersze Dylana Thomasa.

Mimo to Douglas nie tracił humoru. Nie narzekał otwarcie na głupotę społeczeństwa, nie winił człowieka ze szkółki roślin, że sprzedał mu wadliwe sadzonki avocado. Dawał po prostu wszystkim do zrozumienia, że uczynił wszystko, co mógł, i nikt nie powinien więcej od niego wymagać.

I nikt niczego nie wymagał od Douglasa, z wyjątkiem Verny. W dniu, w którym sprzedał klarnet, Verna poszła do swojego pokoju, żeby się wypłakać, choć znienawidziła zawodzenie tego instrumentu. Sprzedaż klarnetu oznaczała więcej niż stopniową utratę zainteresowania ceramiką, poezją czy innymi rzeczami. Był to gest tak nieodwracalny, że odczuła to jak uderzenie pięścią w brzuch. Jej ból był tak prawdziwy i intensywny, że Douglas posłał po lekarza. Lekarz zdawał się tak samo interesować Douglasem, jak Verną. „Ten pani chłopiec potrzebuje życiowego pobudzenia” – powiedział.

„Chłopiec” jutro kończył dwadzieścia sześć lat.

– Przynajmniej dwieście – orzekła Verna. – To w końcu urodziny, a ona jest jego siostrą.

Zakryła na noc klatkę z kanarkiem, sprawdziła, czy służąca przed wyjściem dobrze sprzątnęła kuchnię, i poszła do pokoju. Douglas leżał na kanapie i czytał. Miał na sobie białe mokasyny z koralikami i frotowy szlafrok z podwiniętymi rękawami, ukazującymi nadgarstki tak szczupłe i giętkie, że zdawały się zupełnie pozbawione kości. Karnacją przypominał Helen: ciemne włosy i szare oczy, które potrafiły zmieniać kolor niczym kameleon, zależnie od otoczenia. Uszy miał jak kobieta, bardzo blisko osadzone i poprzekłuwane. W prawym nosił złote kółeczko. Małeńki kolczyk był jedną z tych rzeczy, o które Verna najczęściej toczyła z nim bitwy, ale Douglas nie chciał go zdjąć.

Usłyszał, że matka wchodzi do pokoju, odłożył więc książkę i wstał z kanapy. *Przynajmniej nauczyłam go szacunku dla kobiet, pomyślała z satysfakcją.*

Oświadczyła:

– Idź się ubrać, kochanie.

– Czemu?

– Będę miała gościa.

– Dobrze, ale ja nie.

– Nie kłóć się ze mną, kochanie. Czuję, że zbiera mi się na migrenę. – Verna miała do dyspozycji cały szwadron migren. Nacierają na nią jak wojska nieprzyjacielskich tubylców, gdy jedna dogorywała, kolejna spieszyła z posiłkami. – Przychodzi do nas pan Blackshear. Może chodzi o pieniądze.

Podzieliła się z nim swoją teorią zawieruszonych w szufladzie akcji AT&T, a Douglas słuchał sceptycznie, bawiąc się swoim złotym kolczykiem.

Gest ten rozdrażnił ją.

– I na miłość boską, zdejmij to paskudztwo.

– Czemu?

– Już ci mówiłam, głupio w tym wyglądasz.

– Nie zgadzam się. Inaczej, możliwe, ale nie głupio.

– Dlaczego chcesz wyglądać inaczej niż inni mężczyźni?

– Bo ja jestem inny, kochana. Wyciągnął rękę i lekko dotknął jej policzka. Odsunęła się od niego. – No cóż, mnie się wydaje...

– Tobie się zawsze wszystko wydaje. Dla mnie wszystko jest.

– Nie rozumiem, jak mówisz do mnie w ten sposób. I koniec już tych kłótni o kolczyk. Zdejmij go natychmiast!

– Dobrze, po co te krzyki. – Usta mu pobladyły, a żyły na skroniach zaczęły pulsować z tłumionego gniewu. Odpiął kolczyk i cisnął go przez pokój. Kolczyk odbił się od ściany i wylądował na jasnej, plastikowej pokrywie szpinetu, z której stoczył się pomiędzy klawisze basowe.

Verna krzyknęła z przerażeniem.

– Patrz, coś zrobił!

– Niedobrze mi się robi od tego, jak mną dyrygujesz.

– Zniszczyłeś mi pianino! Kolejny rachunek do zapłacenia...

– Nie jest wcale zniszczone.

– Właśnie, że jest. – Podbiegła do instrumentu, prawie z płaczem, i lewą ręką zagrała gamę. Klawisze C i D nie zablokowały się, ale wydawały brzęczący odgłos. – Zniszczyłeś mi pianino.

– Bzdura. Mogę to naprawić.

– Nie chcę, abyś się tego w ogóle dotykał. To jest zadanie dla specjalisty.

– Wstała ze stołka przy pianinie z wargami zaciśniętymi tak mocno, jakby spojono je cementem.

Obserwując ją, Douglas doszedł do wniosku, że niektóre kobiety z wiekiem się rozrastają, a niektóre kurczą.

Verna się skurczyła. Każdego tygodnia zdawała się mniejsza, a fakt, że Douglas nazywał ją staruszką, nie świadczył o jego czułości dla matki. Jego zdaniem termin „staruszka” pasował do niej idealnie – była stara, ale też drobna i dziecinna.

– Przepraszam, staruszko.

– Naprawdę ci przykro?

– Wiesz, że tak.

– Pójdiesz więc na górę i przebierzesz się?

– Dobrze. – Wzruszył ramionami, jakby od początku wiedział, że matka i tak postawi na swoim, i wcale go to nie obchodziło, bo mógł sprawić, że jeszcze pożałuje swojej władzy.

– I nie zapomnij o krawacie.

– Dlaczego?

– Inni mężczyźni chodzą w krawatach.

– Nie wszyscy.

– Nie rozumiem, dlaczego dzisiaj jesteś w takim trudnym nastroju.

– Chyba jest odwrotnie, staruszko. Weź tabletkę, czy co.

W drodze do swojego pokoju, przechodząc obok pianina, Douglas lekko przeciągnął palcem po klawiszach.

– Douglas...

Zatrzymał się w drzwiach, ciasniej owijając się szlafrokiem.

– Tak?

– Po południu spotkałam w mieście Evie i jej matkę.

– I?

– Evie pytała, co u ciebie. Była naprawdę miła, biorąc pod uwagę to unieważnienie i całą resztę.

– No cóż, kiedy ja ją spotkam, jeśli w ogóle, będę dla niej równie miły.

– To taka śliczna dziewczyna, wszyscy mówili, że piękna z was para.

– Nie wyciągajmy już tego.

– Czy naprawdę nie ma szans, żebyś znowu chciał się z nią zobaczyć?

Nie pytała mnie o to, rzecz jasna, ale mogłam wyczuć, że wciąż jest zainteresowana.

– Potrzebujesz nowej kryształowej kuli, staruszko.

Douglas wyszedł, a ona zaczęła krążyć po pokoju, włączając lampy i poprawiając kolekcję dziwacznych obiektów z ceramiki, zgromadzoną na kominku – miniony wkład Douglasa w sztuki piękne. Verna nie rozumiała, co dzieła te miały sobą przedstawiać, tak jak nie rozumiała jego poezji czy muzyki. Zdawało się jej, że Douglas przemierza życie pędzącym samochodem i od czasu do czasu rzuca za siebie kawałki gliny, pojedyncze nuty i półwiersze, spłodzone w czasie postojów na czerwonym świetle. Światła się zmieniają i nic nie zostaje ukończone, a to, co wyrzuca przez okno, niszczy prędkość auta i pęd wiatru.

Verna Clarvoe powitała Blacksheara z wylewnością, której się nie spodziewał, której nie chciał i nie rozumiał. Do tej pory zawsze dawała mu do zrozumienia, że uważa go za nudziarza, a teraz wyszła się z nim przywitać, jeszcze zanim wysiadł z samochodu, podała mu obie ręce i powtarzała, jakie to cudowne, że znów go widzi, i jak świetnie Blackshear wygląda; nie postarzał się ani o dzień, ani o minutę.

– W ogóle się pan nie zmienił. No, niech się pan nie kępuje, o mnie nie mógłby pan tego samego powiedzieć!

– Zapewniam panią, że mógłbym.

Zarumieniła się z zachwytu, biorąc te słowa za komplement.

– Uroczy z pana kłamczuch, panie Blackshear. No, ale pan zawsze taki był. Proszę, porozmawiajmy w środku. Od śmierci Harrisona prawie nigdy nie korzystamy z salonu. Jest taki wielki, że Dougie i ja praktycznie gubimy się w nim. Helen nie mieszka już w domu.

– Tak, wiem. Właściwie to jeden z powodów, dla których tu jestem.

– Chciał pan porozmawiać ze mną o Helen?

– Tak.

– No proszę – zaśmiała się gorzko. – No proszę. A to ci niespodzianka. Myślałam, że może chciał mi pan powiedzieć o jakichś pieniądzach.

– Przykro mi, jeśli sprawiałem takie wrażenie.

– To nie było wrażenie, panie Blackshear. To była *nadzieja*. Głupio z mojej strony. – Odwróciła się. – No cóż, proszę za mną, napijemy się.

Ze słabo oświetlonego przedpokoju wszedł za nią do pokoju. W kominku trzaskał ogień, w pomieszczeniu było gorąco jak w łaźni, a mimo to Verna Clarvoe wydawała się blada i zmarznięta – wygłodzony wróbel uwięziony w bryle lodu.

– Proszę usiąść, panie Blackshear.

– Dziękuję.

Zaczęła przyrządzać dwa drinki z bourbona, cały czas trajkocząc nerwowo. – Harrison zawsze to robił. Zabawne, w jak dziwnych momentach zjawia się tęsknota, prawda? Ale pan wie o tym wszystko... Na kominku mam tu niektóre z dzieł Dougiego. Uznawane są za bardzo niezwykle. Zna się pan na sztuce?

– Nic a nic – odparł wesoło.

– Szkoda. Miałam spytać pana o zdanie. Och, teraz to właściwie bez znaczenia. Dougie zainteresował się już czymś innym. Fotografiami. Codziennie jeździ do Hollywood na zajęcia. W fotografii nie chodzi tylko o robienie zdjęć, wie pan.

Dla Blacksheara była to nowość, więc poprosił: – Nie wiem, proszę powiedzieć coś więcej.

– No więc trzeba uczyć się o kompozycji, o technikach oświetlenia, filtrach i różnych tego typu sprawach. Dougie oszalał na tym punkcie. Jest urodzonym studentem.



Przeszła przez pokój, niosąc drinki, i usiadła obok Blacksheara na rattanowej sofie koloru czekolady.

– Za co wypijemy, panie Blackshear?

– To bez znaczenia.

– No dobrze. To wypijmy za te miliony rzeczy bez znaczenia!

Blackshear sączył swojego drinka z nieprzyjemnym wrażeniem, że nigdy tak naprawdę nie znał Verny Clarvoe. W przeszłości widywał ją odgrywającą rolę, której jak sądziła, od niej wymagano; rolę ślicznej, frywolnej żony mężczyzny mogącego sobie na nią pozwolić. Verna wciąż znajdowała się na tej scenie, ale zapomniała tekstu, a rekwizyty i scenografię usunięto, natomiast widzowie już dawno wyszli.

Zawołała gwałtownie: – Niech pan przestanie się na mnie gapić.

– Gapiłem się? Przepraszam.

– Wiem, że się zmieniłam. To był straszny rok. Gdyby Harrison tylko wiedział... Wierzy pan, że zmarli mogą obserwować z nieba, co dzieje się na ziemi?

– Nie pokrywa się to z moim wyobrażeniem o niebie – odparł sucho.

– Ani z moim. Ale po części chciałabym, żeby Harrison *wiedział* To znaczy, już go tu nie ma, jest mu dobrze, nie ma już żadnych zmartwień. Tylko *ja* zostałam. Jestem... jak to się określa w przyrodzie? Relikt? Tym właśnie jestem. Reliktem. – Dopiła resztę koktajlu, siorbiąc go jak spragnione dziecko.

– Zanudzam pana.

– Wcale nie.

– Och, pan jest zawsze taki *grzeczny*. Czy bycie grzecznym nigdy się panu nie nudzi?

– Owszem, tak.

– Więc czemu nie stanie się pan *niegrzeczny*? No, to ja wyzywam pana. Niech pan się stanie niegrzeczny, dobrze?

– Znakomicie – odparł ze spokojem. – Ma pani słabą głowę, pani Clarvoe. Proszę już nie pić, dobrze?

– Prosi pan. A jednak znowu pan *prosi*. Nie może się pan powstrzymać, to silniejsze od pana, pan jest dżentelmenem. Urodzonym dżentelmenem. A Dougie jest urodzonym studentem. Studiuje fotografię, mówiłam już panu o tym?

– Niech pani powie jeszcze raz, jeśli pani chce.

– Jego nauczycielem jest pan Terola. To bardzo interesujący mężczyzna. Nie żaden urodzony dżentelmen, jak pan, ale bardzo interesujący. Nie można być oboma naraz. Tragiczne, nieprawdaż? Może znowu stałby się pan niegrzeczny? No, bardzo pana proszę. Mam słabą głowę. Co jeszcze?

– Przyjechałem, żeby porozmawiać o Helen, a nie o pani, pani Clarvoe.

Jej policzki pokryły plamy rumieńca. – To było wystarczająco niegrzeczne. Dobrze. Niech pan kontynuuje. Niech pan mówi o Helen.

– Jak pani wie, przez ostatni rok prowadziłem jej interesy.

– Nie wiedziałam. Helen nie zwierza mi się, zwłaszcza w sprawach finansowych.

– Wczoraj ona poprosiła mnie o przysługę innego rodzaju. Chciała, żebym przeprowadził dla niej śledztwo. Jakaś kobieta wydzwania do różnych ludzi z pogrózkami i ohydnyimi pomówieniami, Helen też padła jej ofiarą. Z tego co się dzisiaj dowiedziałem, wnoszę, że ta kobieta jest niebezpieczna.

– I co ja mam z tym, według pana, zrobić? Helen jest na tyle dorosła, że może radzić sobie sama. A poza tym od czego jest policja?

– Byłem już na policji. Sierżant, z którym rozmawiałem, twierdzi, że w samym jego rejonie dostają tuzin podobnych zgłoszeń dziennie.

Skutki drinka powoli ustępowały. Dłonie Verny, złożone na kolanach, zaczęły poruszać się nerwowo, lewa powieka drgała jej w nerwowym tiku. – Cóż, nie wiem, jak ja mogłabym tu pomóc.

– Mogłaby pani zaprosić ją na kilka dni do siebie.

– Tutaj? Do mojego domu?

– Zdaję sobie sprawę, że nie układa się między wami najlepiej, ale...

– Żadne ale, panie Blackshear. Żadne. Gdy Helen się wyprawiała, powiedziałam jej, że ma tu już nie wracać. To, co powiedziała o Dougiem, o mnie, było niewybaczalne. Niewybaczalne. Chyba oszalała, jeśli myśli, że pozwolę jej tu wrócić.

– Ona nic o tym nie wie, to był całkowicie mój pomysł.

– Powinam się była tego domyślić. Helen nie poprosiłaby mnie o przysługę nawet na łożu śmierci.

– Niektórym ludziom niełatwo jest prosić o przysługę. Helen jest nieśmiała, niepewna siebie i przerażona.

– Przerażona? Z tymi jej pieniędzmi? – Zaśmiała się. – Gdybym ja miała tyle pieniędzy, nie bałabym się samego diabła.

– Nie byłbym tego taki pewien.

Przeszła przez pokój, potrząsając wojowniczo głową, i zaczęła przygotowywać sobie kolejnego drinka. Tak jak w przypadku pierwszego, zaczął na nią działać, jeszcze zanim otworzyła butelkę.

– Pani Clarvoe, czy sądzi pani, że to rozsądne...

– Nie, to bardzo głupie. Jestem niezmiernie głupią i niedouczoną kobietą. Tak mówią.

– Kto mówi?

– O, wielu ludzi, Harrison, Dougie, Helen, mnóstwo ludzi. Zabawne, każdy ci powie, że jesteś głupi, ale nikt ci nie powie, jak zmądrzeć. – Podniosła szklankę. – Za nas, za wszystkie ptasie mózdzki.

– Pani Clarvoe, czy pani tak każdego wieczora?

– Jak?

– Czy pani każdego wieczora tyle pije?

– Od miesiący nie piłam. Jak pan powiedział, mam słabą głowę. I zazwyczaj staram się na nią uważać. Ale dzisiaj, to co innego. Dzisiaj coś się skończyło.

Trzymała szklankę w obu dłoniach i, mówiąc, obracała ją, tak że grzechot kostek do lodu wybijał rytm jej słowom.

– Myśli pan zapewne, że koniec to coś określonego i że następuje po jakichś ważkich albo tragicznych wydarzeniach. To wcale nie tak. Dla mnie dzisiejszy dzień jest końcem, ale nie wydarzyło się nic specjalnego, tylko wiele drobnych rzeczy. Przyszły niektóre rachunki, służąca była niegrzeczna, bo nie może doczekać się wypłaty, spotkałam na ulicy Evie, dziewczynę, z którą Dougie się ożenił, Dougie założył swój kolczyk, ja zmusiłam go, żeby go zdjął, a on nim rzucił i... Widzi pan? Naprawdę drobne zdarzenia. – Zapatrzyła się w szklankę, obserwowała, jak bąbelki unoszą się i pękają na powierzchni. – Evie wyglądała tak ślicznie i słodko. Pomyślałam, jakie ładne mogliby mieć dzieci. Moje wnuki. Nie przeszkadza mi to, że się starzeję, ale chciałabym mieć coś w zamian, na przykład wnuki. Panie Blackshear...

– Tak?

– Czy pan myśli, że z Douglasem jest coś nie tak?

Po twarzy Blacksheara zaczęła ciec strużka potu, zostawiająca za sobą mokry, połyskujący i ślimaczy ślad. – Obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć pani na to pytanie.

– Nie. Oczywiście, że nie – powiedziała cicho. – Nie powinnam była pytać. Pan go przecież nie zna. To jest... bardzo kochany chłopak. Ma naprawdę wiele znakomitych cech charakteru.

– Jestem pewien, że tak.

– I jest tak niesamowicie zdolny, każdy to mówi. Harrison był dla niego taki surowy, ja starałam się jakoś mu to wynagrodzić, zachęcałam go, żeby siebie wyraził. – Postawiła szklanę z niedopitym drinkiem na kominku i przysunęła się do ognia, wyciągając kościste dłonie tak daleko, że prawie dotykały płomieni. – Harrison potrafił być czasem bardzo okrutny. Zaskakuje to pana?

– Niespecjalnie. Większość z nas bywa czasami okrutna.

– Nie tak jak Harrison. Miał zwyczaj... Ale to już bez znaczenia. Widzę, że pana przygnębiłam. – Odwróciła się od ognia, z wyraźnym wysiłkiem starając się okiełznać emocje. – Wysłuchał pan moich zmartwień. Teraz, jeśli pan chce, proszę opowiedzieć mi o swoich.

– Nie są zbyt ciekawe.

– Wszystkie zmartwienia są ciekawe. Może właśnie dlatego je miewamy, żeby nie zanudzić się na śmierć. No, dalej, proszę się nimi ze mną podzielić.

– Przykro mi, nie mam czasu, pani Clarvoe.

– Niech pan jeszcze nie idzie. Nie widział się pan z Dougiem. Jest na górze, ubiera się. Jutro ma urodziny. Urządzamy małe przyjęcie w Brown Derby...

A tymczasem służąca poczeka sobie na wypłatę, pomyślał ponuro Blackshear.

– Niech pani życzy Douglasowi wszystkiego najlepszego i ode mnie.

– Zrobię to.

– Jeszcze jedno, pani Clarvoe. Czy zna pani młodą kobietę nazwiskiem Evelyn Merrick?

Wyglądała na zaskoczoną.

– Ależ oczywiście.

– Oczywiście?

– To żona Dougiego. To znaczy, była żona. Małżeństwo zostało unieważnione i znowu przybrała panieńskie nazwisko.

– Mieszka w centrum?

– W Westwood. Z matką.

– Rozumiem. – A więc to było takie proste. Nie trzeba było przepytować panny Hudson ani Teroli, ani Harleya Moore'a. Evelyn Merrick nie była jakimś podrzutkiem czy nieznaną. Była żoną Douglasa Clarvoe, bratową Helen Clarvoe. – Czy Helen ją znała?

– Znała? To właśnie dzięki Helen Douglas ją poznał. Lata temu Evie i Helen chodziły razem do prywatnej szkoły w Hope Ranch i Helen przywoziła ją do domu na weekendy. Gdy skończyły szkołę, poszły do różnych college'ów i straciły ze sobą kontakt, ale Evie czasami odwiedzała nas, głównie Douglasa. On zawsze ją uwielbiał, była z niej taka radosna, serdeczna dziewczyna. Strasznie się z nim droczyła, ale on to kochał. W tym droczeniu nie było nigdy żadnej złości.

Teraz jest, pomyślał Blackshear.

– Proszę opowiedzieć mi o ślubie.

– Cóż, ślub mieliśmy cichy, bo to było niedługo po śmierci Harrisona. Tylko rodzina i kilkoro przyjaciół.

– A Helen była na ślubie?

– Helen – odparła sztywno – już się wyprowadziła. Oczywiście, została zaproszona i przysłała piękny prezent.

– Ale nie przyszła?

– Nie. Była chora.

– Na co chora?

– Doprawdy, panie Blackshear, nie wiem na co. I nic mnie to nie obchodziło. Nawet nie chciałam, żeby przychodziła. Tą swoją ponurą miną mogłaby zepsuć całą uroczystość.

Blacksheara rozbawiła w duchu ta ironia: Helen mogła zepsuć ślub, ale Verna zepsuła małżeństwo.

– Poza tym – ciągnęła Verna – ona i Evie nie były już wtedy najlepszymi przyjaciółkami, ledwo się widywały. Nie miały ze sobą wiele wspólnego, nawet jak jeszcze chodziły razem do szkoły. Evie była trochę młodsza i miała zupełnie inne usposobienie, lubiła zabawę i śmiech.

– Widziała ją pani dziś po południu.

– Tak.

– I cały czas tak lubi zabawę i śmiech?

– Nie za bardzo. Zerwanie związku zostawiło na niej ślad. Na nas wszystkich. Ja chciałam wnuków...

Drugi drink wrócił Vernie rumieńce i sprawił, że jej oczy wyglądały jak u lalki, jak niebieskie szklane kulki.

– Tak, chciałam wnuków. Nic w życiu już mi nie pozostało. Nic.

– Ma pani Helen. Myślę, że obie osiągnęłyście etap, na którym potrzebujecie się nawzajem.

– Nie będziemy już o tym dyskutować.

– Dobrze.

– Nie chcę żadnych rad. Nie cierpię rad. Nie potrzebuję ich.

– Więc czego pani potrzebuje?

– Pieniądzy. Tylko pieniędzy.

– Dawniej pieniądze też pani zbytnio nie pomogły. A teraz nie pomagają Helen. Umożliwiają jej folgowanie swoim neurozom, a powinny przecież pomóc jej coś z tym zrobić.

– Czemu mi pan o tym mówi?

– To, moim zdaniem, naturalne, że pani mówię. Jest pani w końcu jej matką.

– Nie czuję się jak jej matka. Nigdy się tak nie czułam, nawet jak była malutka. Powinien ją pan wtedy zobaczyć, najpaskudniejsze dziecko na świecie. Nie mogłam uwierzyć, że to moje dziecko. Czułam się oszukana.

– Jeśli przykłada pani wartość do niewłaściwych rzeczy, zawsze będzie się pani czuła oszukana.

Podniosła prawą pięść i zrobiła krok do przodu, jakby chciała go zaatakować.

Blackshear podniósł się.

– Chciała pani, żebym był niegrzeczny.

– Teraz chcę, żeby pan wyszedł i zostawił mnie w spokoju.

– Dobrze. Pójdę. Przepraszam, jeśli wyprowadziłem panią z równowagi.

Ręce opadły jej gwałtownie i, z westchnieniem, odwróciła się. – To ja powinnam przeproszać. Miałam... to był zły dzień.



– Dobranoc, pani Clarvoe.

– Dobranoc. A jak zobaczy się pan z Helen, proszę jej powiedzieć... proszę ją ode mnie pozdrowić.

– Dobrze.

– Dobranoc.

Jak tylko wyszedł, Verna poszła na górę, do pokoju Douglasa, wspierając się mocno na poręczy. Muszę być stanowcza, pomyślała. Musimy dojść do jakiegoś porozumienia.

Drzwi sypialni stały otworem.

– Dougie, powinniśmy o czymś... Dougie?

Przebrał się, jak mu kazała – frotowy szlafrok i mokasyny z koralikami, które miał na sobie wcześniej, teraz leżały na podłodze, przy łóżku. Zamiast zejść i przywitać się z Blackshearem, wyszedł z domu.

– Dougie – powiedziała znowu, ale już bez nadziei. Wiedziała, że go nie ma, mogła to sobie nawet wyobrazić: Douglas schodzi po schodach, staje pod drzwiami pokoju, nasłuchuje, słyszy swoje imię: *Czy pan myśli, że z Douglasem jest coś nie tak, panie Blackshear?*

Odwróciła się i sztywno ruszyła w kierunku schodów. Idąc przez pusty dom, odniosła wrażenie, że od tej pory już zawsze będzie pusty, że dzisiaj skończyło się coś nie tylko dla niej, ale i dla Douglasa, który uciekł z pełną tego świadomością.

Nie mogę zachowywać się tak głupio i histerycznie – pomyślała, przyciskając pięści do ust. To jasne, że Dougie wróci. Wyszedł tylko po papierosy. Albo na spacer. Taki piękny wieczór. On lubi spacerować nocą i nadawać imiona gwiazdom.

W przedpokoju zaczął dzwonić telefon. Była tak pewna, że dzwoni Douglas, że gdy podniosła słuchawkę, imię to samo pojawiło się na jej ustach.

– Douglas. Gdzie jes...?

– Czy to dom państwa Clarvoe?

Głos był cichy i stłumiony, więc Verna pomyślała, że to Douglas jak zwykle robi sobie dowcipy i mówi przez chusteczkę, żeby nie można było go poznać. – Gdzieś ty zniknął? Pan Blackshear miał właśnie...

– Nie ma tu Douglasa, pani Clarvoe. To ja, Evie.

– Evie? Co za zbieg okoliczności. Właśnie o tobie rozmawiałam.

– Z kim?

– Ze znajomym, panem Blackshearem.

– I mówiliście o mnie coś miłego?

– Oczywiście, że tak. – Zawahała się. – Pozdrowiłam też od ciebie Douglasa. Bardzo się ucieszył.

– Naprawdę?

– On... on pragnąłby się z tobą zobaczyć.

– Naprawdę?

– Powiedział, że może byś wpadła kiedyś do nas, porozmawialibyśmy o starych czasach.

– Nie chcę rozmawiać o starych czasach.

– Masz dziwny głos, Evie. Coś się stało?

– Nie, nic. Dzwonię, bo chciałam pani o czymś powiedzieć.

– O czym?

– O Douglasie. Wiem, że martwi się pani o niego. Nie wie pani, co z nim nie tak. Chciałabym pani pomóc. Zawsze była pani dla mnie taka dobra, teraz się odwdzięczę.

I zaczęła szczegółowo opowiadać o tym, co dolega Douglasowi i o rzeczach, które dzieją się na zapleczu atelier pana Teroli. Jeszcze nim skończyła, Verna Clarvoe osunęła się na podłogę.

TCLAR

## 6

Była dziewiąta trzydzieści.

Kobieta z kabiny telefonicznej siedziała tam już od pół godziny, a Harry Wallaby wciąż czekał, żeby zadzwonić do żony w Encino i powiedzieć jej, że ich stary buick rozkraczył się i Harry będzie musiał zostać na noc u szwagra.

– Że też jej język nie odpadnie – rzucił znad trzeciego piwa.

Barman, Włoch w średnim wieku, noszący muchę w kolorach Princeton, ze znawstwem pokręcił głową. – Jej język na pewno nie. Im więcej trenuje, tym staje się silniejszy. Telefonica, tak to się nazywa.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– To jak choroba, rozumiesz pan. Musi dzwonić po ludziach. U niej to już stadium zaawansowane.

– Co to za jedna?

– Taka tam paniusia, co tu czasami zagłada. Za każdym razem jest tak samo. Kilka drinków i buch, bierze ją. Wymienia jednego dolca na żetony, instaluje się w kabinie i siedzi w niej, ple, ple, ple. Często się zastanawiam, o czym ona tak gada.

– To czemu się pan tego nie dowie?

– Miałbym tam pójść i posłuchać?

– Pewnie.

– To nie byłoby w porządku, w końcu jestem właścicielem – certował się barman.

– Ale mnie to nie dotyczy, co? Nie ma chyba prawa zakazującego obywatelom tego kraju stawania sobie pod kabiną?

– To wolny kraj.

– Pewnie, że wolny!

Z wypracowaną nonszalancją Wallaby zsunął się z barowego stołka, podszedł do drzwi, jakby chciał już wyjść, i zaczął podkradać się od lewej strony do kabiny telefonicznej. Przez moment słuchał, trzymając rękę przy uchu, po czym wrócił do baru, uśmiechając się dość niepewnie.

Barman podniósł brwi w niemym zapytaniu.

– Jakiś mąż Douglasa – oznajmił Wallaby.

– Co takiego?

– O nim tam mówi, o facecie imieniem Douglas, który ma męża.

– To się nie trzyma kupy! Może się pan przesłyszał?

– Nie. Mówiła o mężu Douglasa.

– To co to za Douglas?

– Skąd mam wiedzieć, co za jeden? Mówię tylko, co słyszałem.

Za piętnaście dziesiąta Evelyn Merrick wyłoniła się w końcu z kabiny telefonicznej, rozciągnęła zdrtwiałą lewą rękę i wygładziła spódnicę na biodrach. Zazwyczaj po wykonaniu kilku telefonów czuła pewną ulgę i odprężenie, ale dzisiaj wciąż była podekscytowana. Krew w uszach i za oczami pulsowała jej z dwukrotnie większą siłą. Podchodząc do baru, Evelyn chwiała się lekko. Jej drink, old fashioned, stał na blacie nietknięty. Nie wzięła go, po prostu usiadła, wpatrując się w niego podejrzliwie, jakby myślała, że pod jej nieobecność barman czegoś tam dosypał.

– Okej, Wallaby – oświadczył barman, głośno i dobitnie – może pan już zadzwonić do żony.

Evelyn natychmiast zorientowała się, o co mu chodzi, i podniosła głowę, a na policzki wpełzł jej rumieniec. – Za długo rozmawiałam przez telefon?

– Tylko z godzinę, nie więcej.

– To publiczny telefon.

– Jasne, publiczny, a to oznacza, że jest dla wszystkich. Zajmie go ktoś taki jak pani i inni nie mają już szans. Gdyby to był pani pierwszy raz, nie powiedziałbym ani słowa.

– Do wszystkich gości odnosi się pan w ten sposób?

– To mój lokal. Odnoszę się, jak mi pasuje. Jak się coś nie podoba, można nie wracać. I to dotyczy wszystkich.

– Rozumiem. – Wstała. – To pańskie zezwolenie na sprzedaż alkoholu, tam, obok kasy?

– Pewnie, że moje. Opłacone i ważne.

– I nazywa się pan Florian Vicente?

– A tak.

– Zatem dobranoc, panie Vicente.

Florianowi Vicente ze zdziwienia aż opadła szczeka. Zawstydział się, że może potraktował ją za ostro, miała przecież taki ujmujący uśmiech i rozmawiała z nim tak serdecznie. Przecież w końcu nie była niebezpieczna.

Na dworze tymczasem zaczął padać pierwszy deszcz sezonu, ale Evelyn Merrick tego nie zauważyła. Musiała myśleć o czymś innym, o czymś o wiele ważniejszym: pan Vicente był dla niej niegrzeczny, musi więc udzielić mu lekcji dobrych manier.

Ruszyła aleją Highland w stronę Hollywood Boulevard, powtarzając po cichu nazwisko barmana, starając się wbić je sobie do głowy, Florian Vicente. Włoch. Katolik. Bardzo prawdopodobne, że ma żonę i kilkoro dzieci. Żonaci i dzieciaci stanowią najprostsze ofiary. Pomyślała o Bercie i Harleyu Moore'ach, odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się głośno. Deszcz zaczął kapać jej do ust. Smakował dobrze i świeżo. Lepiej niż drinki pana Vicente. Właśnie takie

drinki powinien serwować pan Vicente. *Pan poda podwójny deszcz, panie Vicente...* A rano zadzwonię do pani Vicente i powiem, że jej mąż jest alfonssem dla czarnuchów.

Potykała się na śliskiej ulicy, ale czuła się lekka i pełna energii, płynęła wesoło jak korek po spienionych wodach swoich emocji.

Ludzie kulący się na progach i pod daszkami przyglądali się jej ciekawie. Wiedziała, że przedstawia sobą szczególny widok – młoda, śliczna i radosna dziewczyna biegnie sama w deszczu. Nie zdawali sobie sprawy, że deszcz nie może jej dosięgnąć, bo jest nieprzemakalna, i tylko co bystrzejsi domyślali się, dlaczego nie jest zmęczona czy zdyszana. Jej ciało zasilalo nowe paliwo, promienie nocy. Niektórzy z tych bystrych chcieli wydrzeć jej ten sekret, wysledzić ją i zobaczyć, jak je uzupełnia, ale szpiegów łatwo można było wykryć i, jak do tej pory, zawsze udawało się ich zgubić. Swoje promienie trzymała w największym ukryciu i zażywała je potajemnie, wciągając najpierw jednym, potem drugim nozdrzem, żeby nie wpuścić sobie nic drażniącego.

Skierowała się na wschód, w stronę Vine Street. Nie miała w głowie określonego celu. Gdzieś po drodze musi natrafić na jakiś niewielki bar z telefonem.

Zacząła szybko przechodzić przez ulicę, nie zważając na czerwone światło, aż kobieta z przejeżdżającego obok samochodu krzyknęła ostrzegawczo, a mężczyzna idący za nią złapał ją za połę płaszcza i wciągnął z powrotem na chodnik.

– Proszę uważać, gdzie pani idzie...

Odwróciła się. Twarz mężczyzny ukrywał postawiony kołnierz płaszcza i rondo naciągniętej na czoło zielonej fedory. Woda rozpryskiwała się na kapeluszu jak w fontannie.

– Dziękuję – bąknęła. – Bardzo dziękuję.

Uchylił kapelusza.

– Proszę bardzo.

– Prawdopodobnie uratował mi pan życie. Nie wiem, jak mam...

– Nie ma sprawy.

Światło zmieniło się na zielone. Wyminął ją i przeszedł przez ulicę.

Całe to zdarzenie nie trwało dłużej niż pół minuty, ale już rozrastało się w jej umyśle, jego poszczególne elementy namnażały się jak komórki rakowe, aż zabrakło miejsca na myślenie logiczne. Pół minuty stało się godziną, czerwone światło – przeznaczeniem, dotyk ręki na jej płaszczu – objęciem. Przypomniała sobie spojrzenia, których nie wymienili, słowa, których nie wypowiedzieli: Kochanie. Ukochana. Najdroższa. Najpiękniejsza.

*Och, ukochana, zaczekaj na mnie. Idę już. Zaczekaj. Kochanie. Najdroższe kochanie.*

Przemoczona do suchej nitki, wykończona, drżąca i zagubiona, znowu zaczęła biec.

Ludzie gapili się na nią. Niektórzy myśleli, że jest chora, niektórzy – że pijana, ale nikt niczego nie zrobił. Nikt nie zaoferował jej pomocy.

W alejce pomiędzy jakimś hotelem a kinem znowu uzupełniła paliwo. Schowana za rzędem koszy na śmieci, wciągnęła głęboko najpierw jednym nozdrzem, potem drugim, żeby nie wpuścić sobie nic drażniącego. Jedynym jej świadkiem był chudy szary kocur, o obojętnych, bursztynowych oczach.

Wdech. Zatrzymaj. Policz do czterech. Wydech. Zatrzymaj. Policz do trzech.



Trzeba to robić wolno i starannie. Liczenie jest bardzo ważne. Cztery plus trzy to siedem. Wszystko musi dawać siedem. Wdech. Zatrzymaj. Policz do czterech.

Gdy skończyła uzupełniać paliwo, od dawna nie pamiętała już o swoim ukochanym. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, był Florian Vicente, który obrzucił ją wyzwiskami, bo odkryła jego sekret – że był alfonsem dla czarnuchów. Jakiż to będzie szok dla żony, gdy się o tym dowie. Ale tę biedną kobietę trzeba przecież oświecić, prawda za wszelką cenę musi wyjść na jaw, trzeba to rozgłosić.

Kręcąc głową ze współczucia dla biednej pani Vicente, Evelyn ruszyła alejką w stronę tylnego wejścia do hotelowego baru. Już tu kiedyś była.

Zamówiła martini, które ma siedem liter.

Młody mężczyzna, siedzący na stołku obok, odwrócił się i spojrzał na nią.

– Ciągle pada, co?

– Tak – odparła grzecznie. – Ale to nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma. Muszę...

– A dla mnie nie. Jestem nieprzemakalna.

Mężczyzna zaczął się śmiać. Coś w jego śmiechu i białych, drobnych zębach przypominało jej Douglasa.

– Ja nie żartuję – oznajmiła. – Naprawdę jestem nieprzemakalna.

– Tym lepiej dla pani. – Mrugnął do barmana. – Ja też chciałbym być nieprzemakalny, mógłbym wtedy wrócić do domu. Proszę nam powiedzieć, jak to się robi.

– Tego się nie robi. To się ma.

– Co pani powie.

– To się po prostu ma. . – No co pani powie.

Wciąż się zaśmiewał. Odwróciła się. Co ją obchodził taki prostak, z zębami jak u Douglasa. Jeśli nie przestanie, jeśli zrobi się dla niej tak samo niemiły jak pan Vicente, będzie musiała dowiedzieć się o jego nazwisko i dać mu nauczkę. Na razie jednak miała zadanie do wykonania.

Zapłaciła za martini i, nawet go nie próbując, podeszła do kabiny telefonicznej na tyłach lokalu i rozsunęła drzwi.

Nie musiała sprawdzać numerów. Czasami zapominała o innych rzeczach, miała momenty, kiedy miasto wydawało jej się tak obce i nieprzystępne jak księżyc; ludzie, których znała, zdawali się obcymi, a obcy – kochankami, ale zawsze pamiętała numery telefoniczne. Stanowiły one jedyną ciągłą ścieżkę w dżungli jej udręczonego umysłu.

Trzęsąc się z podniecenia niczym nawiedzony kaznodzieja, zaczęła wykręcać numer. Trzeba to rozgłosić. Trzeba udzielić lekcji. Prawda musi wyjść na jaw.

– Hotel Monica, słucham?

– Poproszę z panną Helen Clarvoe.

– Przykro mi, panna Clarvoe kazała założyć w swoim apartamencie prywatną linię telefoniczną.

– A może pani podać mi numer?

– Numer jest zastrzeżony. Sama go nie znam.

– Ty wstrętne kłamczucho! – krzyknęła i rozłączyła się. Nie znosiła kłamców. Koszmarna banda.

Zadzwoiła do Berthy Moore, ale ta rozpoznała jej głos i natychmiast cisnęła słuchawką.

Znowu zadzwoniła do Verny Clarvoe. Linia była zajęta.

Wykręciła numer do atelier Jacka Teroli i czekała całą minutę, na wypadek, gdyby był czymś zajęty na zapleczu, ale nikt nie odebrał.

Zadzwoiła na policję i zgłosiła, że w hallu hotelu Monica leży człowiek dźgnięty nożyczkami, który zaraz wykrwawi się na śmierć.

Było to lepsze niż nic. Ale wciąż nie wystarczało. Moc i podniecenie zwęglały jej ciało od środka, pożerały ją jak gangrena, a usta miała pełne szarego futerka, takiego jak futerko kocura z alejki.

Ten kot. To on wszystko zepsuł, zanieczyścił ją, bo widział, jak uzupełnia paliwo. Lubiła zwierzęta i była dla nich bardzo dobra, ale musi odplacić temu kotu, dać mu nauczkę, nie za pomocą telefonu, lecz za pomocą nożyczek. Jak temu człowiekowi w hallu.

Człowiek ten nie był już tworem jej wyobraźni, tylko częścią jej doświadczeń. Widziała go wyraźnie, leżał w hallu, biała twarz, szkarłatna krew. Trochę przypominał Douglasa, trochę Terolę. To był Douglas– Te– rola. Symbol ich związku. Był martwy.

Wróciła do baru. Jeden z barmanów i młody mężczyzna, który się z niej śmiał, rozmawiali, pochylając ku sobie głowy. Kiedy podeszła, odsunęli się od siebie, a barman przeniósł się w drugi koniec baru. Młody mężczyzna obrzucił ją szybkim, nieufnym spojrzeniem, wstał i też odszedł; w stronę tylnego wyjścia.

Wszyscy ją opuszczali. Ludzie nie odbierali jej telefonów, odchodzili od niej. Wszyscy odchodzili. Nienawidziła ich wszystkich, ale największą nienawiścią pałała do trojga członków rodziny Clarvoe, zwłaszcza do Helen. Helen odwróciła się od niej, choć były przyjaciółkami, odeszła pierwsza i najdalej, i za to musi pocierpieć. Zastrzeżony numer nie będzie jej chronił wiecznie. Były inne środki i sposoby.

– Jeszcze ją dopadnę – Evelyn szepnęła do ścian. – Jeszcze ją dopadnę.  
Futro w jej ustach stawało się coraz dłuższe i grubsze z nienawiści.

TCLAR

Nadszedł poranek, lekko i mgliście rozjaśniając niebo. W nocy burza nasiliła się. Wicher, wyjąc potępieńczo, hulał po ulicach, goniony przez deszcz.

Pannę Clarvoe obudził jednak nie wicher czy deszcz, ale nagły napływ wspomnień.

– Evie – szepnęła. Imię to od dawna z niczym jej się nie kojarzyło, lecz teraz nabrało takiego znaczenia, jak jej własne imię.

Serce zaczęło jej walić, w oczach zaszklily się łzy, nie dlatego, że znów ją sobie przypomniała, ale dlatego, że kiedyś o niej zapomniała. A nie miała żadnego powodu, żeby o niej zapominać, żadnego. Od samego początku były najlepszymi przyjaciółkami. Wymieniały się ubraniami i jedzeniem przysyłanym z domu, razem chichotały po zgaszeniu światła, wymyśliły własny tajemny język, który miał powstrzymać innych od czytania ich liścików do siebie, razem podkochiwały się w nauczycielu fizyki, który był żonaty, miał czwórkę dzieci i wielkie, rozmarzone, brązowe oczy. Dzielily też inne miłości, ale zawsze na początku były to miłości Evie. Helen ją po prostu naśladowała, szczęśliwa, że ma Evie, która ją poprowadzi i podejmie za nią wszelkie decyzje.

*Zawsze byłyśmy przyjaciółkami. Nie zdarzyło się nic, co kazałoby mi o niej zapomnieć. Nie było powodu, nie było powodu.*

Razem poszły na swoją pierwszą potańcówkę z okazji Halloween, przebrały się tak samo, według pomysłu Evie, za Cyganki. Evie miała też okrągły wazon, który udawał kryształową kulę.

Potańcówka, na którą były zaproszone wszystkie dziewczyny ze starszych klas, odbywała się w sali gimnastycznej prywatnej szkoły dla chłopców, położonej w dolinie. Pan Clarvoe podwiózł je i zaprowadził pod same drzwi sali. Były zdenerwowane i podekscytowane, pełne płonnych nadziei i potwornych lęków.

– Nie mogę tam wejść, Evie.

– Nie bądź głupia, to tylko *chłopcy*.

– Kiedy ja się boję. Chcę do domu.

– Nie możemy wracać dziesięciu mil w takich strojach. Chodź, będzie świetna zabawa.

– Ale obiecasz, że mnie nie zostawisz?

– Obiecuję.

– Z ręką na sercu?

– Tylko posłuchaj tej muzyki, Helen. Mają prawdziwą orkiestrę!

Weszły i prawie natychmiast je rozdzielono.

Reszta wieczoru stanowiła dla Helen prawdziwy koszmar. Cały czas stała sztywno w kącie i nie odzywała się, patrzyła, jak Evie jest adorowana przez chłopców, jak śmieje się, nuci kawałki piosenek, z gracją płynie od jednego partnera do drugiego. Helen oddałaby duszę, żeby choć na chwilę stać się Evie, ale nikt jej tego nie zaproponował.

Poszła do łazienki i płakała, przyciskając czoło do ściany. Gdy potańcówka się skończyła, ojciec czekał już na nie w samochodzie.

– A gdzie Evie? – zapytał.

– Jakiś chłopak chciał ją odwieźć do domu. Jedzie z nim.

– Jest stanowczo za młoda na takie sprawy. Gdyby była moją córką, nie pozwoliłbym jej. – Zjechał z krawężnika. – Dobrze się bawiłaś?

– Tak.

– Opowiedz.

– Nie ma wiele do opowiadania. Było fajnie, to wszystko.

– To nie jest zbyt dobry opis. Twoja mama i ja mieliśmy wiele problemów z posłaniem cię na tę zabawę, więc chyba należy nam się jakieś sprawozdanie.

W jego tonie wyczuła złość, ale nie wiedziała, co ją spowodowało i dlaczego ojciec złości się właśnie na nią. – Przepraszam, że musiałeś na mnie tak długo czekać, tatku.

– Nie przepraszaj. – Czekał na nią od trzech kwadransów, ale to przecież nie jej wina. Specjalnie przyjechał wcześniej, bo to była jej pierwsza potańcówka, i miał obawy, że źle jej pójdzie. Siedział w samochodzie, słuchał mieszanki śmiechu i muzyki i wyobrażał sobie parkiet a Helen na samym jego środku, promienną i radosną w swoim kostiumie Cyganki. Gdy w końcu wyszła, sama, z tą swoją niezadowoloną miną, uczucie zawodu aż podeszło mu do gardła i zaczęło go dławić, tak że prawie nie mógł złapać tchu.

– Tańczyłaś z kimś?

– Tak.

– Z kim?

Nie chciała kłamać, ale wiedziała, że musi, więc zrobiła to i poszło jej nadspodziewanie dobrze. Bez wahania opisała niektórych chłopaków, których obserwowała, gdy tańczyli z Evie, podała ich imiona, streściła rozmowy i drobne wydarzenia.

Mówiła przez całą drogę do domu, a ojciec uśmiechał się, kiwał głową i wtrącał drobne komentarze. „Z tego Jima to chyba niezły kawalarz”. „Szkoda,

że ten Powers jest od ciebie niższy". „Nie cieszysz się teraz, że zapisaliśmy cię do szkoły tańca?"

Później, gdy pocałowała go na dobranoc, poklepała ją lekko po pupie.

– Muszę teraz na ciebie uważać, młoda damo. Za którymś razem jeden z tych durniów, co się wokół ciebie kręca, wykopie mnie z domu!

– Dobranoc, tatku.

– Zapomniałem spytać cię o Evie. Też się dobrze bawiła?

– Chyba tak. Byłam zbyt zajęta, żeby zwracać na nią uwagę. Poszła do łóżka, niemalże wierząc już we własne kłamstwa, bo ojciec uwierzył w nie tak bezkrytycznie.

Następnego dnia do ojca zadzwoniła pani dziekan ze szkoły Helen, która była jedną z opiekunek dziewcząt na zabawie. Chciała sprawdzić, czy u Helen wszystko w porządku, bo na potańcówce wydawała się taka nieszczęśliwa.

Przy kolacji pan Clarvoe przemilczał tę sprawę ze względu na Vernę i Douglasa, ale później zawołał ją do siebie i zamknął drzwi.

– Dlaczego skłamałaś, Helen?

– O czym?

– O potańcówce.

Stała bez słowa, czerwona z upokorzenia.

– Dlaczego skłamałaś?

– Nie wiem.

– Gdyby to było tylko jedno kłamstwo... ale ty utkałaś całą ich sieć. Nie mogę tego pojąć. Dlaczego?

Pokręciła tylko głową.

– Nic z tego, co mi powiedziałaś, nie pokrywa się z prawdą?



- Nie, nic – oświadczyła z gorzką satysfakcją, wiedząc, że rani go to prawie tak samo jak ją. – Nic a nic.
- Ci wszyscy chłopcy... nawet nie istnieją?
- Wymyśliłam ich.
- Helen, spójrz na mnie. Chcę usłyszeć prawdę. Całą prawdę. Co naprawdę wydarzyło się na tej zabawie?
- Schowałam się w łazience.
- Zrobił krok do tyłu, jakby słowa te ugodziły go w pierś.
- Schowałaś się... w łazience.
- Tak.
- Dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?
- Nic lepszego nie przychodziło mi do głowy.
- Mój Boże, czemu do mnie nie zadzwoniłaś? Zabrałbym cię do domu.
- Dlaczego nic nie *powiedziałaś*?
- Byłam zbyt... dumna.
- To nazywasz dumą? Dąsanie się w łazience? To jest wręcz obsceniczne.
- Nic lepszego nie przychodziło mi do głowy – powtórzyła.
- A Evie? Była z tobą?
- Nie. Tańczyła.
- Przez cały wieczór ona tańczyła, a ty ukrywałaś się w łazience?
- Tak.
- Wielkie nieba, dlaczego?
- Ona miała wzięcie, a ja nie.
- Sama się tego pozbawiłaś, skoro uciekłaś do łazienki.
- I tak nie miałabym wzięcia. To znaczy, nie jestem ładna.

– Ale wkrótce będziesz. W końcu twoja mama jest jedną z najładniejszych kobiet w całym stanie.

– A wszyscy mówią, że jestem podobna do ciebie.

– Bzdury, z każdym dniem coraz bardziej przypominasz mamę. Co, na miłość boską, przyszło ci do głowy, dlaczego myślisz, że z twoim wyglądem jest coś nie tak?

– Nie podobam się chłopakom.

– Pewnie dlatego, że jesteś taka nieprzystępna. Dlaczego nie możesz się zachowywać swobodniej, jak Evie?

Nie powiedziała mu tego, czego sam powinien był już się domyślić – że oddałyby wszystko, żeby być taka jak Evie, nie tylko na potańcówce, ale zawsze i wszędzie.

Gniew ojca, na początku wybuchowy i kipiący jak lawa, teraz się ochładzał i przeradzał w skorupę pogardy.

– Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że będę musiał ukarać cię za te kłamstwa?

– Tak.

– Żałujesz, że skłamałaś?

– Tak.

– Jest tylko jeden sposób, aby sprawdzić, czy twoja skrucha jest prawdziwa. Gdybyś miała możliwość powtórzenia tych kłamstw, wiedząc, że nikt ich nie wykryje, zrobiłabyś to?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo uszczęśliwiłoby to nas oboje.

Była to prawda i wiedział o tym tak samo jak ona, ale pokręcił głową i stwierdził: – Zawiodłem się na tobie, Helen, strasznie się zawiodłem. Możesz iść do swojego pokoju.

– Dobrze. – Przy drzwiach zawahała się lekko. – A co z moją karą?

– Twoją karą, Helen, jest bycie sobą i to, że musisz sama ze sobą wytrzymać.

Wieczorem usłyszała, że rodzice rozmawiają w swojej sypialni, i podkraśniała się ciemnym korytarzem, żeby ich podsłuchać.

– No cóż, Bóg mi świadkiem, że ja zrobiłam, co mogłam – oznajmiła Verna. – I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu.

– A ten mój pomysł, że urządzimy jej wielkie przyjęcie i zaprosimy kilku chłopaków...

– Jakich chłopaków?

– Chyba znamy kogoś, kto ma synów w jej wieku?

– Tylko dwie rodziny przychodzą mi na myśl, Dillardowie i Pattersonowie. Nie znoszę Agathy Patterson, a poza tym cały ten pomysł z przyjęciem nie wypali.

– Musimy coś wymyślić. Jak tak dalej pójdzie, może nigdy nie wyjść za mąż.

– Ja cię po prostu nie rozumiem, Harrisonie. Cały czas traktujesz Helen, jakby miała cztery latka, a tu nagle te myśli o jej ślubie.

– Mnie za to winisz?

– Kogoś trzeba.

– Ale broń Boże ciebie.

– Ja – oznajmiła z godnością – wychowuję Dougiego. Odpowiedzialność za dziewczynkę spoczywa na ojcu. Poza tym jest tak podobna do ciebie. Tak

po prawdzie, to ja jej nawet nie rozumiem. Nigdy nie mówi, co myśli albo co czuje.

– Nieśmiała jest, to wszystko. Musimy znaleźć sposób, żeby pokonać tę jej nieśmiałość.

– Ale jaki?

– Przede wszystkim uważam, że powinniśmy wspierać jej przyjaźń z Evie. Ta dziewczyna ma na Helen dobry wpływ.

– Zgadzam się. – Nastąpiła cisza, a potem dało się słyszeć westchnienie.

– Jaka szkoda, że nie mamy córki takiej jak Evie...

Bosa, drżąc z zimna i strachu, powlokła się do swojego pokoju i wspięła się na łóżko. Ściany i sufit zdawały się kurczyć i napierać na nią, aż w końcu uwięziły ją jak trumna. Wiedziała, że ojciec miał rację. Jej karą było bycie sobą, wieczne życie z sobą samą – dziewczyną żywcem zamkniętą w trumnie.

Tej nocy nie zmrużyła oka, a uczuciem, które rządziło teraz w jej sercu, nie była uraza do rodziców, ale nowa i gorzka nienawiść do Evie.

Nic z tą nienawiścią nie robiła. Pogrzebała ją w trumnie obok siebie i nikt nie domyślał się, że tam jest. Między nią a Evie nic się nie zmieniło, albo prawie nic. Cały czas kochały się w panu od fizyki o rozmarzonych oczach, pisały liściki w sekretnym języku i wymieniały się ubraniami, jedzeniem z domu oraz zwierzeniami. Różnica polegała na tym, że zwierzenia Helen nie były prawdziwe. Wymyślała je, tak jak wymyśliła tych chłopców i przebieg potańcówki dla ojca.

Gdy pod koniec wiosennego semestru Evie znalazła sobie chłopaka, Helen znalazła dwóch. Gdy Evie, w nagrodę za dobre stopnie, obiecano konia, Helen obiecano samochód. Evie coraz trudniej było przyjmować te kłamstwa, a

Helen – wymyślać je, więc zaczęły się w końcu unikać. W domu Helen miała z tego powodu kłopoty, ale przewidziała to i przygotowała się.

– Dlaczego nie zaprosiłaś Evie na weekend? – pytał ojciec.

– Zaprosiłam ją, ale nie chciała.

– Dlaczego nie?

Zawahała się, ale tylko na tyle, żeby wzbudzić jego ciekawość. – Obiecałam jej, że nie powiem.

– Jestem twoim ojcem, mnie możesz powiedzieć.

– Nie mogę.

– Czy my zrobiliśmy coś nie tak?

– Och nie. Po prostu... jest zajęta, chciała zostać w szkole i pouczyć się do testu z łaciny.

– To do Evie niepodobne – zostawać w szkole, kiedy mogłaby się dobrze bawić.

– O, na pewno będzie się dobrze... to znaczy, ona lubi się uczyć.

– Czyli wcale nie ma zamiaru się uczyć, o to chodzi?

– Obiecałam jej, że nikomu nie powiem.

– Wygląda na to, że będę tu musiał przeprowadzić śledztwo. Gdzie jest Evie?

– W szkole.

– Dlaczego?

– Nie mogę ci powiedzieć. Złożyłam uroczystą przysięgę.

– Żądam natychmiastowej i szczerzej odpowiedzi. Słyszysz mnie, Helen?

– Tak, ale...

– Żadnych ale, żadnych wykrętów.

– Ona... ona ma chłopaka.

– Tak? I co dalej?

– Nie chce, żeby jej rodzice się o tym dowiedzieli, bp to Meksykanin.

– *Meksykanin.*

– Pracuje niedaleko naszej szkoły, na plantacji cytryn. Po zgaszeniu świateł Evie wychodzi przez okno i spotyka się z nim w lesie. – Zaczęła płakać. – Nie chciałam ci o tym mówić. Zmusiłeś mnie. Przez ciebie musiałam skłamać!

Panna Clarvoe leżała w łóżku, prawe ramię zarzuciła na twarz, jakby chciała osłonić się od naporu wspomnień. Sufit na nią napierał, a ściany się kurczyły, aż poczuła się jak w trumnie – ściśnięta, uwięziona bez powietrza, zaplombowana na wieczność. A razem z nią uwięzione były pamiątki z jej życia: „Twoją karą jest bycie sobą i to, że musisz sama ze sobą wytrzymać”. „Jaka szkoda, że nie mamy córki takiej jak Evie...”

Dom stał pośrodku niewielkiego ogrodu otoczonego murem, na Kasmir Street w Westwood. Grawerowana tabliczka nad dzwonkiem głosiła: Pani Annabel Merrick, Panna Evelyn Merrick.

Willa wydawała się zapuszczona, ale kobieta, która otworzyła Blackshearowi drzwi – nie. Pulchna, rumiana i opalona, wyglądała jak żona farmera, ale strój nosiła miejski; elegancką garsonkę z tenisu, pod którą można się było domyślić jeszcze bardziej restrykcyjnych części garderoby.

– Pan Blackshear?

– Tak.

– Jestem Annabel Merrick. – Uścisnęli sobie dłonie. – Niech pan wejdzie, właśnie robię śniadanie. Jeśli pan jeszcze nie jadł, wrzucę na patelnię dodatkowe jajko.

– Jadłem, dziękuję.

– To może chociaż kawy? – Zamknęła za nim drzwi wejściowe i poprowadziła go przez salon do kuchni. – Przyznam, że zaskoczył mnie pański wczesny telefon.

– Przykro mi, jeśli wyciągnąłem panią z łóżka.

– O, nie, skądże. Ja pracuję, rozumie pan. W kwaciarni hotelu Roosevelt. Na pewno nie chce pan jajka?

– Nie, dziękuję.

– Kilka lat temu rozwiodłam się, a alimenty oczywiście nie rosą wraz z kosztami życia, więc cieszę się, że mam pracę. A praca wśród kwiatów nie wydaje się pracą. Moje ulubione to ostróżki. To te niebieskie – boskie, po prostu boskie.

Postawiła talerz z jajkami i tostami na stole i usiadła naprzeciwko Blacksheara. Wydawała się zupełnie spokojna, jakby nie widziała nic dziwnego w tym, że jakiś obcy mężczyzna wprasza się do niej przed ósmą rano.

– Blackshear, dziwne nazwisko. Czy ludzie nie mylą się i nie mówią Blacksheep? Co znaczy przecież „czarna owca”...

– Często.

– Pańska kawa. A tu – cukier i śmietanka. Nie powiedział mi pan, czym się pan zajmuje.

– Akcjami i obligacjami.

– Akcjami i obligacjami? I chce pan się widzieć z Evelyn? Na Boga, trafił pan jak kulą w płot. Żadna z nas nie jest w stanie zainwestować nawet centa. I tak się akurat składa, że Evelyn jest teraz bezrobotna.

– Ale chyba nie zaszkodzi, jak z nią porozmawiam.

– Pewnie nie. Jak już mówiłam panu przez telefon, nie ma jej akurat w domu. Będzie dwa czy trzy dni u przyjaciółki, której mąż wyjechał z miasta. Ta przyjaciółka nie lubi w nocy zostawać sama, a Evelyn jest zawsze taka uczynna. To już taki typ, dla przyjaciółki zrobiłaby wszystko.

W jej głosie pobrzmiwała macierzyńska duma, i Blackshear doszedł do wniosku, że pani Merrick jest zaślepiona na punkcie swojej córki, tak jak Verna Clarvoe na punkcie swego syna.

– Mógłbym dostać nazwisko i adres tej pani? – zapytał.

– Oczywiście. Nazywa się Claire Laurence, A jej mąż ma na imię John, Nessler Avenue 1375, to niedaleko uniwersytetu. W ciągu dnia Evelyn tam nie będzie, bo szuka pracy, ale myślę, że pojawi się w okolicach kolacji.

– Jakiego typu pracy szuka? Może mógłbym jej pomóc.



– Obawiam się, że akcje i obligacje to nie jej działka.  
– A co nią jest? Może scena? Chciałaby zostać modelką czy kimś takim?  
– Boże, nie! Evelyn to rozsądna i dojrzała dziewczyna. Skąd w ogóle przyszło panu do głowy, że chciałaby zostać modelką?

– Wiele ładnych dziewcząt tego chce.  
– Evelyn jest ładna, ale nie próżna, i ma wystarczająco oleju w głowie, żeby nie chcieć kariery, która jest tak niepewna i krótkotrwała. Evelyn myśli o przyszłości. Jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję.

Zdawała się go jednak nie słyszeć. Dołała mu do filiżanki i zauważył, że trzęsie się jej ręka.

– Mam nadzieję, że niczym pani nie zdenerwowałem – powiedział w końcu.

– Może i tak. A może byłam już zdenerwowana czymś innym.

– Martwi się pani o Evelyn?

– A o cóż innego może martwić się matka, zwłaszcza jeśli to jej jedyne dziecko? Chcę, by Evelyn była szczęśliwa, tylko tego sobie życzę, żeby była szczęśliwa i bezpieczna.

– A nie jest?

– Przez pewien czas myślałam, że jest. Ale potem zmieniła się. Od czasu ślubu jest już inna. – Spojrzała przez stół i uśmiechnęła się słabo. – Sama nie wiem, czemu to panu opowiadam. Przez telefon powiedział pan, że nawet jej pan nie zna.

– Bo nie znam. Ale słyszałem o niej w domu państwa Clarvoe.

– To pańscy znajomi?

– Tak.

– A więc już słyszał pan o tamtym ślubie?

– Tak.

– Dlatego pan tu jest? Verna prosiła, aby jakoś nam pan to wynagrodził?

– Nie.

– Myślałam, że może... Cóż, teraz to już bez znaczenia. Skończone. Nie warto płakać nad rozlanym mlekiem i tak dalej. – Zniosła pusty talerz do zlewu i zaczęła splukiwać go pod kranem. – Moje własne małżeństwo nie udało się. W małżeństwie Evelyn pokładałam wielkie nadzieje. Jakaż byłam głupia, że tego nie dostrzegłam...

– Czego pani nie dostrzegła, pani Merrick?

– Sam pan wie. – Odwróciła się tak gwałtownie, że talerz wypadł jej z rąk i stłukł się w zlewie. – Moja córka poślubiła pedzja. A ja jej na to pozwoliłam. Pozwoliłam, bo byłam ślepa, zwiedziona, tak jak Evelyn, jego delikatnością i doskonałymi manierami, i jego tak zwanymi ideałami. Myślałam, że będzie z niego czuły, troskliwy mąż. Pojmuje pan już, co Evelyn mogła o nim sobie wyobrazić?

– Tak, doskonale to pojmuję.

– Pewnie innym dziewczętom też się to zdarza, związek z pedziem, ale Evelyn by się to nie zdarzyło, gdybyśmy nie byli rozwiedzeni, gdyby jej ojciec tu był. Od razu zorientowałyby się, że z Douglasem jest coś nie tak. A tak, nie miałyśmy żadnej wskazówki, nic o tym nie świadczyło... Pojechali na miesiąc miodowy do Las Vegas. Dostałam od Evelyn kartkę, że ma się dobrze i że pogoda jest piękna. I to by było na tyle, dopóki którejś nocy tydzień później nie usłyszałam dzwonka do drzwi. Otwieram, a na progu stoi Evelyn z walizkami. Nie płakała, nie wściekała się, po prostu oznajmiła rzeczowo: „To zboczeniec...” To był straszny szok, straszny. Wciąż pytałam ją, czy jest

pewna, zapewniałam, że niektórzy mężczyźni na początku tak mają, są nieśmiali i zawstydzeni. Ale twierdziła, że to prawda, bo sam jej to wyznał. Przeprosił ją. Dobrze sobie – przeprosił ją, że się z nią ożenił... Evie zostawiła walizki na progu, nie chciała nawet, żebym wносиła je do domu, a następnego dnia zabrała je do Armii Zbawienia, swój posag, suknię ślubną i całą resztę. Gdy wróciła w porze obiadu, była tak blada i wykończona, że serce mi się krajało z żalu i, owszem, z poczucia winy też. Powinnam była się domyślić. Byłam przecież cały czas na miejscu. To ja byłam za to odpowiedzialna...

Pani Merrick znowu odwróciła się do zlewu, pozbierała kawałki rozbitego talerza i wrzuciła je do śmieci.

– Pęknięty talerz wyrzuca się do śmieci. Pękniętej osobie można tylko pomóc pozbierać kawałki i próbować je skleić, jak tylko się da... No, Evelyn niezupełnie pękła. Ona po prostu... hm, jakby straciła zainteresowanie czymkolwiek. Zawsze była dziewczyną żywą, towarzyską, lubiła mówić to, co myśli, co czuje. Tej nocy, gdy wróciła do domu, powinna była powściekać się, a ja powinnam była zachęcać ją, żeby wyplakała się i wygadała. Ale ona była zgaszona, pełna rezerwy...

*Evelyn, kochanie, jadłaś kolację?*

– *Chyba tak.*

– *Podgrzeję ci trochę zupy. Z kukurydzy.*

– *Nie, dziękuję.*

– *Evelyn... słonko...*

– *Proszę, nie rozklejaj się, mam. Musimy sporządzić plan.*

– *Plan?*

– *Chyba powinnam dostać unieważnienie. Mam do tego prawo, skoro małżeństwo nie zostało, jak to się mówi, skonsumowane.*

– *Chyba tak.*

– *Jutro rano muszę zobaczyć się z prawnikiem.*

– *Po co ten pośpiech? Daj sobie trochę czasu na odpoczynek.*

– *Odpoczynek od czego? – uśmiechnęła się gorzko. – Nie. Im wcześniej, tym lepiej. Muszę pozbyć się nazwiska Clarvoe. Nie cierpię go.*

– *Evelyn. Evelyn, kochanie, posłuchaj mnie...*

– *Słucham.*

– *On cię nie... molestował?*

– *To znaczy?*

– *Nie czynił ci, no cóż, nieprzyzwoitych propozycji?*

– *Wszystkie propozycje wyszły ode mnie.*

– *Dzięki Bogu.*

– *Za co?*

– *Że cię nie molestował.*

– *Masz zupełnie zły obraz sytuacji – stwierdziła dobitnie Evelyn. – Jeśli chcesz, przedstawię ci obraz prawdziwy.*

– *Tylko jeśli sama tego chcesz, kochanie.*

– *Wszystko mi jedno. Ale nie chcę, abyś myślała, że byłam maltretowana fizycznie. – Mówiła tak, masując serdeczny palec lewej ręki, jakby chciała zetrzeć z niego ślad obrączki. – To zaczęło się już w samolocie, gdy zrobiło mu się niedobrze. Myślałam, że to choroba lokomocyjna, ale teraz zdaję sobie sprawę, że chorował ze strachu, ze strachu przed byciem ze mną sam na sam, przed robieniem czegoś, co było mu wstrętne. Po przyjeździe do hotelu poszedł do baru, a ja nas rozpakowywałam. Przesiedział w barze całą noc. Czekałam na niego, ubrana w mój frymuśny peniuar. Koło szóstej nad ranem dwaj boye hotelowi przynieśli go i rzucili na łóżko. Chrapał. Wyglądał tak zabawnie, ale i*

*żałośnie, jak mały chłopczyk. Gdy zaczął okazywać znaki życia, podeszłam do niego, żeby porozmawiać i pogłaskać go po głowie. Otworzył oczy i zobaczył, że pochylałam się nad nim. Wrzasnął jak zwierzę, był to najdziwniejszy krzyk, jaki słyszałam w życiu. Wciąż nie wiedziałam, o co mu chodzi, myślałam, że po prostu ma kaca. – Usta wykrzywiły się jej ze wzgardy i obrzydzenia. – Cóż, faktycznie miał kaca, ale po przyjęciu, które skończyło się całe lata temu.*

*– Och, Evelyn. Słonko...*

*– Proszę, nie histeryzuj.*

*– Ale w takim razie dlaczego się z tobą ożenił?*

*– Dlatego – oznajmiła sucho – że chciał udowodnić, że nie jest pedałem.*

Blackshear słuchał i żałował jej, żałował ich wszystkich: Evelyn, czekającej na pana młodego we frymuśnym peniuarze, Douglasa, chorego ze strachu, Verny, desperacko usiłującej ukryć prawdę przed samą sobą.

– Wczoraj – ciągnęła pani Merrick – Evelyn i ja robiłyśmy w mieście zakupy. Pierwszy raz od czasu ślubu widziałyśmy Vernę Clarvoe. Wytrąciło mnie to z równowagi. Nie miałam jej do powiedzenia nic prócz inwektyw. Ale Evelyn była nad podziw opanowana. Nawet spytała o Douglasa, co u niego, takie tam, najnaturalniej pod słońcem... A Verna ciągnęła tę swoją farsę: u Dougiego wszystko dobrze, bierze lekcje fotografii, robi to, robi tamto, robi siamto. Wyglądało to tak, jakby pragnęła zacząć coś od nowa, jakby chciała wzbudzić w Evelyn zainteresowanie Douglasem. Dopiero potem mnie to uderzyło – ona *nie wie*, Verna wciąż o tym nie wie, wciąż ma nadzieję, prawda?

– Myślę, że tak.

– Biedna Verna – szepnęła. – Zwłaszcza dzisiaj żal mi jej.

– Dlaczego dzisiaj?

– Bo to jego urodziny. Urodziny Douglasa.

TCLAR

## 9

Drzwi do pokoju Douglasa były zamknięte; tylko dzięki nim domyśliła się, że tej nocy wrócił jednak do domu; może dlatego, że chciał wrócić, a może dlatego, że nie miał już dokąd pójść.

Zapukała i zawołała:

– Douglas! – ostrym, silnym głosem, który jej samej wydał się obcy. – Nie śpisz?

Z pokoju zaczęły dobiegać dźwięki wstawania – głuchy odgłos stóp stawianych na dywanie i słowa jakiejś niewyraźnej odpowiedzi.

– Chcę z tobą porozmawiać, Douglas. Ubieraj się i schodź na dół. W tej chwili.

W kuchni, przy blacie, siedziała szczupła, starsza kobieta imieniem Mabel, ich służąca na pół etatu. Z nogą założoną na nogę, popijała kawę i czytała porannego *Timesa*. Nie wstała, kiedy weszła Verna, bo pracodawczyni zalegała jej nie tylko z zapłatą, ale i z uprzejmością.

– W piekarniku ma pani muffiny. Wczorajsze. Podgrzane. Mam podać sok pomarańczowy?

– Sama wezmę.

– Zrobiłam listę zakupów. Znowu skończyły się jajka i kawa. Co jakiś czas potrzebna mi jest kapka kawy na uspokojenie, a to, co jest w dzbanku, nie starczy nawet na filiżankę.

– Dobrze, idź i kup. Przy okazji możesz zrobić resztę zakupów. Potrzebujemy stuwatowych żarówek i ręczników papierowych, i sprawdź też, czy w wiaderku są ziemniaki.

– Mam to zrobić teraz, zanim przekąszę co nieco?

- Umawialiśmy się, że masz jadać przed przyjściem do pracy.
- Umawialiśmy się też w innych kwestiach.
- W tym tygodniu ci zapłacę. Spodziewam się dziś czeku.

Gdy służąca wyszła, Verna wyjęła muffiny z piekarnika i nadgryzła jednego. Miał konsystencję gumy, a jagody w środku wyglądały jak zmiażdżone fioletowe muchy.

Dolała wody do dzbanka z kawą i podgrzała go, naląła sobie też soku pomarańczowego z lodówki. Śmierdział stęchlizną. Cała lodówka śmierdziała stęchlizną, zupełnie jakby Mabel poupychała w jej zakamarkach resztki jedzenia i zapomniała o nich.

Jak tylko jej zapłacę, będę musiała ją zwolnić – pomyślała Verna, słysząc na podjeździe zawodzenie i rżenie wiekowego dodge'a Mabel. Niezręcznie trzymać ją tu tylko dlatego, że finansowo nie stać mnie na wyrzucenie jej.

Douglas wszedł, gdy właśnie nalewała sobie kawy. Nie ubrał się, jak go prosiła. Miał na sobie frotowy szlafrok i mokasyny z koralikami – strój, który nosił poprzedniego wieczora, przed wizytą Blacksheara. Wyglądał na wykończonego. Jego cienie pod oczami przypominały siniaki, a od skroni do kącika ust biegły trzy równoległe zadrapania. Chciał zasłonić je dłonią, ale to tylko zwróciło jej uwagę.

- Co ci się stało w policzek?
- Bawiłem się z kotem.

Usiadł obok niej, z lewej strony, tak żeby mogła patrzeć tylko na zdrowy policzek. Ich ramiona zetknęły się i Vernę przeszedł dreszcz, jak ukłucie igłą. Wstała niepewnie i podeszła do piecyka.

- Nałożę ci muffinów.
- Nie jestem głodny. – Zapalił papierosa.



– Nie powinienes palić przed śniadaniem. Gdzie byłeś wczoraj w nocy?

– Poza domem.

– Poza domem, i bawiłeś się z kotem. Upojna noc, co?

Pokręcił ze znużeniem głową.

– A z jakim to kotem się tak bawiłeś?

– Ze zwykłym dachowcem.

– Czworonożnym?... – Przerwała. – Bo chyba nie taki cię podrapał?

– Nie wiem, o co ci chodzi, naprawdę nie wiem. – Spojrzał na nią swoimi gołębimi, niewinnymi oczami. – O co ty się tak złościś, mamó? Wyszedłem się przejść, zobaczyłem jakiegoś kota, podniosłem go i chciałem go pogłaskać, ale on mnie podrapał. Bóg mi świadkiem że tak właśnie było.

– Bóg ci świadkiem, w rzeczy samej – powiedziała. – Bo nikt inny nie podjąłby się tego.

– Skąd u ciebie wziął się ten grobowy nastrój?

– Nie domyślasz się?

– Jasne, że się domyślam.

– A więc?

– Usiłowałam pożyczyć od Helen pieniądze, a ona odmówiła.

– Pudło.

– Mabel zażądała zaległej wypłaty.

– Znowu pudło.

– W każdym razie na pewno chodzi o pieniądze.

– Nie tym razem.

Wstał i ruszył do drzwi.

– Zmęczyła mnie już ta zgaduj– zgadula. Chyba pójdę na...

– Siadaj.

Przystanął w drzwiach. – Nie sądzisz czasem, że jestem już za duży, żeby mi rozkazywać jak...

– Siadaj, Douglas.

– Dobrze, już dobrze.

– Gdzie byłeś wczoraj w nocy?

– A więc zaczynamy od początku?

– Owszem.

– Wyszedłem na spacer. Ładną mieliśmy noc.

– Padał deszcz.

– Nie jak wychodziłem. Zaczął się koło dziesiątej.

– I spacerowałeś dalej?

– Pewnie.

– Aż doszedłeś do domu pana Teroli?

Oniemiały, utkwiał w niej nieruchome spojrzenie.

– Czyli to był cel twojej wędrówki, jeden z pokoiów na tyłach studia Teroli?

Wciąż nie odpowiadał.

– A może nie Teroli, może było ci wszystko jedno, na którym zapleczu wylądujesz. Podobno tacy jak ty nie są wybredni. – Usłyszała, jak słowa te wychodzą z jej ust, ale cały czas nie wierzyła w nie. Czekwała z pięściami przyciśniętymi do boków na upragnioną reakcję: szok, gniew, wyparcie się. Nie odpowiadał.

– Co tam się odbywa, w tym atelier? Mam prawo wiedzieć. Płacę za te twoje tak zwane „lekcje fotografii”. Naprawdę uczysz się tam czegoś o fotografii?

Na chwiejnych nogach podszedł do blatu i znowu usiadł.

– Tak.

– Stoisz za obiektywem czy przed?

– Nie wiem... o co ci chodzi.

– Musisz to wiedzieć, inni wiedzą. Sama wczoraj o tym usłyszałam.

– O czym?

– O zdjęciach, jakie robi Terola. Nie są to zdjęcia nadające się do rodzinnego albumu, prawda?

– Skąd mam wiedzieć?

– Kto może to wiedzieć lepiej niż ty, Douglas? Pozujesz do nich, czyż nie?

Pokręcił głową. To było właśnie to wyparcie się, na które czekała, o które modliła się, ale było tak kruche i niepewne, że bała się go dotknąć, ze strachu, że pęknie.

– Z kim o tym rozmawiałaś? – zapytał.

– Wczoraj, po twoim wyjściu, ktoś do mnie zadzwonił.

– Kto?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Jeśli krążą o mnie jakieś plotki, to mam prawo wiedzieć, kto je rozpuszcza.

Złapała się tej ostatniej nadziei.

– Plotki? A więc to tylko plotki, Douglasie? Nic z tego nie jest prawdą?

Ani słowo?

– Nie.

– Och, dzięki Bogu, dzięki Bogu.

Podbiegła do niego z rozpostartymi ramionami.

Twarz mu pobladła, a ciało zeszywniało, przygotowując się na jej czułości. Głaskała go po włosach, całowała w czoło, tkliwie gładziła zadrapania na policzku, szeptała jego imię: – Dougie. Dougie, kochany. Tak cię przepraszam, kochanie.

Ramiona matki owinięły się wokół niego jak węże. Z obrzydzenia było mu niedobrze, ze strachu – słabo. W gardle uwięzło mu wołanie o pomoc: *Boże. Boże, ratuj. Boże, wybaw mnie.*

– Dougie, kochanie. Tak cię przepraszam. Wybaczysz mi, prawda?

– Tak.

– Och, jaka ze mnie zła matka, że uwierzyłam w te kłamstwa. Bo to były tylko kłamstwa, kłamstwa.

– Proszę cię – wyszeptał. – Dusisz mnie.

Ale słowa te były tak zdławione, że nie usłyszała ich. Przycisnęła policzek do jego policzka. – Nie powinnam była mówić tych strasznych rzeczy, Dougie. Jesteś moim synem. Kocham cię.

– Przestań! Przestań już!

Wyrwał się z jej objęć i pomknął do drzwi, chwilę później usłyszała tupot szybkich, wściekłych kroków na schodach.

Długo siedziała nieruchomo, z kamiennym wyrazem twarzy i martwymi oczami, jak głuchoniema w pokoju pełnym gaduł. Potem poszła za nim na górę.

Leżał rozciągnięty na łóżku, twarzą w dół. Nie podchodziła do niego. Po prostu stanęła na progu.

– Douglas.

– Odejdź. Proszę. Źle się czuję, jestem chyba chory.

– Wiem, że jesteś chory – powiedziała z bólem. – Musimy cię... uleczyć, zabrać cię do lekarza.

Kręcił głową po satynowym prześcieradle.

Przyszły jej do głowy różne pytania: Kiedy się o tym przekonałeś? Dlaczego nie zwróciłeś się do mnie? Kto cię zdeprawował? Nie zadała ich jednak.

– Pójdziemy do lekarza – zakomenderowała z większym przekonaniem. – To jest uleczalne, to musi być uleczalne. Teraz wszystko potrafią wyleczyć tymi cudownymi lekami, kortyzonem, kortykotropiną i całą resztą.

– Nie rozumiesz. Po prostu *nie rozumiesz*.

– Może jednak rozumiem. Zaufaj mi. Czego tu nie rozumieć?

– Proszę. Zostaw mnie w spokoju.

– Tego właśnie chcesz?

– Tak.

– Dobrze więc – oznajmiła chłodno. – Zostawię cię w spokoju. I tak muszę załatwić pewną sprawę.

Coś w głosie Verny zwróciło jego uwagę, przetoczył się więc na bok i usiadł. – Jaką sprawę? Chyba nie chcesz zobaczyć się z lekarzem?

– Nie, to twój obowiązek.

– A twój?

– Moim obowiązkiem – oświadczyła – jest spotkać się z Terolą.

– Nie. Nie idź tam.

– Muszę. To mój obowiązek, jako twojej matki.

– Nie idź.

– Ja muszę stanąć z tym zdeprawowanym człowiekiem twarzą w twarz.

– On nie jest zdeprawowany – odparł ze znużeniem. – On jest taki jak ja.

– Nie masz wstydu ani poczucia przyzwoitości, że przed własną matką bronisz takiego człowieka?

– Nie bronię...

– Gdzie twój szacunek do samego siebie, Douglasie, gdzie twoja duma?

Chciał jej tyle powiedzieć, że wszystkie te słowa stanęły mu w gardle i nie powiedział w końcu nic.

– Zobaczę się z tym całym Terolą i wygarnę mu, co o nim myślę. Takiego człowieka nie powinno się puszczać wolno, to przecież hańba. Przed tobą pewnie zdeprawował jeszcze wielu innych młodych ludzi.

– Nie zdeprawował mnie.

– Co ty mówisz, Douglasie? Oczywiście, że tak. To on jest za to odpowiedzialny. Gdyby nie on, byłbyś zupełnie normalny. Już ja dopilnuję, żeby za to zapłacił...

– Mamo. Przestań.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Ich spojrzenia to krzyżowały się, to uciekały w drugi kąt pokoju, jak spojrzenia obcych sobie przechodniów.

– Ten Terola – powiedziała w końcu – nie był zatem pierwszy.

– Nie.

– A kto był?

– Zapomniałem.

– Kiedy to się stało?

– Tak dawno temu, że już nie pamiętam.

– Przez te wszystkie lata... przez te wszystkie *lata*...

– Przez te wszystkie lata – powtórzył wolno, posługując się słowami jak bronią, tak przeciwko niej, jak i przeciwko sobie samemu.

Nie słyszał, jak wychodziła, ale gdy podniósł głowę, już jej nie było, a drzwi były zamknięte.

Położył się na łóżku i słuchał, jak deszcz stuka o dach i jak niezadowolony z pogody strzyżyk ćwierka pod dachem. Wszystkie dźwięki brzmiały wyraźnie i ostro, i ostatecznie: trzeszczenie eukaliptusów na wzmagającym się wietrze, szczekanie owczarka collie u sąsiadów, zawodzenie i rzeżenie wiekowego dodge'a Mabel na podjeździe, trzaśnięcie drzwiczek, tykanie elektronicznego budzika przy łóżku.

Zdawało mu się, że wcześniej tak naprawdę nie słuchał, a teraz, kiedy nauczył się już tego, każdy dźwięk okazywał się osobisty i proroczy. Sam był tym strzyżykiem i tym deszczem, wiatrem i drzewami szumiącymi na wietrze. Łączył sobą przeciwieństwa, był jednocześnie podmiotem i przedmiotem, zawierał w sobie pierwiastek męski i żeński.

*Przez te wszystkie lata, tykał zegar, przez te wszystkie lata.*

Verna znów zapukała i weszła. Ubrana była stosownie do pogody, w czerwony płaszcz od deszczu w szkocką kratę i pasującą czapkę z daszkiem.

Oznajmiła:

- Mabel wróciła. Nie podnoś głosu. Ona ma słuch jak nietoperz.
- I tak nie mam nic do powiedzenia.
- Może wymyślisz coś do mojego powrotu.
- Ale nie idziesz zobaczyć się z Terolą?
- Przecież mówiłam już, że idę.
- Proszę, nie rób tego.
- Muszę mu zadać kilka pytań.
- Zadaj je mnie. Odpowiem ci. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

– Przestań marudzić, Douglas. Męczy mnie to. – Zawahała się. – Nie widzisz, że wykonuję swój obowiązek? Czynię to, co uczyniłby twój ojciec, gdyby jeszcze żył. To przecież oczywiste, że ten cały Terola jest zepsuty do cna, a ty wciąż go bronisz. Dlaczego? Obiecałeś, że powiesz mi wszystko. No, dlaczego?

Leżał na łóżku w bezruchu, z zamkniętymi oczami i poszarzałą twarzą. Przez moment wydawało się jej, że nie żyje, i nie poczuła ani radości, ani zawodu, tylko ulgę, że problem rozwiązał się tak łatwo – przez zatrzymanie serca. Wtedy jego wargi poruszyły się.

– Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Tak.

– Bo jestem jego żoną.

– Jego... *Coś ty powiedział?*

– Jestem jego żoną.

Otworzyła usta, wstrząśnięta, i wolno je zamknęła.

– Ty obrzydliwy potworze – szepnęła. – Ty obrzydliwy potworze...

Odwrócił głowę. Stała nad łóżkiem i przyglądała mu się, twarz wykrzywiając jej grymas nienawiści i pogardy.

– Mamo. Nie idź tam. Mamusiu!

– Nie mów tak do mnie. Nie mam z tobą nic wspólnego. – Zdecydowanym krokiem ruszyła do drzwi i otworzyła je. – Przy okazji, zapomniałabym. Wszystkiego najlepszego.

Gdy został sam, znów zaczął przysłuchiwać się budzikowi, strzyżykowi, deszczowi i drzewom. Potem usłyszał gniew Verny w dźwięku zapuszczanego silnika buicka. Odjeżdża, pomyślał. Ma zamiar spotkać się z Jackiem. Nie mogłem jej powstrzymać.



Wstał i poszedł do łazienki.

Prawie od roku, od czasu ślubu z Evelyn, zbierał pigułki nasenne. Teraz miał ich już z pięćdziesiąt, ukrytych w pudełku po solach kąpielowych w szafce z lekami – kapsułki w różnych radosnych kolorach, kolorach przeczących ich przeznaczeniu. Pięć z nich połknął bez problemu, szósta stanęła mu na chwilę w przętyku, a siódma w ogóle nie dawała się połknąć. Żelatynowa otoczka stopiła mu się w ustach, uwalniając swą zawartość – suchy, gorzki proszek, którym się zakrztusił. Z ósmą już nie próbował.

Wyjął żyletkę z maszynki do golenia i, stając nad umywalką, wcisnął jej ostrze w skórę, pokrywającą żyły na lewym nadgarstku. Żyletka była tępą, udało mu się jedynie podrapać nią skórę, ale na widok cieknącej krwi aż zakręciło mu się w głowie ze strachu. Miał wrażenie, że kolana pod nim miękną, a czaszka napełnia się powietrzem jak balon.

Chciał krzyknąć „Mamo, pomocy!”, ale wydał z siebie tylko jęk.

Lecąc do przodu, uderzył skronią o wystający kant umywalki. Ostatni dźwięk, jaki Douglas usłyszał, był wyraźny i ostry, i ostateczny – trzask pękającej kości.

## 10

O dziesiątej panna Clarvoe, która tego ranka zasnęła, kończyła właśnie śniadanie. Usłyszała pukanie do drzwi i pomyślała, że to jeden z młodszych kelnerów przyszedł po tacę i napiwek.

Przez szparę w drzwiach rzuciła: – Jeszcze nie skończyłam. Proszę przyjść później.

– Helen, to ja. Paul Blackshear. Wpuść mnie.

Otworzyła drzwi, zaskoczona natarczywością, jaką dało się słyszeć w jego głosie. – Czy coś się stało?

– Twoja matka usiłuje się z tobą skontaktować. W firmie telefonicznej nie chcieli jej podać twojego zastrzeżonego numeru, więc zadzwoniła do mnie i poprosiła, żebym przyjechał.

– Zapewne aby powiedzieć mi, że nasz urodzinowy obiad odwołany.

– Faktycznie, odwołała go.

– Cóż, nie musi martwić się, że w takim razie Douglas nie dostanie ode mnie prezentu. Wysłałam czek wczoraj wieczorem, powinien go dzisiaj dostać.

– Nie dostanie go dzisiaj.

– Dlaczego nie?

– Usiądź, Helen.

Podeszła do fotela przy oknie, ale nie usiadła. Stała za nim i zaczęła nerwowo pocierać tapicerowane oparcie swoimi długimi, chudymi rękoma, jakby chciała je rozgrzać.

– To oczywiście zła wiadomość – powiedziała w końcu, beznamietnym głosem. – Nie jest pan przecież chłopcem na posyłki, nawet matka nie

posłałaby pana do mnie tylko po to, aby poinformować mnie, że odwołała obiad.

– Douglas nie żyje.

Jej ręce na chwilę zamarły.

– Jak to się stało?

– Usiłował popełnić samobójstwo.

– Usiłował? Powiedział pan przecież, że nie żyje.

– Lekarz uważa, że Douglas połknął kilka tabletek nasennych i podciął sobie przegub, ale przyczyną śmierci był cios w głowę. Upadając, uderzył skronią o umywalkę, prawdopodobnie w omdleniu.

Odwróciła się i wyjrzała przez okno, chcąc ukryć nie żal, ale ponury uśmiezek wykrzywający jej usta. Biedny Douglas, z niczym nie potrafił skończyć, nawet z sobą samym.

– Tak mi przykro, Helen.

– Dlaczegoż to? Jeśli chciał umrzeć, jego sprawa.

– Przykro mi ze względu na ciebie.

– Dlaczego?

– Bo ty niczego nie odczuwasz, prawda? – Przeszedł przez pokój i stanął przy niej. – Prawda?

– Nie za wiele.

– A czy kiedyś komuś współczułaś? Komukolwiek?

– Tak.

– Komu?

– Ja... wolałabym, żeby nie pytał mnie pan o sprawy osobiste, panie Blackshear.

– Ja mam na imię Paul...

- Naprawdę, nie mogę się tak do pana zwracać.
- Dlaczego nie?
- Po prostu nie mogę, i już.
- Dobrze więc.
- Ja... – Odsunęła się od niego i stanęła pod ścianą, z rękami zaplecionymi z tyłu, jak u zawstydzonej uczennicy. – Jak matka to znosi?
- Tak naprawdę, to nie jestem pewien. Gdy rozmawialiśmy przez telefon, wydawała się przede wszystkim wściekła.
- Wściekła na kogo?
- Na Evelyn Merrick.
- Nie rozumiem. A co Evelyn miała wspólnego z Douglasem?
- Twoja matka uważa ją za odpowiedzialną.
- Dlaczego?
- Wczorajszej nocy Evelyn zadzwoniła do niej z kilkoma informacjami na temat Douglasa i Jacka Teroli, człowieka, który rzekomo miał mu udzielać lekcji fotografii. Nie będę tego powtarzał, dość powiedzieć, że nie było to zbyt ładne. Dziś rano nastąpiła konfrontacja pomiędzy twoją matką a Douglasem, który przyznał się do niektórych zarzutów. Twoja matka chciała rozmówić się też z Terolą i nawet wyjechała się z nim spotkać. Nie jestem pewien, czy widziała się z nim, czy nie. Twierdzi, że nie, że zawróciła i pojechała do domu. W tym samym czasie służąca, która weszła na górę posprzątać w pokoju Douglasa, znalazła jego ciało i zadzwoniła po lekarza. Gdy przyjechała pani Clarvoe, lekarz już był. Chciała natychmiast skontaktować się z tobą, a kiedy to się jej nie udało, zadzwoniła do mnie z prośbą, abym tu przyjechał.
- Dlaczego?
- Firma telefoniczna...

– Nie, chodzi mi o to, dlaczego tak bardzo chciała mnie od razu poinformować? Żeby mieć pewność, że skoro przysłałam piękny, gruby czek, to przyślę i piękny, gruby wieniec?

– To było bardzo okrutne, Helen.

– Tak, chyba tak. Przepraszam. Życie nauczyło mnie podejrzliwości. Tę lekcję przyswoiłam sobie aż za dobrze.

– Może któregoś dnia się tego oduczysz.

– Może. Ale oduczyć się jest już trudniej.

– Ja mógłbym ci pomóc, Helen.

– Jak?

– Oferując ci coś, czego tak mało zaznałaś w życiu.

– Co takiego?

– Możesz to nazwać miłością.

– Miłością. – Od szyi aż po kości policzkowe pokryła się fioletowawym rumieńcem. – Nie. Nie. Pan po prostu stara się być dla mnie miły.

– Nie staram się – uśmiechnął się. – Jestem dla ciebie miły.

– Nie. Nie chcę pańskiej miłości, niczyjej miłości. Nie mogę jej przyjąć.

Ona mnie... peszy.

– Dobrze. Nie ekscytuj się tak. Nie ma pośpiechu. Ja mogę poczekać.

– Poczekać? A na co chce pan poczekać?

– Na to, żebyś zapomniała niektóre z lekcji, jakie dało ci życie.

– A co, jeśli nie potrafię. Jeśli nigdy...

– Potrafisz, Helen. Tylko obiecaj mi, że się postarasz. Obiecujesz?

– Tak, postaram się – wyszeptała. – Ale nie wiem, gdzie zacząć.

– Już zaczęłaś.

Wyglądała na zaskoczoną i ucieszoną. – Naprawdę? Co takiego zrobiłam?

– Przypomniałaś sobie Evelyn Merrick.

– Skąd pan wie?

– Bo przed chwilą sama wspomniałaś o niej jak o kimś znajomym, znanym z imienia. Pamiętasz ją już wyraźnie?

– Tak.

– I wtedy, jak rozmawialiście przez telefon, gdy stwierdziła, że zawsze byłaś o nią zazdrosna, mówiła prawdę?

– Mówiła prawdę.

– Ale teraz już nie jest to prawda?

– Nie. Już jej nie zazdroszczę. Jej trzeba współczuć.

– Współczuć, tak – przyznał – ale trzeba ją też mieć na oku. Jest tym bardziej niebezpieczna, że z pozoru wydaje się zupełnie racjonalna.

– A więc widział ją pan.

– Jeszcze nie, zobaczę ją dziś wieczorem. Ale wczoraj, przed jej telefonem, rozmawiałem o niej z twoją matką, a dzisiaj rano – z jej matką. Żadna z nich nie miała nawet najmniejszych podejrzeń, że ta dziewczyna może być obłąkana. Evelyn wydaje się mieć kompletne rozdwojenie jaźni. Z jednej strony mamy czułą, obowiązkową córkę oraz, w oczach pani Clarvoe, wcielenie ideału synowej, czym wcale niełatwo zostać, bo twoją matkę trudno zadowolić...

– Doskonale o tym wiem.

– A z drugiej – dziewczynę tak przepełnioną nienawiścią i mściwością, że myśli tylko o tym, jak niszczyć, nastawiając jednych ludzi przeciwko drugim. Jest bardzo sprytna, niczego nie musi niszczyć własnymi rękami. Po

prostu rzuca kość i pozwala psom o nią walczyć. A na tej kości jest zazwyczaj jakiś smakowity kąsek prawdy...

Pomyślała o matce i o Douglasie, i o tym, jak całe lata walczyli ze sobą, nie jak psy czy bokserzy na ringu, twarzą w twarz, ale jak partyzanci tropiący się nawzajem w ciemnym lesie. A Evelyn strzeliła w ten las gigantyczną flarą, od której zajęły się drzewa i poszycie leśne, i która wykurzyła wrogów ze swoich kryjówek.

*Biedny Douglas. Z niego zawsze był chłopiec, nie mógł wychowywać się w ciemnym lesie.*

– Wysłałam mu czek na urodziny – wyznała tępo. – Może gdybym wysłała go wcześniej...

– Czek niczego by tu nie zmienił, Helen. W szafce z lekarstwami lekarz znalazł prawie pięćdziesiąt tabletek nasennych. Douglas musiał planować to od dawna.

– Więc czemu matka wini za to Evelyn?

– Kogoś musi winić. A nie może winić samej siebie.

– Nie – powtórzyła, zamyślona: matkę uwięziono w tym samym lesie co Douglasa. Ktoś powinien był już dawno ich stamtąd wyprowadzić, ale nie było nikogo, poza ojcem i mną. Ojciec był zbyt surowy, a ja się sama zgubiłam.

Zakryła twarz dłońmi, spomiędzy palców zaczęły spływać jej łzy.

– Nie płacz, Helen.

– Ktoś powinien był tu pomóc. Już dawno ktoś powinien był tu pomóc.

– Wiem.

– Teraz jest już za późno, dla Douglasa, dla matki. – Podniosła głowę i spojrzała na niego bezbrinnie, przez łzy. – Może dla mnie też już jest za późno.

– Nie myśl tak.

– Właśnie tak. Czuję gdzieś w środku, że swoje życie już przeżyłam, że tylko czekam, tak jak Douglas, z uzbieranymi tabletkami. Może dostanę kolejny telefon, może od niego też zajmie się poszycie i nie będę mogła znieść tego, co tam ujrzę.

– Przestań. – Otoczył ją ramionami, ale pod jego dotykiem zeszywniała jak kawałek drewna, a dłonie ścisnęła w pięści. Wiedział, że właściwy czas jeszcze nie nadszedł i może nigdy nie nadejdzie.

Przeszedł na drugą stronę pokoju i usiadł przy biurku, obserwując, jak ciało Helen reaguje na jego odwrót: rozluźniają się jej mięśnie, oddech wyrównuje się, rumieńce ustępują. Zastanawiał się, czy cały czas już tak będzie, czy już zawsze będzie musiała ich dzielić cała szerokość pokoju.

– Ktoś tu jest dla mnie taki... dobry. Dziękuję... Paul.

– Nie ma sprawy.

– Teraz chyba powinnam pojechać do domu i zostać z matką. Tego się ode mnie tam oczekuje, prawda?

– Ona tego oczekuje, owszem.

– Pójdę się przygotować do drogi, muszę cię więc przeprosić.

– Podrzucę cię tam.

– Nie, proszę, nie rób sobie kłopotu. Wezmę taksówkę. Nie chcę przeszkadzać ci w śledztwie.

– Moje śledztwo, jakie by nie było, dobiega już końca. Poprosiłaś mnie, abym odnalazł Evelyn Merrick. No i odnalazłem ją.

– Czyli myślisz, że to już koniec? Wszystko ustalone? – W jej głosie słychać było upór. – Nie masz już nic do roboty w tej sprawie?

– Jest jeszcze trochę roboty, ale...



– Tak naprawdę, to chyba teraz jest jej więcej niż kiedykolwiek.

– Dlaczego więcej?

– Bo doszło do śmierci – zauważyła spokojnie. – Evelyn teraz nie spocznie. Myślę, że śmierć Douglasa popchnie ją do dalszych czynów, da jej poczucie władzy.

Właśnie tego obawiał się sam Blackshear, ale nie chciał o tym mówić, żeby jej nie martwić. – Możliwe.

– A skąd uzyskała te informacje o Douglasie?

– Pewnie od samego Teroli.

– Myślisz, że razem uknuli jakiś plan wyłudzenia?

– Terola mógł to postrzegać w ten sposób, ale Evelyn czerpie z tego procederu coś więcej niż pieniądze.

– Ale sądzisz, że są w zмовie?

– Tak. Gdy rozmawiałem o niej z Terolą, cały czas trzymał język za zębami. Odniosłem wrażenie, że wie o niej więcej, niż się do tego przyznaje.

– Czyli jeśli znalazłyby się na nią jakieś dowody, to pewnie u tego Teroli?

– Dowody czego?

– Czegokolwiek, byle tylko można ją było za to zamknąć. Póki co nie popełniła żadnego przestępstwa. W przypadku Douglasa nawet nie skłamała. Nie można wsadzić jej do więzienia tylko za to, że zadzwoniła do matki i wyznała jej prawdę. Ale, do pewnego stopnia, jest moralnie odpowiedzialna za śmierć Douglasa. Musisz ją powstrzymać, Paul, zanim ona znowu zacznie. – Odwróciła się, tak żeby nie mógł dostrzec jej twarzy. – Ja mogę być następna.

– Nie przesadzaj, Helen. Nie może już do ciebie zadzwonić, nie zna twojego telefonu. A jeśli przyjdzie pod drzwi, nie wpuszczaj jej.

– Wymyśli wtedy coś innego. Czuję, że ona... ona na mnie czeka.

– Gdzie?

– Nie wiem.

– Posłuchaj, jeśli boisz się jechać do matki, daj się zawieźć.

Potrząsnęła głową. – Wolałabym, żebyś spotkał się z Terolą. Powiedz mu o Douglasie, zmusz go, żeby z tobą porozmawiał, wyciągnij z niego informacje, których można by użyć w sądzie.

– Z tym będzie problem, Helen. Nawet jeśli on zna Evelyn na wylot, to przecież nie podzieli się tą wiedzą ze mną. Obciążyłyby sam siebie.

– Ale możesz spróbować, prawda?

– Otóż to. Mogę tylko spróbować.

Czekał, aż wróci z łazienki, dokąd poszła przebrać się do wyjścia. Wróciła ubrana w ciemnoszary, wełniany płaszcz i staromodny filcowy kapelusz z szerokim, wywiniętym rondem. W stroju tym prezentowała się jak z poprzedniego dziesięciolecia.

– Helen.

– Tak?

– Mogę powiedzieć ci coś osobistego?

– Zazwyczaj robisz to, nie pytając mnie o zgodę.

– Potrzebna ci będzie nowa garderoba.

– Naprawdę? – rzuciła obojętnie. – Nigdy nie zwracam specjalnej uwagi na to, co noszę.

– Najwyższy czas, żebyś zaczęła.

– Dlaczego?

– Ponieważ ty i ja zaczniemy bywać. W różnych miejscach.

Uśmiechnęła się lekko, jak matka do fantazji dziecka.

Zjechali windą na dół i razem przeszli przez hall. Pan Horner, recepcjonista, i June Sullivan, wychudzona blond telefonistka, obserwowali ich z niekłamaną ciekawością, a gdy Blackshear i Helen zatrzymali się przy wahadłowych drzwiach wyjścia, wymienili szybkie, nieprzyjemne uśmiechy.

– Mój samochód stoi kilka budynków stąd. Na pewno nie chcesz, żebym podwiózł cię do matki?

– To naprawdę nie jest konieczne.

– Ale później, jeśli chcesz, mogę was odwiedzić.

– Obawiam się, że nie będziemy zbyt radosnymi gospodyniami. Może lepiej nie.

– Zawołać ci taksówkę?

– Portier to zrobi.

– Dobrze. A więc – do widzenia.

– Dowidzenia.

Na zewnątrz, na zatłoczonej ulicy, czekała na nią Evelyn Merrick.

Wiatr przepędził burzę na pełne morze. Ulice, jeszcze pół godziny temu dość spokojne, ożyły, zupełnie jakby koniec deszczu stanowił dla wszystkich oczywisty sygnał, żeby natychmiast, jednocześnie, podjąć znowu wszelkie działania. Po chodnikach dziarsko maszerowali ludzie, jak mrówki wychodzące na zwiad po ustaniu burzy, ale na ulicach było odwrotnie. Samochody jechały wolno albo wręcz stały w miejscu, pokonane własną ilością.

Dziesięć minut zajęło Blackshearowi wyjechanie z parkingu, a kolejne trzydzieści – dotarcie do długiego, wąskiego, otynkowanego budynku na Vine Street, w którym mieściło się atelier Teroli.

Kolejny raz przeczytał czarny napis na mlecznej szybie witryny, lecz tym razem słowa te wydawały się mieć bardziej złowieszczy sens:

*Studio fotograficzne Jacka Teroli*

*Akty, modelki*

*Sesje grupowe dla amatorów i profesjonalistów*

*Atelier do wynajęcia dla zorganizowanych grup artystycznych*

*Czynne całą dobę*

Biuro wyglądało dokładnie tak jak poprzedniego wieczora, z tym że ktoś niedawno używał starego, ceglanego kominka. To, co w nim spalono, wydzieliło wielką ilość ciepła i cały czas się tliło, w pokoju było więc nieznośnie gorąco.

Wysoka temperatura wydobyła inne zapachy – przypalonej kawy i ostrych, piżmowych perfum. Zapach kawy dochodził z alkowy Teroli, ukrytej za brudnymi zasłonkami z kwiecistego perkalu. Zapach perfum roztaczał się

wokół dziewczyny siedzącej, i ledwo widocznej, za sekretarzykiem. Siedziała w bujanym fotelu, w dziwacznej pozycji, oczy miała zamknięte. Wydawała się spać.

Blackshear rozpoznał w niej Nolę Rath, młodą dziewczynę, która poprzedniego dnia pozowała Teroli do zdjęć. Wtedy jej długie, czarne włosy były mokre i nie nosiła makijażu. Teraz włosy miała upięte na czubku głowy, a warstwa kosmetyków sprawiała wrażenie maski, nie twarzy. Wyglądała całe lata starzej.

Podszedł do sekretarzyka, niepewny i trochę zawstydzony, że patrząc, jak śpi, narusza jej prywatność.

– Panno Rath?

Wolno, jakby ruch ten sprawiał jej ból, otworzyła oczy. Nie ujrzał w nich błysku rozpoznania, ani siebie, ani czegokolwiek innego. Była jak otumaniona.

– Przepraszam, jeśli panią obudziłem.

– Nie... spałam. – Jej głos, podobnie jak wzrok, był tępy, bezbarwny i beznamiętny. Podniosła rękę do szyi, jakby mówienie, tak jak otwieranie oczu, było dla niej bolesne.

– Dobrze się pani czuje, panno Rath?

– Dobrze.

– Przyniosę pani szklanek wody.

– Nie. Wody nie. – Zmieniła pozycję, fotel zaskrzypiał w odpowiedzi. – Lepiej niech pan już pójdzie.

– Dopiero co przyszedłem.

– Wszystko jedno, niech pan idzie.

– Chciałbym, jeśli można, zobaczyć się z panem Terolą.

– On się z nikim nie zobaczy.

– Jeśli teraz jest zajęty, przyjdę później.

– Nie jest zajęty.

– Więc co, chory, czy coś takiego?

– Nie jest chory. Raczej *coś takiego*. Coś bardzo takiego. – Zaczęła kiwać głową w przód i tył. – A ja siedzę tu sobie. Nie wiem, co robić. Siedzę sobie. Powinna wyjść. Nie mogę się ruszyć.

– Niech mi pani powie, co się stało.

Nie odpowiedziała, ale skierowała wzrok na alkowę. Blackshear przeszedł przez pokój, odsunął zasłony i wkroczył do środka.

Terola leżał na plecach na sofie, a z gardła sterczała mu para nożyczek. Dolną część ciała przykrywało mokre prześcieradło i zroszony krwią różowy koc; górna ubrana była w podkoszulek. Na stoliku w nogach łóżka stała wciąż włączona maszynka z dzbankiem wygotowanej kawy. Wyglądało na to, że Terola wstał, zaparzył kawę i wrócił jeszcze na kilka minut do łóżka. W ciągu tych kilku minut miał gościa.

Kimkolwiek był ten gość, Terola nie poczuł się zaniepokojony. Poza krwią, w pokoju nie było śladów walki, żadnych oznak szamotaniny. Nawet włosy Teroli nie były potargane, jego łysinę wciąż przecinały te same wąskie, równoległe kosmyki siwizny, przypominające podkłady kolejowe. Terola albo znał swego gościa i został przez niego kompletnie zaskoczony, albo zabito go we śnie.

Pchnięcie nożyczkami było głębokie, brutalne i celne. Nożyczki to kobieca broń, ale cios zadany został z siłą mężczyzny.

Żywy, Terola był wystarczająco nieatrakcyjny; martwy – wyglądał potwornie. Oczy wychodziły mu z orbit jak szklane kulki, mięsiste wargi były rozchylone, a język, szaroróżowy i spuchnięty, wystawał spomiędzy zębów

poplamionych tytoniem. Blackshear pomyślał o Douglasie i jego chłopięcym uroku, i nie mógł wyobrazić sobie, jakie mroczne ścieżki doprowadziły go do Teroli.

Niczego nie dotykając, wrócił do dziewczyny w biurze.

– Zadzwoiła pani na policję?

Zamrugła oczami.

– Na policję? Nie.

– To pani zabiła Terolę?

– Nie. Boże broń, nie! Był moim przyjacielem, dał mi pracę, gdy znalazłam się na ulicy, dobrze mnie traktował, nigdy mną nie pomiatał, jak niektórymi.

– Znalazła go pani w takim stanie?

– Tak, jak przyszłam do pracy.

– Kiedy to było?

– Piętnaście, dwadzieścia minut temu. „Przyjdź w południe”, powiedział, ale ja zawsze przychodzę wcześniej, by się przygotować.

– A gdy pani przyszła, drzwi były zamknięte?

– Nie. Jack zawsze... nigdy ich nie zamykał, chyba że... chyba że wychodził.

– Czy Terola zawsze spał w biurze?

– Nie. On, jego matka i brat mieli w dolinie niewielkie rancho, na którym uprawiali awokado, tyle tylko, że Jack nie był do tego miejsca zbyt przywiązany, do towarzystwa chyba zresztą też, więc często zostawał w mieście. – Przcisnęła do oczu chusteczkę. – O Boże, nie mogę uwierzyć, że on nie żyje. Obiecywał, że tyle dla mnie zrobi. Mówił, że mam przed sobą

wielką przyszłość, że potrzebna mi tylko reklama. Obiecał, że rozreklamuje mnie na całego.

– Cóż, dotrzymał tych obietnic – stwierdził ponuro Blackshear.

– Dotrzymał? Skądże. O co panu chodzi?

– Dostanie pani taką reklamę, o jakiej się pani nawet nie śniło, panno Rath.

Nie spodziewał się takiej reakcji. – Mój Boże, faktycznie. Przecież zaraz zjawią się tu reporterzy z gazet i cała reszta. Do wyboru, do koloru. Jak wyglądam?

– Świetnie.

– Ojej, może nawet mogłabym napisać artykuł do *Sunday Timesa*, jaki to Jack był dla wszystkich podły, a dla mnie jednej nie. Dupek Terola, którego wszyscy nienawidzili, okazał serce sierocie znalezionej na ulicy. Dobrze, co?

– A czy pani jest sierotą, panno Rath?

– Mogłabym być – oznajmiła, uśmiechając się chłodno. – Zależnie od stawki, mogłabym być kimkolwiek.

– Nawet oszustką.

– O, nawet. Jasne.

– Nie zadzwoniła pani na policję, tak?

Wzruszyła ramionami.

– Nie. Ale zrobię to. Jak tylko pan wyjdzie.

– Dlaczego miałbym wychodzić?

– Bo wszystko by pan zepsuł. Moja przyszłość od tego zależy. To trzeba załatwić porządnie, kapuje pan?

– Nie kapuję.



– No więc tak. Założmy, że mam na sobie o wiele mniej ubrań, i założmy, że wybiegam z krzykiem na ulicę, drę się, że znalazłam trupa, teraz pan kapuje?

– Znakomicie.

– Więc rozumie pan też, jak by to wszystko wzięło w łeb, gdyby pan tu został. – Wstała i przez biurko przysunęła się do niego. – Nie zabiłam Jacka i niczego nie będę dotykać, obiecuję. Niech pan już idzie, dobrze? Potrzebna mi szansa na zaistnienie. Prawdziwa szansa.

– I pani myśli, że właśnie to jest pani wielka szansa?

– Musi być. Innej już nie dostanę. No, a teraz pójdzie już pan? Bardzo proszę...

– Najpierw niech pani zadzwoni na policję.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Czekaając na połączenie, zaczęła rozpinąć sukienkę.

Blackshear udał się do samochodu. Chciał przez kilka minut poukrywać się za kierownicą, żeby zobaczyć występ Noli Rath, ale miał ważniejsze sprawy na głowie. Verna Clarvoe wybierała się rano na spotkanie z Terolą. Czy, wbrew temu co twierdziła, zobaczyła się z nim, rozmawiała z nim? A może straciła wiarę w słowa i jako broni użyła nie ich, a nożyczek? Inni ludzie też mogli mieć motywy, by zabić Terolę, ale motyw Verny był najpoważniejszy, bo walczyły w niej miłość i nienawiść, które osiągnęły w końcu masę krytyczną i eksplodowały z siłą uranu. W eksplozji tej zginął Douglas. Może Terola stanowił kolejną ofiarę reakcji łańcuchowej.

## 12

Drzwi otworzyła zapłakana służąca.

– Czy mogę zobaczyć się z panią Clarvoe? – zapytał Blackshear.

– Nikogo nie przyjmuje. Mieliśmy tu wypadek.

– Tak, wiem. Mam jednak bardzo pilną i ważną sprawę do pani Clarvoe.

– Ciekawe, co jest ważniejszego od potrzeby zostania sam na sam ze swoim smutkiem...?

– Jak się nazywasz?

– Mabel.

– Mabel, przekaż proszę, że Paul Blackshear ma do pani Clarvoe pilną sprawę.

– Dobrze, ale ostrzegam pana, że z nią dzieje się coś niedobrego. Jak przyjechał karawan, żeby zabrać ciało, krzyczała tak, że jeszcze czegoś takiego w życiu nie słyszałam. Myślałam, że coś jej za chwilę pęknie. Dzwoniła gdzieś i wykrzykiwała na jakąś dziewczynę, Evelyn. Była naprawdę wściekła.

– Lekarz nie dał jej czegoś na uspokojenie?

– Jakieś tabletki to jej dał. *Tabletki*. Tabletka to dość marny substytut syna. – Otworzyła drzwi szerzej i Blackshear wszedł do przedpokoju. – Pójdę po nią. Ale nie gwarantuję, że do pana zejdzie. Czego innego można by się spodziewać w takim momencie?

– A czy panna Clarvoe już przyjechała?

– *Panna Clarvoe?*

– Siostra Douglasa.

– Nawet nie wiedziałam, że miał siostrę. A to ci dopiero, nikt tu o żadnej siostrze nie wspominał.

– Powinna tu być lada moment – zapewnił Blackshear. – Przy okazji, lepiej nie informuj jej wtedy, że nikt tu o niej nie mówił.

– Ani mi się śni. Czy ona tu zostanie... to znaczy, czy będzie tu spała, jadła i tak dalej?

– Nie jestem pewien.

– Cóż, to naprawdę dziwny dom, niech się pan nie da zwieść.

– Nie dam się.

– Jeśli pan chce, może pan poczekać w salonie.

– Wolę w pokoju dziennym.

– Zaprowadzę...

– Znam drogę, dzięki.

W pokoju pachniało jeszcze wczorajszym ogniem z kominka i dzisiejszym deszczem. Ktoś zaczął i przerwał sprzątanie; o kanapę oparty był odkurzacz, na stołku przy szpince leżała ściereczka do kurzu i stos brudnych popielniczek. Szklane drzwi prowadzące na kamienne patio stały otworem, a listopadowy wiatr hulał po podłodze i wirował wśród popiołów w kominku.

Weszła Verna Clarvoe, wolno i niepewnie, jak gdyby brodziła pod prąd w zbyt głębokim i wartkim strumieniu. Powieki miała spuchnięte i prawie zupełnie spuszczone, wokół ust widać było ślady zadrapań, jakby w napadzie żalu usiłowała je sobie wydrapać.

Przemówiła pierwsza.

– Niech pan nie mówi, że panu przykro. Wszyscy mówią, że im przykro, a to bez znaczenia, to *nie ma znaczenia*, czy im przykro, czy nie. – Usiadła ciężko na krześle. – Niech pan na mnie nie patrzy. Jak płacę, moje oczy zawsze tak wyglądają. Zapomniałam, gdzie zostawiłam krople. Tak tu zimno, tak *zimno*.

Blackshear wstał i zamknął drzwi. – Rozmawiałem z Helen. Zaproponowała, że tu przyjedzie.

– Zaproponowała?

– Tak, zaproponowała. – I była to, w gruncie rzeczy, prawda. On jej tego nie zasugerował. – Powinna tu być już pół godziny temu.

– Może zmieniła zdanie.

– Nie sędzę.

– Dlaczego nie przyjechała z panem?

– Musiałem najpierw coś załatwić. Dotyczyło to pani. Jeśli czuje się pani na siłach, lepiej żebym od razu pani o tym powiedział.

– Czuję się dobrze.

– Terola nie żyje.

– To dobrze.

– Słyszała pani, co powiedziałem?

– Powiedział pan, że Terola nie żyje. Cieszę się. Bardzo się cieszę. Dlaczego dziwi pana, że się cieszę? Mam nadzieję, że cierpiał, mam nadzieję, że cierpiał katusze.

– Nie cierpiał. To nastąpiło bardzo szybko.

– Jak?

– Ktoś zadźgał go nożyczkami.

– Ktoś go zamordował?

– Tak.

Siedziała, uśmiechając się, cicha i spokojna.

– Ach, to nawet lepiej, prawda?

– Pani Clarvoe...

– Przed śmiercią musiał się bać, musiał być przerażony. Powiedział pan, że nie cierpiał. Musiał cierpieć. Strach to cierpienie. Nożyczki... Chciałabym to zobaczyć. Szkoda, że mnie tam nie było...

– A ja chciałabym – przerwał jej Blackshear – żeby udowodniła pani, że faktycznie pani tam nie było.

– Co za głupia uwaga.

– Może, ale konieczna.

– Przecież powiedziałam już panu przez telefon, że wyruszyłam się z nim spotkać, ale zmieniłam zdanie i wróciłam do domu.

– Jak daleko pani dojechała? Pod samo atelier?

– Tak.

– Ale nie weszła pani do środka?

– Nie. Wyglądało strasznie obskurnie, i straciłam odwagę.

– Podeszła pani do drzwi?

– Nie. W ogóle nie wychodziłam z samochodu. Przed tym budynkiem można parkować, więcostałam tam przez pewien czas.

– Jak długo?

– Kilka minut.

– Ktoś panią widział?

– Byłam tam, więc ktoś musiał mnie widzieć.

– Jakim samochodem tam pani była?

– Czarnym buickiem sedanem, z zeszłego roku. Są takich setki, jeśli o to panu chodzi.

– Owszem.

– Cóż, nie zajechałam tam ognistoczerwonym ferrari. Nie ma powodu, żeby ktoś zwrócił na mnie szczególną uwagę.

– Miejmy nadzieję, że nikt nie zwrócił uwagi.

– A jeśli zwrócił?

– Jeśli zwrócił – tłumaczył Blackshear cierpliwie – to prawdopodobnie przesłucha panią policja. Ma pani dość dobre powody, aby nienawidzić Teroli.

– Gdybym zabijała wszystkich, których nienawidzę, ludzie w całym mieście padaliby jak muchy.

– W to akurat nie wierzę.

– Och, proszę przestać. Proszę przestać z tą amatorską psychoanalizą. Nie zna mnie pan. Pan nie rozumie. Jestem przepelniona nienawiścią. Co ja na to poradzę? Byłam oszukiwana, nabierana, zwodzona – więc czego można się po mnie spodziewać? Wszyscy mnie zawiedli, wszyscy. Harrison, Douglas, oni już nie biorą udziału w tej farsie. Ja zostałam, zawsze zostaję sama.

Z podjazdu dobiegł ich pisk hamulców. Oboje usłyszeli go jednocześnie, Verna poczuła strach, Blackshear – ulgę. Nawet przed samym sobą nie chciał przyznać, że martwił się, dlaczego Helen tak długo nie przyjeżdża.

– To na pewno Helen – oznajmiła Verna. – Nie wiem, co mam jej powiedzieć, jak się zachować. Od tak dawna byliśmy sobie dalekie, jak zupełnie obce osoby.

– Więc zachowujcie się jak obce osoby, przynajmniej będziecie dla siebie grzeczne.

Podszedł do szklanych drzwi i spojrzał przez patio na podjazd. Jakaś kobieta płaciła właśnie taksówkarzowi, pulchna, siwowłosa kobieta w czarno-białej garsonce. Gdy taksówka zaczęła wycofywać się na ulicę, kobieta stanęła, obserwując dom, jakby nie miała pewności, czy to ten. Dostrzegła Blacksheara i chyba go rozpoznała. Zamiast wejść frontowymi drzwiami, ruszyła przez patio do pokoju dziennego, szybkimi, agresywnymi krokami.

Przewidując kłopoty, Blackshear wyszedł jej na spotkanie, zamykając za sobą drzwi.

– Dzień dobry, pani Merrick.

Na zaciętej twarzy nie drgnął jej ani jeden mięsień.

– Ona jest w środku?

– Tak.

Usiłowała go wyminąć, ale chwycił ją za rękę i nie puszczał.

– Niech pani chwilę zaczeka.

– Im szybciej to zrobię, tym lepiej. Niech mnie pan puści.

– Puszczę, jeśli usłyszę, co pani zamierza.

– Pyta pan, czy zamierzam udusić tę sukę? Nie. Choć bardzo bym chciała.

Puścił jej rękę, ale nie odsunęła się od niego.

– Choć bardzo bym chciała – powtórzyła. – To, co nawygadywała o Evelyn, było nikczemne, po prostu nikczemne. Nie pozwolę, aby jej to uszło na sucho. Żadna matka by na to nie pozwoliła.

– Kiedy pani to powiedziała?

– Przed niecałą godziną. Zadzwoiła do mnie do biura, *do biura*, uważa pan, nie wiadomo, kto ją jeszcze usłyszał, tak głośno wrzeszczała. Postawiła Evelyn straszne zarzuty. Nawet ich nie powtórzę, takie były wstrętne. Krzyczała coś, że odpłaci Evelyn tą samą monetą. Nie wiem, o co jej chodziło. Evelyn zawsze była dla niej taka miła. Potem oświadczyła, że Evelyn jest morderczynią, że zamordowała Douglasa. Rozłączyłam się, ale natychmiast zadzwoniła znowu. Musiałam odebrać, wokół byli przecież inni ludzie. Gdy nareszcie skończyła, poprosiłam szefa o wolne na resztę przedpołudnia i przyjechałam. Muszę dowiedzieć się, o co tu chodzi.

– Czy to nie jest dość niestosowna chwila?

– Jest niestosowna, ale nie będzie już lepszej. Muszę dowiedzieć się, dlaczego mówiła o Evelyn te rzeczy. Jeśli oszalała z żalu po stracie Douglasa, to w porządku. Potrafię to zrozumieć, sama doświadczyłam w życiu kilku strat. Ale dlaczego musiała wyżyć się właśnie na Evelyn? Moja córka nigdy nikogo nie skrzywdziła, to takie *niesprawiedliwe*, że atakuje się ją w ten sposób. Nie ma jej tu, więc nie może się bronić, ale ja jestem. Jestem tu. I tym razem, panie Blackshear, niech mnie pan nie próbuje powstrzymać. *Mam zamiar rozmówić się z Verną Clarvoe.*

Patrzył, jak wchodzi do domu.

Obie kobiety długo obserwowały się w milczeniu.

– Jeśli przyszła tu pani po przeprosiny – powiedziała w końcu Verna – to się ich pani nie doczeka. Nikt nie ma obowiązku przeproszać za głoszenie prawdy.

– Nie chcę przeprosin, chcę wyjaśnień.

– Dostała pani wyjaśnienie.

– Jeszcze nic pani nie powiedziała. Nic.

– Odpłaciłam Evelyn pięknym za nadobne. Prawdą. – Verna odwróciła się, przyciskając palcami opuchnięte powieki. Były gorące, jak poparzone łzami. – Zadzwoiła do mnie wczoraj. Na początku zachowywała się dość przyjaźnie, powiedziała, że zawsze byłam dla niej dobra i że dlatego chce mi wyświadczyć przysługę. Opowiedziała mi o Douglasie, o tym, jakie prowadził życie, jakich miał przyjaciół – podała wstrętne, obrzydliwe szczegóły, a posługiwała się przy tym tak okropnymi słowami, że nie sądziłam, żeby dziewczyna w rodzaju Evelyn mogła w ogóle je znać, a co dopiero wymawiać. I to jest całe wyjaśnienie, pani Merrick.



– Chyba nie mówi pani o Evelyn. Nie o *mojej* Evelyn.

– Dlaczegożby nie? – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Ona mówiła o *moim* synu.

– Nie wierzę. Evelyn nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Może i czuła żal przez pewien czas po ślubie, ale już jej to przeszło. Sama pani widziała, gdy spotkała ją pani wczoraj. Była serdeczna i życzliwa, prawda? Nie była dla pani miła? Sama pani powiedziała, że Evelyn nie żywi już urazy.

– Nie chcę się kłócić. Jestem zbyt zmęczona na kłótnie. Powiedziałam pani, co zaszło.

– Pani się na pewno myli. – Pulchna twarz pani Merrick zaczęła przypominać rosnący zaczyn drożdżowy. – Niech pani przynajmniej przyzna, że mogła tu zajść jakaś pomyłka.

– Nie ma takiej możliwości.

– O której Evelyn... o której dostała pani ten telefon?

– Koło dziesiątej.

– No, widzi pani? Pani się myli. Evie wczoraj wieczorem była z przyjaciółmi. Mieli bilety na sztukę w Biltmore Bowl.

– Osobą, która do mnie zadzwoniła, była na pewno Evelyn. Poznałam ją po głosie. I nikt, w każdym razie żadna kobieta, nie wiedziałaby o Douglasie takich rzeczy.

– A te rzeczy... skąd ma pani pewność, że to była prawda?

– Bo przyznał się do nich, mój syn się do nich przyznał. A potem się zabił. – Zaczęła kołysać się w przód i w tył, tuląc chudą klatkę piersiową w ramionach. – Dougie. Dougie nie żyje. A dziś jego urodziny. Planowaliśmy małe przyjęcie... O Boże, niech pani już idzie, niech zostawi mnie pani w spokoju.

– Pani Clarvoe, proszę mnie posłuchać.

– Nie, nie, nie.

– Chciałabym pani pomóc.

– Niech pani idzie. Mój syn nie żyje.

Wyszła, tak jak weszła, przez patio. Blackshear czekał na nią na podjeździe, z kołnierzem postawionym wysoko dla ochrony przed wiatrem i z ustami zsiniałymi z zimna.

– Odwiozę panią do pracy– zaproponował.

– Nie, dziękuję. Lepiej niech pan pójdzie do niej. – Założyła zamszowe rękawiczki. – Evelyn przynajmniej żyje. Nieważne, co zrobiła, przynajmniej żyje. Mam za co dziękować Bogu.

Odwróciła się na pięcie i, z wysoko uniesioną głową, żwawo ruszyła pod wiatr.

Mokre plamy na sukience, którą musiała oczyścić z krwi w łazience biblioteki publicznej, wyschły już, mogła więc spokojnie wyjść znowu na ulicę. Teraz, jeśli wiatr rozwiałby połę jej płaszcz, nikt nie zauważy, że na bluzce zostało trochę śladów. A nawet jeśli zauważy, to i tak nie będzie w stanie rozpoznać, od czego te plamy powstały.

Zamknęła książkę, nad którą siedziała już od godziny, udając, że czyta, i odniosła ją na właściwą półkę w księgozbiornym podręcznym. Nikogo w tej bibliotece nie znała, jej też nikt tu nie znał. Długie siedzenie w jednym miejscu, zwłaszcza cichym, było jednak niebezpieczne, bo umysł tykał jej głośno jak metronom i szpiedzy po jego częstotliwości mogli zorientować się, o czym myśli.

Do takich właśnie szpiegów należał staruszek, usadowiony przy stoliku koło pulpitu bibliotekarki, na wpół ukryty za płachtą *U.S. News and World Report*. Jakże niewinnie się prezentował, pogrążony w lekturze jak dziecko w książce z obrazkami, ale zdradzał go kąt pochylenia głowy. Zaczęła nucić, dość głośno, tak żeby nie mógł słyszeć jej myśli. Opuścił gazetę i obrzucił Evelyn niechętnym spojrzeniem, bo zdał sobie sprawę, że go przechytrzyła.

Przechodząc obok jego stolika, nachyliła się i szepnęła:

– Lepiej, żeby pan za mną nie szedł. – I ruszyła do drzwi, ciasno otulając się płaszczem.

Zwycięstwo należało do niej, oczywiście. To tykanie stawało się jednak coraz bardziej męczące. Pojawiało się i znikowało w różnych momentach, zależnie od intensywności myśli, a gdy wpadała na jakiś ekscytujący pomysł, hałas stawał się ogłuszający, co doprowadzało ją już do szaleństwa.

Szaleństwo. Tego słowa nie wolno nadużywać. Terola próbował.

Zbiegła po schodach biblioteki i skierowała się na północ, wciąż myśląc o Teroli. Była dla niego taka miła, była wcieleniem grzeczności. Nie miał żadnych powodów, żeby ją tak potraktować.

Otworzył jej drzwi w samych pasiastych spodniach od piżamy i podkoszulku.

– Dzień dobry, panie Terola.

– A ty tu czego?

– Pomyślałam, że wpadnę i...

– Spadaj, mała. Mam kaca.

Chciał zamknąć jej drzwi przed nosem, ale była dla niego za szybka. – Mogłabym zrobić panu kawy.

– Od lat sam sobie robię kawę.

– Więc najwyższy czas, żeby spróbował pan mojej. Gdzie jest kuchenka?

Cały czas ziewając, zaprowadził ją do alkowy. Usiadł na brzegu kanapy, a ona zajęła się włączaniem maszynki do gniazdka i nalewaniem wody do dzbanka.

– Co to za pomysł z tą siostrą miłosierdzia, mała?

– Od czasu do czasu lubię wyświadczyć przyjacielowi jakąś przysługę.

– A ten przyjaciel ma ci się, jak rozumiem, odwdzińczyć?

– To byłoby miłe.

– O co chodzi?

– Te zdjęcia, które pan mi zrobił – zaczęła. – Proszę je spalić.

– Czemu?

– Wysłałam na nich niekorzystnie.

Brwi Teroli podniosły się, niczym czarne, włochate gąsienice. – Naprawdę?

– Naprawdę. Niech je pan spali i zrobi mi nowe. Tym razem dobre, takie, jakie wiesz się w muzeum.

– Słuchaj, Elaine, Eileen, czy jak ci tam...

– Evelyn.

– Słuchaj, Evelyn, wróć teraz do domu, jak grzeczna dziewczynka, a ja zastanowię się nad twoją propozycją.

– Nie wierzę panu.

– Naprawdę, zastanowię się.

Położył się i podciągnął koc na brzuch.

– Obiecujesz pan?

– Co niby?

– Że uczyni mnie pan nieśmiertelną.

– Oszalałaś, czy co? – zaczął z irytacją ugniatać sobie poduszkę. – Jak ktoś to usłyszy, natychmiast wylądujesz w wariatkowie.

– Panie Terola...

– Spadaj, co? Jestem zmęczony. Zarwałem noc.

– Panie Terola, czy ja według pana jestem ładna?

– Przepiękna – oznajmił, zamykając oczy. – Po prostu przepiękna, kotku.

– Naśmiewa się pan ze mnie.

– Nie, wcale nie. Dlaczego miałbym się z ciebie naśmiewać? Ale teraz już spadaj, jak grzeczna dziewczynka, Eileen.

– Evelyn – rzuciła. – *Evelyn*.

– Tak, jasne. Jasne.

– Niech pan to powie. Niech pan powie *Evelyn*.

Otworzył oczy i zobaczył, że stoi tuż nad nim. – Co z tobą, mała? Co to za nowe szaleństwo?

Szaleństwo. Tego słowa nie wolno nadużywać...

Na następnym rogu odwróciła się i spojrzała w stronę biblioteki. Szpieg przebrany za staruszkę obserwował ją, stojąc na schodach, z *U.S. News and Report* pod pachą. Zaczęła biec.

Staruszek wrócił do biblioteki i podszedł do pulpitu zarzuconego książkami telefonicznymi ze wszystkich stanów, przy którym siedziała rudowłosa dziewczyna.

Dziewczyna uśmiechnęła się. – Już myślałam, że znowu ucieka pan z którąś z naszych gazet, panie Hoffman.

– Nie tym razem. Może przyjrzała się pani młodej kobiecie, która właśnie wyszła? Tej w ciemnym płaszczu.

– Niespecjalnie. Dlaczego?

– Obserwowałem ją przez ostatnie pół godziny. Zachowywała się, moim zdaniem, bardzo dziwnie.

– Mamy tu wielu dziwaków – roześmiała się dziewczyna. – Miejsce publiczne, rozumie pan.

– Myślałem, że może... no cóż, rzuciło mi się w oczy, że cały przód sukienki miała poplamiony na czerwono.

– Pewnie jadła na obiad spaghetti. Sam pan wie, jak łatwo można się tym pochlapać.

– Cały czas, gdy na nią patrzyłem, miała przed sobą otwartą książkę, ale jej nie czytała. Książkę o ptakach, jak mnie się zdaje, choć wzrok już nie ten. A gdy wychodziła, pochyliła się nade mną i coś do mnie szepnęła, ale nie dosłyszałem co. Dziwne, nie sądzi pani?

- Dosyć.
- Zastanawiałem się, czy nie powinienem tego czasem zgłosić na policję?
- Znowu? Och, te pańskie przywidzenia!

Z powodu tykania umysłu i zagrożenia szpiegami, starała się nigdy nie korzystać dwukrotnie z tego samego baru, ale wszystkie były tak podobne, że czasem nie dawało się ich odróżnić. Zupełnie jakby całe wyposażenie – dekoracje, neony, meble, klienci, barmani – pochodziło z jednej partii, jednego zamówienia, jednej hurtowni.

Różnice wynikały z położenia kabiny telefonicznej. W Mekce kabina była z tyłu, blisko wejścia do męskiej toalety, ukryta przed wścibskimi spojrzeniami za wielkim filodendronem.

Gdy tylko zamknęły się za nią zasuwane drzwi kabiny, zrobiło jej się ciepło, poczuła się bezpieczna i odgradzona od świata, jak dziecko w domku do zabaw albo poeta w wieży z kości słoniowej.

Uśmiechając się sama do siebie i wdychając zatechłe powietrze kabiny tak, jakby był to najczystszy tlen, wykręciła numer. Crestview 15115. Czekać na połączenie, podliczyła cyfry. Trzy naście. Gdy doda się jeden i podzieli przez dwa, wyjdzie siedem. Zawsze musi wyjść siedem. Większość ludzi o tym nie wiedziała, a gdy się im to mówiło, okazywali sceptycyzm albo szczerą niedowierzenie.

Po piątym sygnale (dodać dwa) kobiecy głos powiedział: – Halo?

- Dom państwa Clarvoe?
- Tak.
- Pani Clarvoe?
- Jej już nie ma...
- Ale ja panią poznaję, pani Clarvoe.

Po drutach przebiegł dźwięk przypominający odgłos uderzenia o podłogę czymś metalowym. – Kto... Czy to ty, Evelyn?

– Chyba spodziewała się pani, że znowu zadzwonię?

– Tak, tak, spodziewałam się.

Po drugiej stronie nastąpiła cisza, a potem dało się słyszeć odgłos kroków i stłumiony męski głos, słowa były ciche i rzucane z pośpiechem, ale wyraźne:

– Niech ją pani spyta o Helen. Niech pani zapyta, gdzie jest Helen.

– Kto tam z panią jest? – spytała Evelyn. Jakby nie wiedziała. Biedny, stary, błądzący Blackshear, szukający jej po całym mieście, jak ślepiec idący po omacku przez las. Któregoś dnia skoczę na niego zza *drzewa*.

– Nikogo tu nie ma, Evelyn. Był, ale... ale odesłałam go. Czułam, że jak zostaniemy same, będzie nam się lepiej rozmawiało. Evelyn? Jesteś tam jeszcze?

Jeszcze. Bezpieczna, ogrzana, odgradzona od świata, poeta w domku do zabaw, dziecko w wieży z kości słoniowej.

Jakiś mężczyzna – łysy, z wydatnym torsem – przeszedł obok kabiny. Obserwowała go przez brudne, wąskie drzwiczki ze szkła, ale on jej nawet nie zauważył. Miał na głowie co innego.

– Evelyn? Odpowiedz. *Odpowiedz!*

– Przecież nie musi pani krzyżeć – odparła chłodno. – Nie jestem głucha, wie pani. Mam doskonały słuch.

– Przepraszam, że... krzyczałam.

– Już lepiej.

– Posłuchaj mnie, proszę. Widziałaś się z Helen? Rozmawiałaś z nią?

– Czemu? – Evelyn uśmiechnęła się pod nosem, że jej głos brzmi tak poważnie i szczerze, a cała aż dusi się ze śmiechu. Czy widziała się z Helen?



Jaki to wspaniały kawał. Przedłużmy go. Pociągnijmy go jeszcze. Niech trwa.

– A dlaczego pyta mnie pani o Helen?

– Miała się tu zjawić kilka godzin temu. Powiedziała, że wraca do domu.

– Ach, dlatego.

– Co to ma znaczyć? Czy coś...

– Zmieniła zdanie. Tak naprawdę, to ona nie chciała wracać do domu.

Nie chciała, aby oglądała ją pani w tym stanie.

– W jakim... stanie?

– Obiecałam, że nie powiem. W końcu byłyśmy kiedyś przyjaciółkami, a obietnic danych przyjaciołom powinno się dotrzymywać.

– Proszę. Na miłość boską...

– Pani cały czas krzyczy. Wolałabym, żeby pani tego nie robiła.

– Dobrze – szepnęła Verna. – Nie będę krzyczeć. Tylko powiedz mi, gdzie jest Helen i co jest z nią nie tak?

– O, to długa historia. – Choć wcale nie. Była krótka i słodka, ale pani Clarvoe należy się nauczka: nieładnie jest krzyczeć.

– Evelyn, proszę, błagam cię...

– Nikt nie musi mnie błagać o prawdę. Daję ją z własnej woli, nieprawdaż?

– Tak.

– Różne rzeczy o mnie mówią, ale ja nigdy nie kłamię.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie kłamiesz. A jeśli chodzi o Helen, nic jej nie jest, prawda?

– Nie wiem.

– Przecież mówiłaś...

– Nie mówiłam, czy coś jej jest, czy nie jest. Mówiłam tylko, że zmieniła zdanie i nie wraca do domu.

– A gdzie ona jest?

Mężczyzna o wydatnym torsie znowu przeszedł obok, w drodze do drzwi. Miał szklane oczy i drewniane wargi.

– Pracuje – oznajmiła Evelyn – w domu publicznym.

Zaczęła trząść się z podniecenia i niecierpliwości, czekała na reakcję Verny – wstrząs, niedowierzanie, protesty. Nic takiego nie nastąpiło.

– Słyszała pani, co powiedziałam? Helen pracuje w domu publicznym. Na South Flower Street. To nie miejsce dla damy, zapewniam panią. Ale Helen nigdy przecież nie chciała być damą. Ona potrzebuje emocji, i tyle. I będzie je miała, o tak. Będzie je miała.

Wciąż brak odpowiedzi, nawet odgłosu rzucenia słuchawką. Podniecenie zaczęło z niej wyciekać, niczym krew z rozciętej tętnicy. Zatomowała krwotok słowami.

– To ja załatwiłam jej tę pracę. Dziś rano spotkałam ją przed hotelem. Powiedziała mi, że ma już szczerze dosyć próżniaczego życia, że chciałaby wreszcie zająć czas czymś ciekawym. Więc powiedziałam jej, że mam coś takiego na oku. Chodź ze mną, powiedziałam. I poszła.

– Teraz już wiem, że kłamiesz – beznamytnie stwierdziła Verna. – Helen nigdzie by z tobą nie poszła. Została ostrzeżona.

– Ostrzeżona? Przede mną?

– Coś ty z nią zrobiła?

– Przecież mówię, znalazłam jej pracę.

– To absurdalne.

– Doprawdy? – Cicho odwiesiła słuchawkę.

To było absurdalne, nie było nic bardziej absurdalnego niż to, że biedna, stara Helen trafiła do domu publicznego. Ale było to prawdą.

Zaczęła się śmiać, lecz z gardła jej nie wydobywał się zwykły śmiech, tylko dźwięki, które miały pazury, wydrapywały jej płuca i rozdzierały krtań. Palący ból wygnał ją na ulicę.

TCLLR

Doktor Laurence z uniwersytetu UCLA, prywatnie znana jako Claire, mieszkała w Westwood, niedaleko campusu, z mężem Johnem i otyłą spanielką Louise. Była kobietą wysoką, dobrze zbudowaną, miała piękne, długie nogi i czarne włosy, zwykle upięte w koronę z warkoczy. Ta staroświecka fryzura nie była zbyt twarzowa, ale dzięki niej Claire wyglądała wyjątkowo. Doskonale zdawała sobie sprawę, że ze swoim wyglądem nic już więcej nie zdziała.

Szczera, inteligentna i bezpretensjonalna, świetnie dogadywała się ze studentami i miała wielu przyjaciół, w większości pracowników uniwersytetu, ale jej najbliższa przyjaciółka nie miała nic wspólnego z wydziałem.

Evelyn Merrick poznała jakieś osiem miesięcy wcześniej, na podwójnej randce z Johnem i jednym z jego kolegów z bractwa. W drodze do domu zapytała Johna:

- No i jak ci się podoba?
- Kto?
- Evelyn Merrick.
- Jest w porządku – mruknął John.
- Co za entuzjazm!
- Dzięki Bogu przynajmniej jedno z nas nie wydaje o ludziach ekspresowych opinii.
- Tylko ekspresowe opinie są trafne.
- Jak to?
- W innym wypadku zaczynasz żywić do kogoś sympatię tylko dlatego, że zaspokaja w tobie jakąś potrzebę, a nie z powodu jego własnej wartości.

– Uważaj, naukowiec z ciebie wyłazi.

– I co z tego – odparła Claire. – Założę się, że taka swoje w życiu wycierpiała. I nie pytaj znowu kto. Doskonale wiesz kto.

– Większość z nas cierpi od czasu do czasu.

– Nie sądzę, żeby u Evelyn było to od czasu do czasu. Wydaje mi się, że ona przeżyła kiedyś jakiś wielki wstrząs.

– Może przechodziła terapię wstrząsową.

– To miało być zabawne?

– Bardzo, bardzo leciutko zabawne.

– Tak się składa, że widziałam ludzi, którzy właśnie przeszli terapię wstrząsową, i oni mają zupełnie takie same, nieufne nastawienie do życia. Nawet jeśli za pierwszym razem dosłyszeli pytanie, zawsze proszą o powtórzenie. Tego typu sprawy.

– Czyli myślisz, że twoją nową przyjaciółkę wypuszczono właśnie z domu wariatów?

– Nic takiego nie myślę – oburzyła się Claire. – Moim zdaniem przeżyła po prostu jakiś wstrząs. Ciekawe, co by to mogło być.

– Jak znam ciebie, mój aniołku, już przy drugim spotkaniu wszystko z niej wyciągniesz.

Nie miał racji. Przez kilka kolejnych miesięcy obie panie spotykały się dość często, czasem przypadkiem, bo mieszkały osiem domów od siebie, a czasem umawiały się na obiad, kolację czy poranny seans filmowy. Jeśli Evelyn naprawdę przeżyła jakiś wstrząs, to nigdy o tym nie wspominała, a na wszelkie delikatne aluzje czy bezpośrednie pytania reagowała milczeniem albo zbywała je. Ta jej umiejętność dochowania tajemnicy na początku kusila i drażniła Claire, ale z czasem nauczyła się ją szanować.

Gdy John, wykładowca na wydziale biologii, musiał jechać w teren, Evelyn często nocowała u niej, bo Claire nie chciała być sama.

Z tego powodu John lubił się z nią droczyć. – Bać się ciemności? W twoim wieku, przy twojej tuszy?

– Nic na to nie poradzę.

– A jak sobie radziłaś, zanim zostaliśmy małżeństwem?

– Zanim zostaliśmy małżeństwem, mieszkałam w bloku, miałam ludzi pod sobą, nad sobą i po obu stronach. Ściany były tak cienkie, że można było usłyszeć, jak sąsiadowi spada igła, więc szanse na to, żeby we własnym łóżku paść ofiarą morderstwa, były nikłe. W domu takim jak ten sprawy inaczej się mają. Jest się odcięty od świata.

– No, przez podjazd i dwie rabatki...

– Nie, przecież wiesz, o co mi chodzi.

Doskonale wiedział, o co jej chodzi. Wychowała się w dużej rodzinie, mieszkała w szkole z internatem. Zawsze miała wokół siebie ludzi, braci i siostry, przyjaciółki i kuzynki, i kuzynki kuzynek. Gdy zostawała w domu sama, Claire stawała się niespokojna i John był wdzięczny Evelyn, że pod jego nieobecność dotrzymuje żonie towarzystwa. Już dawno temu przeszła mu nieufność, jaką kiedyś czuł do Evelyn, teraz wierzył, że na swój cichy sposób była jedną z najmiłszych dziewczyn pod słońcem.

W środę rano John zabrał swoich pierwszoroczników na wycieczkę do parku narodowego Los Padres, a późnym popołudniem zjawiała się Evelyn, zaproszona na kolację i na noc. Zamierzały pójść na sztukę w Biltmore Bowl, ale plany uległy odwołaniu, bo Claire przyszła do domu mocno podziębiona. Płóżyła się do łóżka o ósmej, zamoczona antyhistaminami oraz kodeiną, i spała jak zabita.

Rano obudził ją brzęk naczyń i zapach palonego bekonu, dochodzące z kuchni. Wciągnęła stary szlafrok męża w tureckie wzory, zeszła do kuchni i zastała Evelyn na przygotowywaniu śniadania.

- Zjadłabym konia z kopytami – ziewnęła Claire.
- Chyba będziesz musiała. Właśnie spaliłam ostatni kawałek bekonu.
- Lubię dobrze wysmażony.
- Ten nie jest dobrze wysmażony, tylko zwęglony.
- No cóż, Johnny twierdzi, że każdy powinien uzupełnić dietę o węgiel.

Jako środek oczyszczający organizm.

- Teraz już zmyślasz.
- Ale brzmi to prawdopodobnie, nieprawdaż?
- Widzę, że czujesz się już lepiej?
- O, zdecydowanie. A ty?

Evelyn odwróciła się. Twarz miała bladą i wyniosłą. – Ja? U mnie zawsze wszystko jest w porządku.

– Wyglądasz na roztrzęsioną. Gdybym nie wiedziała, powiedziałabym, że wczoraj poszłaś w tango.

- No wiesz, to nie w moim stylu.
- Żartowałam przecież. Nie chciałam cię urazić.
- Niestety, ostatnio łatwo mnie urazić.
- Wiem. John i ja... cóż, zauważyliśmy i zastanawialiśmy się...
- Nad czym?
- Czy nie powinnaś wyjść za mąż.

Evelyn milczała.

– To znaczy – ciągnęła ufnie, choć niezręcznie, Claire – małżeństwo to dla kobiety wspaniała rzecz.

– Tak?

– Naprawdę. Nie wiem, czemu tak cię to bawi. Co w tym śmiesznego?

– Obawiam się – uśmiechnęła się Evelyn – że nie zrozumiałabyś...

Tego dnia po południu Claire wróciła z zajęć nieco wcześniej niż zwykle, około czwartej trzydzieści. Zapadał już zmrok, więc samochód zaparkowany przy krawężniku zauważyła dopiero wtedy, gdy wypuszczała spanielkę na dwór. Pies rzucił się przez trawnik w kierunku samochodu i zaczął drapać łapami w drzwi.

Z okna samochodu wychylił się mężczyzna w szarym, filcowym kapeluszu. – Karoserii mojego auta nie wyjdzie to na dobre.

– No cóż, widzę. – Podniosła wyrywającą się suczkę.

– Pani Laurence?

– Zgadza się.

– Nazywam się Paul Blackshear. To ja dzwoniłem do pani na uczelnię.

– Ach, faktycznie.

– Czy jest tu panna Merrick?

– Jeszcze nie. Ale wkrótce się zjawi. Może wejdzie pan i zaczeka...

– Dziękuję, chętnie.

Poprowadziła go przez trawnik. Czowała się nieswojo, że musi wpuścić do domu obcego człowieka, ale nie przychodził jej do głowy żaden sposób na grzeczne pozbycie się go.

Zapaliła w salonie wszystkie lampy i rozsunęła zasłony, a kiedy Blackshear usadowił się na sofie, ona przycupnęła na fotelu w drugim końcu pokoju.

– Wkrótce będzie tu mój mąż – skłamała bez zająknięcia.

Blackshear obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.



– To dobrze. Przyda mi się wszelka pomoc.

– Pomoc w czym?

– Usiłuję odnaleźć pewną kobietę. Mam podstawy, żeby sądzić, że Evelyn Merrick wie, gdzie ona jest.

– Czyli myśli pan, że Evelyn pomogła jej w zniknięciu?

– Myślę, że tak, choć nie w taki sposób, o jakim pani myśli.

– Nie rozumiem.

– Ta kobieta nie zniknęła z własnej woli.

Claire zapatrzyła się w niego, blada i zaskoczona. Przycisnęła pięści do ud. – Co pan... sugeruje?

– To chyba oczywiste?

– Nie, to wcale nie oczywiste. Nic nie jest oczywiste. Jestem oszłamiona. Nie rozumiem.

– Ja też nie rozumiem, ale staram się. Dlatego tu jestem. Kobieta, która zniknęła, nazywa się Helen Clarvoe, to moja przyjaciółka. Kiedyś była też przyjaciółką Evelyn Merrick.

– Kiedyś... To znaczy, że się pokłóciły?

– Powiedzmy, że straciły ze sobą kontakt. Aż do poniedziałku wieczorem. Wtedy to panna Merrick zadzwoniła do pokoju hotelowego Helen Clarvoe. Nie będę się wdawał w szczegóły, ale zapewniam panią, że nie była to zwykła rozmowa dwóch przyjaciółek. Wskutek tej rozmowy panna Clarvoe poprosiła mnie, abym spróbował odnaleźć Evelyn Merrick.

– Czemu?

– Uwagi panny Merrick wyprowadziły ją z równowagi i mocno przestraszyły. W tym tygodniu odkryłem, że dziwne telefony to specjalność

panny Merrick. Niektórzy ludzie, jeśli żywią do kogoś urazę, wściekają się, inni dąsają, jeszcze inni piszą gderliwe listy. Evelyn Merrick telefonuje.

– Bzdury – ostro zaoponowała Claire. – Nie wierzę w to. Ev nie cierpi rozmawiać przez telefon. Może mi pan zaufać, jestem w końcu jej najlepszą przyjaciółką.

– Proszę posłuchać, pani Laurence. Niektórych rzeczy o tej kobiecie nawet najbliższa przyjaciółka może nie wiedzieć, bo panna Merrick sama o nich nie wie.

– To niemożliwe. Chyba że... chce pan powiedzieć, że ona jest szalona?

– Jest to forma szaleństwa.

– Co?

– Rozdwojenie jaźni.

Claire wstała gwałtownie i zaczęła chodzić po pokoju. – Ev to moja najlepsza przyjaciółka. Pan jest dla mnie obcy. Przychodzi pan tutaj i opowiada o niej niestworzone, potworne historie, i oczekuje, że panu uwierzę. No cóż, nie potrafię. Nie uwierzę. Kto dał panu prawo chodzenia po ludziach i oskarżania bliźnich o rozdwojenie jaźni?

– To nie jest moja teoria. Zasugerował mi to sam lekarz panny Merrick. Rozmawiałem z nim dziś po południu. Panna Merrick przeżyła już dwa wstrząsające wydarzenia, pierwszym był rozwód rodziców i wyjazd ojca na wschód, drugim – zerwanie jej własnego małżeństwa rok temu.

– Małżeństwa? – powtórzyła Claire. – Ev nigdy nie była mężatką.

– To można sprawdzić w urzędzie.

– Nic mi o tym nie wspominała. Ja... przecież jeszcze dziś rano rozmawiałyśmy i ja powiedziałam, że małżeństwo to dla kobiety świetna rzecz, a ona... teraz to już nieważne.

- Niech pani dokończy. Ona co?
- Nic. Uśmiechnęła się, jakbym niechętnie powiedziała coś zabawnego.
- Bo tak było.
- Więc nie było to szczęśliwe małżeństwo?
- Nie.
- A jej mąż?
- Brat Helen Clarvoe, Douglas. – Blackshear zawahał się, czując gwałtowną i niepoohamowaną niechęć dla zadania, jakie właśnie przed nim stanęło. – Młodzieniec ten zmarł dziś rano.
- Dlaczego powiedział to pan tym właśnie tonem?
- Nie wiedziałem, że użyłem jakiegoś szczególnego tonu.
- Owszem. Zabrzmiało to tak, jakby Evelyn miała z jego śmiercią coś wspólnego.
- Moim zdaniem nie ma co do tego żadnych wątpliwości. A zginęło już dwóch mężczyzn.
- Była wstrząśnięta, ale uparta.
- To jakaś straszna pomyłka. Ev to najdelikatniejsza istota pod słońcem.
- Może ta, którą pani zna. Ta druga...
- Nie ma żadnej drugiej! – Ale siły ją opuściły. Opadła na krzesło, wierzch dłoni przycisnęła do drżących warg. – Jak... jak zginął ten jej mąż?
- Zabił się.
- A ten drugi?
- Dzisiaj rano dźgnięto go w gardło nożycami fryzjerskimi.
- Mój Boże – szepnęła. – Mój Boże. – Sięgnęła ręką do szyi, jakby chciała zatamować niewidoczny krwotok. – Będzie tu lada moment. Co ja mam zrobić?

– Nic. Proszę zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

– Jakże bym mogła?

– Musi pani. Od tego może zależeć życie Helen Clarvoe.

– A nie ma możliwości, że... zaszła tu jakaś pomyłka?

– Zawsze jest taka możliwość, lecz w tym wypadku dość nikła. Gdy dziś po południu Evelyn zadzwoniła do pani Clarvoe w sprawie Helen, nie starała się ukrywać swojej tożsamości, wydawała się wręcz dumna z siebie.

Przedstawił jej treść rozmowy – słuchała go, zszokowana, w milczeniu, wciąż pocierając to samo miejsce na szyi.

Na dworze rozległo się szczekanie spanielki. Blackshear odwrócił się i wyrzwał przez okno. Ścieżką szła młoda kobieta, śmiała się, a piesek obskakiwał ją w szalonym zachwycie. Dochodząc już do stopni ganku, schyliła się i wyciągnęła ręce, na które spanielka natychmiast wskoczyła. Dziewczyna i suczka wydawały się bardzo zadowolone, zarówno z siebie, jak i z tego niezwykłego wyczynu.

Blackshear ujrzał Evelyn Merrick po raz pierwszy i pomyślał, jakie to ironiczne, że widzi ją właśnie taką, śmiejącą się, witającą się z psem... *najdelikatniejszą istotę pod słońcem*, zgodnie ze słowami Claire Laurence.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na Claire. Miała łzy w oczach. Otwierając drzwi, starła je wierzchem dłoni.

– Widziałaś to, Claire? W końcu udało się jej, wskoczyła mi prosto na rękę! John twierdzi, że całe lata usiłował ją tego nauczyć... Jak tam przeziębienie?

– Dużo lepiej, dzięki – odparła Claire. – Mamy gościa.

– Gościa? To dobrze.

– Wejdź i poznaj pana Blacksheara.

– Chwilkę, tylko zdejmę płaszcz.

Wchodząc do pokoju, uśmiechała się leciutko, ale był to uśmiech powściągliwy, jakby spodziewała się, że gość ten nie będzie jej w smak. Miała krótkie, ciemne włosy i szare oczy, w których odbijał się delikatnie błękit szmizjerki. W pierwszej chwili, gdy witała się z pieskiem, wydała się Blackshearowi zachwycająco piękna. Teraz, gdy ożywienie zniknęło już z jej twarzy, wyglądała dość zwyczajnie. Uścisk dłoni miała bezwładny i obojętny.

Blackshear oświadczył: – Słyszałem, że pani Laurence nazwała mnie gościem. To nie jest właściwe określenie.

Podniosła ciemne, proste brwi. – Nie?

– Chciałbym zadać pani kilka pytań, jeśli mogę, panno Merrick.

– Może pan. A ja mogę nawet odpowiedzieć...

– Pan Blackshear szuka zaginionej kobiety – oznajmiła Claire. – Powiedziałam mu, że pewnie nic o tym nie wiesz. – Pochwyciła ostrzegawcze spojrzenie Blacksheara i dodała: – Pójdę zrobić kawy.

Po jej wyjściu Evelyn rzuciła lekko: – To bardzo intrygujące. Proszę powiedzieć mi więcej. Jakaś moja znajoma?

– Helen Clarvoe.

– *Helen*. Wielkie nieba, to chyba ostatnie imię, jakie spodziewałam się usłyszeć. Mówi pan, że zniknęła?

– Tak.

– To dziwne. To zupełnie nie w stylu Helen. Helen ma dość, nazwijmy to, konserwatywne poglądy i sposób życia.

– Owszem.

– No, ale jest też na tyle dorosła, że może robić, co chce, więc jeśli chciała zniknąć, to czemu ktoś miałby jej szukać?

– Nie jestem pewien, czy ona naprawdę tego chciała.  
– O, doprawdy? – Wydawała się rozbawiona. – Helen nie jest tak nudna, jak może wydawać się na pierwszy rzut oka. Może w grę wchodzi tu jakiś mężczyzna?

– Wątpię.

– W każdym razie nie rozumiem, jak ja mogłabym panu pomóc, panie Blackshear. Ale spróbuję.

– Dziękuję pani.

– Niech pan strzela.

– Zna pani South Flower Street?

– South Flower? To gdzieś w centrum, tak?

– Tak.

– Pewnie zdarzyło mi się nią jechać. Ale nie jest to okolica, którą dobrze znam.

– Kiedy ostatnio widziała się pani z Helen Clarvoe?

– Ponad rok temu.

– Czy rozmawiała z nią pani przez telefon?

– Oczywiście, że nie. Czemu miałabym z nią rozmawiać? Nie ma o czym.

– Nie ma między wami urazy?

– Niczego między nami nie ma. W każdym razie nie z mojej strony.

– Kiedyś były panie przyjaciółkami.

– W szkole, tak. To – wzruszyła ramionami – było dawno temu.

– Została pani żoną brata Helen, Douglasa.

– Nie powiedziałabym, że „żoną”. Ale ceremonia miała miejsce, owszem.

Czy mogę teraz *panu* zadać pytanie?

- Oczywiście.
- Skąd ma pan o mnie te wszystkie informacje?
- Od pani matki.

Wydawała się naprawdę rozbawiona. – Powinnam się była domyślić. Z mamy jest straszna gaduła. Obnaża duszę nawet przed mleczarzem czy chłopcem, który przynosi nam zakupy. Niestety, moją duszę też przy okazji obnaża.

– Czy widziała się pani niedawno z Douglasem?

– Nie, nie widziałam się z nim. Ale rozmawiałam.

– Kiedy?

– Zadzwoił do mnie wczoraj wieczorem.

– Tutaj?

– Tak. Gdy Claire była już w łóżku.

– Skąd wiedział, że pani tu jest?

– Podejrzewam, że zadzwonił najpierw do mnie do domu i mama dała mu ten numer.

– Myśli pani, że to prawdopodobne, biorąc pod uwagę, jaką żywi do niego niechęć?

– Pewnie się nie przedstawił. – Z lekką nutą pogardy w głosie dodała: – Zapewniam pana, że ja nie usiłowałam utrzymywać z nim kontaktu. Mam dość całej rodziny Clarvoe. Lepiej trzymać się od nich z daleka.

– Z jakiego powodu zadzwonił do pani?

– Nie wiem. Od czasu unieważnienia ślubu rozmawiałam z nim pierwszy raz. Wydał mi się taki samotny i zagubiony. Ja trochę akurat też, więc pogadaliśmy. Głównie o starych dziejach, lata temu, kiedy Helen i ja chodziłyśmy razem do szkoły i przyjeżdżałam do nich na święta i weekendy.

Dougie, tak go wtedy nazywałyśmy, bez przerwy włóczył się za nami, nieważne, jak się z nim droczyłyśmy. Nawet Helen była wtedy szczęśliwa. Zabawne, jak to się wszystko później potoczyło.

Mówiła to jednak zupełnie obojętnie, jakby Evelyn z tamtego okresu nie miała z nią nic wspólnego. Blackshear zastanawiał się, kiedy pojawiło się u niej rozdwojenie jaźni. Może cierpiała na nie od dziecka, ale nikt nic nie podejrzewał. A może w czasie, gdy była nastolatką, właśnie w okresie, z którego pochodziły te wspomnienia o Douglasie, te „szczęśliwe” dni. Możliwe, że były „szczęśliwe” właśnie dlatego, że wtedy zaczęła uciekać od samej siebie.

Jednego był prawie pewien – jej rozdwojenie jaźni było całkowite. Kobieta, z którą rozmawiał, nie wiedziała nic o istnieniu swojej chorej bliźniaczki. Pamiętała, że poprzedniej nocy rozmawiała z Douglasem przez telefon, ale gdyby powiedział jej, że rozmawiała też z panią Clarvoe, i to w zupełnie innym tonie, zareagowałaby niedowierzaniem i prawdopodobnie złością. Zrażając ją, niczego by nie osiągnął. Jego zadanie polegało więc na tym, aby poczekać, aż dokona się w niej przemiana i kontrolę przejmie bliźniaczka. Tylko ona wiedziała, co stało się z Helen Clarvoe i gdzie teraz jest. South Flower Street była całe mile stąd, a burdeli miała więcej niż restauracji.

Lecz nawet jeśli to było jedynym bezpiecznym wyjściem, nikt nie wiedział, co w Evelyn Merrick powoduje tę zmianę, więc nie miał możliwości wywołania jej. Mógł to być jakiś czynnik zewnętrzny, słowo, zapach, dźwięk, przypadkowa fraza muzyczna, albo wewnętrzny – gwałtowna chemiczna reakcja w samym ciele.



– Dziwnie było znów usłyszeć głos Douglasa – powiedziała. – Myślałam, że będę miała do niego żal, ale nie. Dziwne też, nie sądzi pan, że ludzie planują, co zrobić i powiedzieć w danej sytuacji, ale jak przychodzi co do czego, nigdy nie robią i nie mówią tego, co zaplanowali...

– A co pani planowała?

– Sprawić, żeby poczuł się jak gnida. Ale jak tylko usłyszałam jego głos, od razu wiedziałam, że nic nie muszę mówić. On czuł się gorzej niż jakakolwiek gnida.

– Jak spędziła pani ten dzień?

– Szukałam pracy.

– Jakiejś konkretnej pracy, na przykład w charakterze modelki?

– *Modelki*? Nie wiem, skąd to panu przyszło do głowy.

– Jest pani przecież śliczną dziewczyną.

– Bzdura. Dziękuję, ale to naprawdę bzdura. Szukam pracy z perspektywami.

– I cały dzień nie było pani w domu?

– No tak.

– Widziała się pani w tym czasie z matką?

– Nie. Wstąpiłam po nią do kwiaciarni, ale powiedzieli mi, że wzięła wolne na resztę dnia.

– Poszła zobaczyć się z panią Clarvoe.

– Z Verną? Dlaczegoż miałyby to robić?

– Dziś rano zmarł Douglas.

Evelyn usiadła spokojnie, ze spuszczonej oczami i rękoma splecionymi na kolanach. Gdy odezwała się w końcu, jej głos był czysty i wyraźny: – Kawa już chyba gotowa. Przyniosę panu filiżankę.

– Panno Merrick...

– Co chciałby pan ode mnie usłyszeć, że jest mi przykro? Nie jest. Nie jest mi przykro, że nie żyje. Tak jest dla niego lepiej. Przykro mi tylko, że nie był szczęśliwszy za życia.

Była to najmilsza rzecz, jaką usłyszał o Douglasie od czasu jego śmierci.

– Jak to się stało? – zapytała.

Blackshear opisał jej okoliczności śmierci, a Evelyn siedziała, z głową na wół odwróconą, zamyślona, wręcz pogodna, jak dziecko słuchające opowieści, którą słyszało już z tuzin razy.

Gdy skończył, westchnęła: – Biedny Douglas. Na swój sposób był najlepszym członkiem całej tej rodziny. Przynajmniej miał w sobie jakieś ciepło. Dla zupełnie nieodpowiednich ludzi, to prawda, ale przynajmniej je miał.

– Helen też je ma.

– Helen jest zimna aż do szpiku kości.

Nagle, niczym bolesne skurcze, dopadły go złe przeczucia. Odniósł wrażenie, że jej uwaga była zupełnie dosłowna i że kobieta ta usiłuje mu powiedzieć, że Helen już nie żyje.

– Panno Merrick, spytam jeszcze raz.

– Tak?

– Czy widziała pani dzisiaj Helen Clarvoe?

– Nie.

– Wie pani, gdzie ona jest?

– Nie.

– Wie pani, czy ona żyje?

– Nie.

– Ale pamięta pani, że w poniedziałek, około dziesiątej wieczorem, zadzwoniła pani do jej pokoju hotelowego?

– Nie mogę pamiętać czegoś, co nie miało miejsca – powiedziała łagodnie. – Żałuję, że nie mogę panu pomóc, panie Blackshear, ale obawiam się, że nie znam odpowiedzi.

To bez sensu, pomyślał, i skierował się do drzwi. – W każdym razie dziękuję za dobre chęci.

– Proszę bardzo. Gdy odnajdzie pan Helen, proszę dać mi znać.

– Dlaczego?

– Auld lang syne\*, stare dobre czasy, albo ciekawość, jak pan chce.

Wzbierający w nim gniew smakował jak żółć; czuł na języku gorzki, cierpki posmak, a w gardle go paliło. Nie odważył się nic powiedzieć.

Otworzył drzwi i wyszedł. Mimo oświetlonych domów i ulicznych latarni, ciemność zdawała się nieprzenikniona jak dżungla.

Otworzyła oczy, ale światło było tak oślepiające, że natychmiast zamknęła je z powrotem. W ciągu tej jednej chwili dostrzegła tylko, że znajduje się w małym, białym pokoju, przypominającym separatkę w szpitalu, a wielka kobieta, pochylająca się nad nią, ubrana jest na biało, jak pielęgniarka.

Kobieta przemówiła szorstkim, zmęczonym głosem: – Dochodzi do siebie. Daj jej jeszcze tej whiskey.

– Ależ, Bella, ona już jest pijana – po co miałabym jej więcej dawać?

– Zamknij się i rób, co mówię. Pijanego nic nie postawi na nogi szybciej niż zapach kolejnej flaszki. Dawaj tu tę flaszkę, Mollie.

– Masz.

– A teraz przytrzymaj jej głowę, ja będę nalewać. Cha, cha, cha, jak na wieczorku towarzyskim, co? Madame Bella czyni honory domu.

Panna Clarvoe usiłowała protestować. Nie chciała whiskey; paliła ją jak kwas. Przekręciła głowę w drugą stronę i zaczęła krzyczeć, ale czyjaś dłoń zakryła jej usta.

– Lepiej daruj sobie te fochy, serdeńko – cicho powiedziała kobieta zwana Bellą. – Chyba masz jakieś przywidzenia, co? Biegają po tobie małe zwierzątka? Łyczek albo dwa i zaraz sobie pójdą.

– Nie! Ja nie chcę...

– O co chodzi, serdeńko? Powiedz Belli. Wszyscy zwierzają się Belli z kłopotów. Gryzie cię jakiś robak?

Panna Clarvoe potrząsnęła głową. Nie wiedziała, o czym ta kobieta mówi. Nic ją nie gryzło i nie biegały po niej żadne zwierzątka.

– Powiedz Belli, serdeńko.

– Nie mogę powiedzieć, bo nic nie wiem – odparła panna Clarvoe głosem mocno zdławionym przez pulchną dłoń kobiety. – Proszę mnie puścić.

– Oczywiście, serdeńko, o ile tylko nie zaczniesz krzyczeć. Nie mogę pozwolić, abyś przeszkadzała moim pozostałym klientom. Człowiek przychodzi tu po ciężkim dniu w biurze, marzy mu się miły, cichy masaż, a nie wrzaski jakiejś pannicy – to go denerwuje.

Klienci. Masaże. A więc to nie szpital, a ta kobieta nie jest pielęgniarką.

– Żadnych numerów, co, serdeńko? Obiecuj Belli.

– Tak. Obiecuję.

Panna Clarvoe otworzyła oczy. Leżała na kanapie, obok niej stała bardzo ładna, choć pryszczata blondynka, z butelką whiskey w dłoni. Ta druga kobieta, Bella, była strasznie tłusta; jej ciało falowało przy każdym ruchu, a podbródki zwieszały się girlandami nad śniadą szyją. Tylko jej oczy zdawały się ludzkie; ciemne, patrzące rozpaczliwie, oczy, które widziały za dużo, a rozumiały za mało.

Sama rozmowa stanowiła dla niej tak duży wysiłek, że zaczęła sapać. Zdjąwszy dłoń z ust panny Clarvoe, przyłożyła ją sobie do serca, aby upewnić się, czy wciąż bije.

– To palto jest z niezłego materiału – zauważyła blondynka. – Piszą tu, że ze Szkocji, o, widzisz metkę?

– Możesz już wracać do pracy, Mollie.

– Kiedy ja już nie mam na dzisiaj żadnych klientów.

– To idź do domu.

– A jak ona znowu zacznie się awanturować?

– Poradzę z nią sobie – odparła kobieta. – Bella sobie z nią poradzi. Bella wie, w czym kłopot. Bella rozumie.

– Ach, więc to o *to* chodzi – blondynka uśmiechnęła się wzgardliwie. – No dobrze, możesz ją zatrzymać. Ja wolę te normalne.

– Zamknij się, serdeńko.

– Ale ciekawe, co takiego wyjątkowego jest w tym szkockim materiale...

– Spadaj, serdeńko, i zamknij za sobą drzwi. Dziewczyna wyszła i zamknęła drzwi.

Panna Clarvoe przycisnęła palce do oczu. Nie rozumiała, o czym rozmawiały te dwie kobiety, nic tu nie miało sensu. Było jej niedobrze, kręciło jej się w głowie, a skroń nad lewym uchem pulsowała z bólu, jakby ktoś ją tam uderzył.

– Moja głowa – powiedziała. – Głowa mnie boli.

– Wciąż boli ją głowa. A to dopiero. Jasne, że głowa ci pęka, serdeńko. Jesteś zalana.

– Nie. Ja nigdy nie piję... nigdy.

– Jak znalazłam cię, nieprzytomną, na progu, na miłą woniało od ciebie bimbrem. Akurat zegnałam się ze stałym klientem, co przyszedł właśnie na swoją kurację, otwieram drzwi, a ty tam leżysz. Urznięta, serdeńko. Urznięta na amen.

– To niemożliwe. Ja nie piję.

– Tylko od czasu do czasu przepłukujesz gardziółko, co? – Gruba kobieta śmiała się, śmiał się każdy cal jej ciała, wargi, podbródki, brzuch, piersi. Gdy skończyła, otarła sobie twarz i dekolt chusteczką. – Cała ja, jestem zbyt wesola. Za dużo się śmieję. Pocę się od tego. Och, jakże ja się pocę, serdeńko, to, jak Bella się poci, jest wręcz nieludzkie. A może jeszcze łycezek whiskey, serdeńko?

– Nie. Nie! – Panna Clarvoe usiłowała wstać, ale straciła równowagę i stoczyła się na podłogę. – Muszę... muszę jechać do domu... czekają tam na mnie.

Gruba kobieta chwyciła pannę Clarvoe pod pachami i pomogła jej wstać.

– Kto na ciebie czeka, serdeńko?

– Ja nie... nie wiem.

– Skoro nie wiesz, to chyba nie ma pośpiechu, prawda? Połóż się na troszkę. Bella sprawi, że poczujesz się lepiej.

– Nie, nie. – Na karku czuła gorący oddech tej tłustej kobiety, niezdolnie pachniał anyżkiem. – Muszę... Oni czekają. – Ktoś na nią czekał, ale nie mogła sobie przypomnieć, kto. Twarze z jej wspomnień były zamazane i niewyraźne, ludzie przypominali cienie, wszystkie miejsca wyglądały tak samo. Oparła się o ścianę i słabo zapytała: – Czy mogłabym... dostać trochę wody?

– Oczywiście, serdeńko.

Kobieta przyniosła jej wody w papierowym kubku i obserwowała, jak pije.

– Już ci lepiej, serdeńko?

– Tak.

– Płaszcz ci się zabrudził. Daj go tutaj, oczyszczę ci go.

– Nie. Nie. – Owinęła się płaszczem jeszcze ciaśniej.

– A, więc jesteś z tych wstydliwych. Bella wie. Bella pracuje w tym biznesie od dawna, od bardzo dawna. Przy Belli nie musisz się wstydzić. Wiele pań tu przychodzi. Chcą tylko troszkę czułości. Nic w tym złego, prawda? A przy okazji, kto ci mnie polecił, serdeńko?

– Nie rozumiem.

– Skąd mnie znasz?

– Nie znam. Nie znam pani.

Tłusta kobieta stała nieruchomo. Jej oczy, głęboko schowane pod zwałami tłuszczu, były martwe i fioletowe jak winogrona.

– Więc jak to się stało, że wybrałaś mój zakład?

– Nie wybrałam. Niczego nie wybierałam...

– Nieładnie jest zmyślać, serdeńko. Bella nie cierpi kłamstw, złością ją.

Kto podał ci moje nazwisko?

– Nikt.

– I trafiłaś tu przypadkiem, co? Tak było, serdeńko?

– Nie pamiętam – wyszeptała panna Clarvoe. – Nie pamiętam... Evelyn...

– Tak się nazywasz, serdeńko? Evelyn?

– Nie. Nie! Byłam... byłam z Evelyn. Przyprowadziła mnie tutaj.

Powiedziała... – panna Clarvoe zamilkła, przyciskając dłoń do drżących ust.

– Co powiedziała, serdeńko?

– Że tu jest moje miejsce.

Tłusta kobieta z zadowoleniem pokiwała głową, uśmiechnęła się i zaczęła pocierać podbródki. – Bystra dziewczyna z tej Evelyn, a niech mnie, naprawdę bystra. – Ja nie rozumiem, co miała na myśli.

– Doprawdy, serdeńko? No to połóż się i odpocznij sobie kapkę, a Bella ci pokaże.

– Co pani mi pokaże?

– Jak być szczęśliwą, serdeńko. Jak być *tak* szczęśliwą. Faceci to świnie. Niczego nie wiedzą, nic ich nie obchodzi. Bella, to co innego. Bella wie. Wezmę twój płaszcz, serdeńko. Jakie masz słodziutkie kostki. W młodości też miałam zgrabne kostki. Teraz jem. Jem i jem, bo nikt mnie nie kocha. Nikt nie



kocha Belli, bo jest gruba jak słoń, tak, ale przynajmniej zna swój fach. Daj mi swój śliczny płaszczyk, serdeńko.

Panna Clarvoe była sparaliżowana ze strachu.

– Brzydzisz się mnie, co, serdeńko? Nie szkodzi. Wszyscy tak najpierw mówią, ale później inaczej już śpiewają. Bella uszczęśliwi cię tak, że będziesz tu chciała wracać i wracać, i wracać.

– Niech mnie pani nie dotyka!

– Nie wstydz się, serdeńko. Bella zna swój fach, Bella będzie delikatna.

– Ty potworna, stara zdziro – krzyknęła panna Clarvoe i rzuciła się do drzwi.

Ale gruba kobieta znalazła się tam pierwsza. Zagroziła jej drogę, założyła ręce na ogromnych piersiach i przycisnęła się plecami do futryny.

– Bella nie lubi, jak się ją obrzuca wyzwiskami, serdeńko. Złości ją to.

– Jeśli mnie pani stąd nie wypuści, zacznę krzyczeć, będę krzyczeć, aż zjawi się tu policja.

Bella milczała przez chwilę, aż w końcu oznajmiła gorzko: – Wierzę, że zrobiłabyś to, od razu wiedziałam, co z ciebie za numer. Tak okazujesz mi wdzięczność? Przyjmuję cię do siebie, zajmuję się tobą, spijam cię moją najlepszą whiskey, prawie ci komplementy, wszystkie zmyślane, oczywiście, masz beznadziejne kostki, chude i krzywe jak cybuchy...

– Proszę otworzyć te drzwi.

Bella nie otworzyła drzwi, ale odsunęła się od nich, wciąż mówiąc, głównie do siebie: – Tyle dobrego robię dla ludzi i co dostaję w zamian? Wyzwiska i krzywe spojrzenia. Bella jest człowiekiem, może i jest gruba jak słoń, ale jest przecież człowiekiem, od czasu do czasu chciałaby spotkać się z ludzką wdzięcznością. Straszny jest ten świat, wdzięczności w nim za grosz.

Wynoś się, wstrętna dziewucho, wynoś się. Bella się złości. Wynoś się, wynoś się.

Ale wstrętna dziewucha już zdążyła wyjść, więc Bella mówiła do ścian. Usiadła ciężko na kanapie, przyciskając rękę do serca. Wciąż biło, trzepotało jak ptak uwięziony w duszących fałdach mięsa.

– Ludzie wcale nie są dobrzy – oznajmiła.

Helen Clarvoe nie mogła biec, nogi odmawiały jej posłuszeństwa, jakby mięśnie zanikły jej od długiego spoczynku, a ból głowy nasilał się. Gdy próbowała myśleć, myśli topiły się i powodowały zwarcia. Jasna i wyraźna była tylko ta: Muszę się stąd wydostać. Muszę uciekać. Muszę biec.

Nieważne, dokąd powinna biec. Nie miała planu, nie wiedziała nawet, gdzie się znajduje, aż dopadła do rogu ulic, na którym dostrzegła znaki: South Flower Street i Ashworth Avenue. Powtórzyła w myślach te nazwy, licząc na to, że zaczną jej się z czymś kojarzyć, ale żadna z nich nic jej nie mówiła, a i otoczenie wydawało jej się obce. Wiedziała, że nigdy wcześniej nie widziała tych okolic, tak jak wcześniej wiedziała, że nigdy nie pije. Ale jakoś znalazła się tutaj, przyszła albo przyjechała, albo przyniesiono ją, a gdy się tu zjawiła, była pijana. *Urznięta*, mówiła Bella, *urznięta na amen. Jasne, że głowa ci pęka, serdeńko. Jesteś zalana.*

– Ja nigdy nie piję – powiedziała panna Clarvoe. – Nigdy nie tykam alkoholu. Ojciec powtarzał, że kobieta od tego pospolicieje.

Staruszek, czekający na rogu na zmianę świateł, obrzucił ją ciekawskim, ale i pełnym sympatii spojrzeniem znad dwuogniskowych okularów. Sam często mówił do siebie. Miło było wiedzieć, że inni też to robią.

Panna Clarvoe pochwyciła to spojrzenie, odwróciła się i spąsowiała, bo poczuła się tak, jakby ujrzał ją rozebraną do naga.

– He, he, he – wciąż zanosząc się gromkim śmiechem, staruszek ruszył przez jezdnię, powłócząc nogami. W dzisiejszych czasach nawet młodzi mówią sami do siebie. W dobie atomu. Szaleńcy rządzą światem. – He, he, he.

Panna Clarvoe dotknęła policzka. Palił ją z upokorzenia. Ten staruszek widział, jak mówi do siebie, może widział i więcej. Może akurat przechodził, gdy Helen wybiegała z zakładu Belli, i wiedział, co to za zakład. Musi uciec od tego staruszka.

Zawróciła i zaczęła biec w przeciwną stronę, poły jej płaszcz łopotwały na wietrze, a chude nogi poruszały się sztywno jak cybuchy.

Na następnym rogu przystanęła dla złapania oddechu i oparła się o latarnię. Napis na słupku głosił: Figueroa Street. Nie zgubiłam się, pomyślała. Znam Figueroa Street, zaczekam tu na rogu, aż podjedzie jakaś pusta taksówka. Ale coś, jakiś szósty zmysł, kazało jej nie przystawać, znowu więc ruszyła. Nie biegła już. Bieg zwracał zbyt dużo uwagi. Musi zachowywać się normalnie, zwyczajnie. Nikt nie może się dowiedzieć, że gdzieś tu, na tych albo na innych ulicach straciła cały dzień. Zapadła już noc. Dzień minął, ominął ją, mignął, nie dotykając jej.

Szła dalej, z pochyloną głową, jakby na chodniku i w rynsztokach szukała utraconego dnia. Ludzie mijali ją, samochody śmigały, noc przepełniona była hałasem, światłem i ruchem, ale panna Clarvoe nie podnosiła głowy. *Muszę udawać*, pomyślała. *Muszę udawać, że nie wiem, że jestem śledzona.*

Jeśli będzie wystarczająco sprytna, jeśli zachowa zimną krew, może odkryje, przez kogo. Przez Bellę? Staruszka, który przyłapał ją na mówieniu do siebie? Którąś z koleżanek Belli? Śledząc ją, żadne z nich nie mogło niczego zyskać, nawet pieniędzy. Straciła już torebkę, tak jak straciła dzień.

Na przystanek zaczęli wysypywać się ludzie z autobusu, przyspieszyła więc kroku i wmieszała się w tłum. Na moment bezpieczna, obejrzała się za siebie, wpatrzyła się w dżunglę twarzy. Tylko jedną z nich widziała wyraźnie, bladą, spokojną, na wpół uśmiechniętą. Evelyn Merrick. Stała w mrocznym wejściu do niewielkiego punktu naprawy telewizorów, opierała się bez troski o szklaną witrynę, jakby właśnie zatrzymała się na odpoczynek w czasie wieczornego spaceru. Ale panna Clarvoe wiedziała, że to nie żaden spacer, tylko polowanie, a osaczoną ofiarę stanowiła ona sama.

Zawróciła i zaczęła biec przez ulicę, ślepa, głucha i odrętwiała ze strachu. Nawet nie poczuła uderzenia samochodu, który ją potrafił.

Gdy wróciła jej świadomość, panna Clarvoe leżała przy krawężniku, a ludzie zgromadzeni nad nią przekrzykiwali się nawzajem.

- Widziałem na własne oczy, wypadła jak...
- Czerwone światło...
- Na pewno pijana. Czuć na milę.
- Przysięgam na Boga, że jej nie zauważyłem!
- Chodźmy stąd. Lepiej, żeby nie wzięli nas na świadków.
- Chodź, Joe, no chodź już. Nie cierpię widoku krwi.

Krwi... – pomyślała panna Clarvoe. A zatem krwawię. Wszystko się spełniło, wszystko, co mówiła mi tamtej nocy. Zobaczyła w kryształowej kuli, że będę miała wypadek, że będę zakrwawiona i pokaleczona.

– Co tam dla ciebie trochę krwi, przecież bez przerwy oglądasz boks, prawda?

- Na pewno pijana...
- Na własne oczy...
- Niech ktoś wezwie karetkę.

– Ta pani w zielonym kapeluszu poszła zadzwonić po męża, jest lekarzem.

Młodzieniec w uniformie taksówkarza zdjął marynarkę i starał się wcisnąć ją pannie Clarvoe pod głowę. Odepchnęła ją i, z bólem, wstała. – Nic mi nie jest. Proszę zostawić mnie w spokoju.

Słowa te były zduszone i niewyraźne, ale młody człowiek usłyszał je. – Do przyjazdu lekarza ma pani leżeć.

– Nie potrzebuję lekarza.

– Miałem kurs pierwszej pomocy i w książce stoi jak byk: Ranny ma leżeć w cieple i...

– Nie jestem ranna. – Stała na nogi i zaczęła wycierać sobie twarz chustką, nie wiedząc, czy wyciera krew, czy pot po dzisiejszym bieganiu.

Tłum zaczął się rozchodzić – przedstawienie skończone, nikt nie zginął, szkoda, następnym razem będzie ciekawiej.

Jedynie młodzieniec w uniformie taksówkarza ociągał się. – To nie *moja* wina – powtarzał niespokojnie. – Wszyscy widzieli, że to nie moja wina. Wskoczyła mi pani przed maskę, nawet nie mogłem zahamować taksówki, w życiu nie widziałem nic tak szalonego.

Panna Clarvoe spojrzała na wejście do sklepu, przy którym tuż przed wypadkiem widziała Evelyn Merrick. Już zdążyła uciec. Albo usunęła się głębiej w cień, żeby tam zaczekać. W tym była najlepsza; w czekaniu w cieniu, kroczeniu w mroku i szukaniu nierozważnych ofiar.

Taksówkarz wciąż perorował, niezadowolony i wojowniczy. – Każdy widział, że zrobiłem, co tylko mogłem. Zatrzymałem się, tak? Chciałem udzielać pierwszej pomocy, tak?

– Och, niech już pan przestanie! Nie ma czasu na kłótnie. Nie ma *czasu*, powtarzam.

Cofnął się, zaskoczony.

– Nie rozu...

– Proszę mnie lepiej posłuchać. Jak się pan nazywa?

– Harry. Harry Reis.

– Słuchaj, Harry. Muszę stąd uciekać. Ktoś mnie śledzi. Była... kilka minut temu widziałam ją w tamtych drzwiach. Ona chce mnie zabić.

– Coś takiego. – Po ustach błąkał mu się drwiący uśmieszek. Nawet nie spojrzął na drzwi, które mu wskazywała. – A może pani skądś uciekła, co?

– Uciekła?

– No tak, uciekła. Przez jakąś dziurę w siatce.

W zdumieniu potrząsnęła głową. Zdawało jej się, że on mówi takimi samymi zagadkami jak ta gruba kobieta, Bella. Robak, małe zwierzątko, a teraz jakieś dziury w siatce. Były to wszystko słowa niby logiczne, ale panna Clarvoe nie mogła ich zrozumieć. Pomyślała: a może ja jestem cudzoziemką, może zbyt długo mnie tu nie było, zmienił się język i ludzie. Światem rządzą tacy jak Bella, Evelyn Merrick i Harry, malutki człowieczek z podstępny, znaczącym uśmieszkiem. Muszę wracać do swojego pokoju i zamknąć drzwi przed tymi wszystkimi potwornościami.

– Muszę...

– Jasne – przerwał jej Harry. – Jasne. Dla damy wszystko.

Zaczął prowadzić ją do swojej taksówki. Panna Clarvoe rzuciła zakrwawioną chustkę na chodnik i podążyła za nim. Nie czuła jeszcze żadnego bólu, tylko wszechogarniające odrętwienie, które unieruchamiało jej ciało jak gips.

Usiadła na tylnym siedzeniu i ciaśniej otuliła się płaszczem. Przypomniała sobie, jak ta blondynka z zakładu Belli pytała, co takiego szczególnego jest w tkaninach ze Szkocji. Panna Clarvoe nie wiedziała, ale znalezienie odpowiedzi na to pytanie wydało jej się niezmiernie ważne. Na całym świecie są przecież owce, mnóstwo owiec, ale może szkockie owce dają lepszą wełnę... Wełna... Owce... Czarna owca... Blackshear. Zapomniała o nim. Znajdował się całe mile i lata stąd, nawet nie mogła przypomnieć sobie jego twarzy, pamiętała tylko, że trochę przypominała twarz ojca.

W taksówce było ciemno i ciepło, z radia dobiegała jakaś debata polityczna. Jej wszyscy uczestnicy mieli bardzo zdecydowane poglądy, wyrażali się niezmiernie stanowczo, wiedzieli, gdzie przepadł dzień i czego spodziewać się po nocy.

Harry wsiadł i wyłączył radio.

– Dokąd jedziemy?

– Do hotelu Monica.

– Pani tam mieszka?

– Tak.

– Od dawna?

– Tak.

– Bez przerwy?

– Tak.

Zorientowała się, że jej nie wierzy. W co on wierzył? Gdzie były te dziury w siatce, przez które miała rzekomo uciekać? Nigdy wcześniej nie widziała Harry'ego, przenigdy, tego była pewna. Zachowywał się jednak tak, jakby znał jej wszystkie sekrety, jej brudne sekrety.

– Zapłacę ci – zapewniła. – Pieniądze mam w apartamencie.

- Tak, psze pani.
- Przyślę ci na dół boya z pieniędzmi.
- Tak, psze pani.

Po jego tonie poznała, że nie spodziewa się żadnych pieniędzy, że stara się jej nie zaprzeczać, tylko postępować tak, jakby postąpił z każdym pijakiem, kłamcą czy wariatem, którego akurat musiałby wieźć. Klient ma zawsze rację.

W lusterku wstecznym odbiły się światła samochodu jadącego za nimi i panna Clarvoe mogła przez chwilę widzieć twarz Harry'ego dość wyraźnie. Była młoda, miła i bardzo, bardzo szczerą. Na twarzy grubej kobiety rysowały się wszystkie jej troski i złośliwość, natomiast młoda, nijaka twarz Harry'ego skrywała je, tak jak pozornie zdrowa skórka jabłka skrywa toczące je robaki.

Ale nawet taki Harry, o policzkach świeżych jak skórka jabłka i głowie pełnej robaków, wiedział, gdzie podział się jego dzień. A jej dzień zaginął, upuściła go gdzieś jak chustkę i podniosła już jako brudną ścierkę z podłogi u dziwki.

- Harry.
- Tak, psze pani? – W jego głosie wciąż pobrzmiwała sardoniczna uprzejmość.
- Jaki mamy dzisiaj dzień?
- Czwartek.

Czwartek. Dziś rano zginął Douglas. Pan Blackshear przyszedł do hotelu, żeby mi o tym powiedzieć. Obiecałam, że pojedę do domu i dotrzymam towarzystwa matce. Pan Blackshear zaoferował, że mnie podwiezie, ale odmówiłam. Nie chciałam, żeby mnie znów dotykał. Bałam się. Wyszłam i czekałam przed hotelem na taksówkę. Mijali mnie ludzie, obcy, całe setki obcych. Byłam bardzo zdenerwowana i przejęta. Ci ludzie mnie przerażali i nie



chciałam wracać do domu, stawiać czoła matce, słuchać, jak wciąż wspomina biednego, nieżywego Douglasa, tak jak wspominała ojca. Wiedziałam, jakie odstawi przedstawienie, zawsze to robi, i zawsze tylko na pokaz.

Taksówki mnie mijały, niektóre puste, ale nie mogłam się zdobyć, żeby którąś z nich zatrzymać. Wtedy ktoś mnie zawołał, odwróciłam się i ujrzałam Evelyn Merrick. Stała tuż obok, uśmiechała się, była bardzo pewna siebie. Nic nie obchodzili ją obcy ludzie, ruch uliczny; zawsze lubiła tłum i gwar, im więcej, tym weselej. Trzymałam głowę wysoko, udając, że jestem tak samo opanowana i pewna siebie jak ona. Ale to nie poskutkowało. Evelyn nigdy nie dawała się zwieść. Powiedziała: „Boisz się, prawda?” – i wzięła mnie za rękę. Nie przeszkadzało mi to. Zazwyczaj nie lubię, jak mnie ktoś dotyka, ale to było coś innego. Ten dotyk sprawił, że poczułam się pewniejsza. „Chodź, napijemy się” – powiedziała.

*Chodź, napijemy się, stracimy dzień, upuścimy chustkę.*

– Pani coś powiedziała?

– Nie.

– Tak jak mówiłem, jeśli zmieni pani zdanie i zechce wracać...

– Dokąd wracać?

– Tam, gdzie pani mieszka.

– Nie wiem, co ty sugerujesz – odparła najspokojniej, jak tylko mogła. –

*Właśnie* wracam tam, gdzie mieszkam. Do hotelu Monica. Prawie od roku wynajmuję tam apartament. Czy wszystko już jasne?

– Tak, psze pani. – A w jego głosie słychać było: Jasne jak noc. Harry nie był głupi i wiedział swoje, a czasem nawet i nieswoje, i był prawie pewien, że tej kobiecie nieobce są narkotyki, prawdopodobnie barbiturany. Widać przecież, że jest damą, a damy nie przepadają za heroiną. Nembutal jest o wiele

przyjemniejszy w stosowaniu i zdobywaniu. Nie trzeba sterczeć na ulicy czy na zapleczu jakiejś speluny w oczekiwaniu na dealera. Barbiturany można dostać, siedząc sobie w miłym, wyściełanym fotelu w wytwornym gabinecie lekarskim, wystarczy opowiedzieć doktorowi historyjkę o przemęczeniu, podenerwowaniu i problemach z zasypianiem.

Ale nie zawsze uzyskuje się sen. Czasem ma to odwrotne działanie, zmusza do przeróżnych szaleństw, na przykład do rozbierania się na środku Pershing Parku czy pędzenia po Sunset Boulevard z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę i wyklócania się z policjantami. Damy czasem bywają jeszcze gorsze niż zwykłe kobiety...

Spojrzał na pannę Clarvoe. Siedziała skulona w prawym kącie taksówki, objęła ramionami klatkę piersiową, a jej wargi poruszały się bezgłośnie, jak w modlitwie:

Wzięła mnie za rękę, pamiętam, wzięła mnie za rękę jak starą przyjaciółkę i powiedziała: *Godiona gavotch*. W szkole to było nasze tajemne hasło, jeśli byliśmy w tarapatach i potrzebna była pomoc. *Godiona gavotch*, powtórzyłam, i nagle było tak, jakby te lata wcale nie minęły, znów byliśmy przyjaciółkami, chichoczącymi po zgaszeniu świateł, namawiającymi się na panią od francuskiego, dzielącymi się przysmakami z domu. „Chodź, napijemy się” – powiedziała. Zawsze tak było, to Evelyn wszystko inicjowała, to ona miewała różne pomysły i sugestie. A ja za nią. Wielbiłam ją, chciałam być dokładnie taka jak ona, poszłabym za nią wszędzie, jak owca, jak koza, jak ofiara. Już wtedy zostałam naznaczona, a znaki te nie zniknęły z czasem, tylko stały się jeszcze bardziej wyraźne. Nawet Harry to wie. Patrzy na mnie z pogardą, pogardą ocieka jego głos.

Jabłkolicy Harry, widzę twoje robaki.

– Chce pani podjechać od frontu?

– Nie mam w zwyczaju korzystać z wejścia dla służby.

– Tak tylko myślałem, bo wygląda pani jak sto nieszczęść...

– Nie szkodzi. – Szkodziło. Marzyła o wkradnięciu się tylnym wejściem i czmychnięciu do pokoju, tak żeby jej nikt nie zauważył, ale było to niemożliwe. Klucze miała w torebce, którą straciła. – A jeśli chodzi o zapłatę, ześlę tu na dół boya z pieniędzmi. Ile to będzie?

– Równe trzy dolary. – Zatrzymał taksówkę pod markizą hotelową, ale nie ruszył się, żeby wyjść i otworzyć jej drzwi. Nie spodziewał się napiwku, nie spodziewał się nawet opłaty i nawet się tym nie przejmował. Dama ta przyprawiała go o gęsią skórę, chciał się jej jak najszybciej pozbyć.

Panna Clarvoe sama otworzyła sobie drzwi, wysiadła na chodnik i postawiła kołnierz, żeby ukryć ranę pod uchem. Poszarpanych pończoch i podartego płaszcza nie mogła ukryć, więc przeszła przez hall tak szybko, jak tylko mogła, starając się prześcignąć wścibskie spojrzenia.

Pan Horner, leciwy recepcjonista, zajęty był właśnie rejestrowaniem nowych gości, ale jak tylko zobaczył pannę Clarvoe, rzucił wszystko i z otwartymi ustami przysunął się do niej, a wyłupiaste oczy o mało co nie wyskoczyły mu z orbit.

– Ależ to panna Clarvoe! Panno Clarvoe, na miłość boską...

– Straciłam klucze. Mogę prosić o komplet zapasowy?

– Wszyscy pani szukają, panno Clarvoe. Po prostu wszyscy. Oni wręcz...

– Nie muszą już szukać.

– Ale co się z panią działo?

Odpowiedziała bez wahania. – Dzień był tak piękny, że postanowiłam zrobić sobie małą wycieczkę na wieś. – Czy naprawdę dzień był piękny? Nie

wiedziała. Tak jak nie pamiętała, co się stało tego dnia, nie pamiętała też pogody. – Wieś – ciągnęła — jest przepiękna o tej porze roku. Kwitnie łubin, wie pan. Przepięknie. – Kłamstwa łatwo spływały jej z języka. Nie mogła ich powstrzymać. Byle jakie słowa są lepsze niż żadne, byle jakie wspomnienie jest lepsze niż biała plama. – Potknęłam się niestety o jakiś głaz i podarłam płaszcz i pończochy. – Gdy tak opowiadała, cała ta scena stanęła jej wyraźnie przed oczami. Pojawiły się szczegóły, kształt i kolor tego głazu, wzgórze pokryte błękitem łubinu i poprzetykane oranżem dzikich maków, a za wzgórzami szarzielone, niskie góry, porośnięte karłowatymi, poskręcanyimi drzewami.

– Trzeba było komuś o tym powiedzieć – oznajmił oskarżycielsko Horner. – Wszyscy tu odchodzili od zmysłów. Była tu też policja, razem z jakimś panem Blackshearem.

– Policja?

– Musiałem wpuścić ich do pani apartamentu. Nalegali. Nie mogłem nic zrobić. – Oparł się o blat recepcji i dodał konspiratorskim szeptem: – Myśleli, że porwała panią jakaś wariatka.

Twarz panny Clarvoe pokryła się rumieńcem, lecz zaraz potem zbladła i zszarzała. Porwała ją jakaś wariatka? Nie, to wcale nie tak. Poszłam ze starą przyjaciółką na drinka. Obcy ludzie i ruch napawali mnie lękiem, czułam się oszołomiona, a ona mnie wyratowała. Wzięła mnie za rękę i poczułam się bezpieczna. Sama byłam nikim, ale mając

Evelyn u boku, widziałam, że ludzie przyglądają się nam ciekawie, że podziwiają nas nawet. „Chodź, napijemy się” – powiedziała.

Mogłam tak stać całą wieczność, podpatrywana, podziwiana, to cudowne uczucie. Ale Evelyn lubi wciąż nowe podniety, musi być ciągle w ruchu.

Powtarzała: Chodź, chodź, chodź, jakby przyszedł jej do głowy jakiś fascynujący plan i pragnęła się nim ze mną podzielić. Ja powiedziałam: „Obiecałam, że wrócę do domu i zostanę z matką, bo Douglas nie żyje”. Obrzuciła ich oboje jakimś wyzwiskiem, matkę i Douglasa, a ja byłam wstrząśnięta, więc nazwała mnie cnotką. Nigdy nie chciałam być cnotką, nie wiedziałam po prostu, jak być kimś innym. „Mam takiego przyjaciela – mówiła Evelyn. – Jest strasznie zabawny, prawdziwy z niego kawalarz. Chodźmy do niego, pośmiejemy się”. Douglas nie żył, mój własny brat, nie powinno mi więc być do śmiechu, ale było. Spytałam, co to za kawalarz, i pamiętam, co mi odpowiedziała. Dziwne, jak to nazwisko utkwiło mi w pamięci, choć zapomniałam o tylu innych rzeczach. Jack Terola. „To fotograf-artysta – powiedziała Evelyn. – Zrobi mi takie zdjęcia, że będą je pokazywać w całym kraju. Uczyni mnie nieśmiertelną”. Poczulałam ukłucie zazdrości. Też chciałam być nieśmiertelna.

– Musiałem współpracować z policją – mówił pan Horner. – Nie miałem wyboru. Mogłem albo dać im klucze do pani apartamentu z własnej woli, albo zabraliby mi je przemocą.

– Nie podoba mi się, że ktoś wtyka nos w moje sprawy.

– Przecież wszyscy działali w pani jak najlepszym interesie.

– Doprawdy?

– W końcu wszystko mogło się zdarzyć.

– Zdarzyło się to, że wybrałam się z przyjaciółką na wieś.

– A, tak. Zobaczyć kwitnący łubin.

– Zgadza się.

Pan Horner odwrócił się, pogardliwie wydymając usta. Był listopad. Łubin nie zakwitnie jeszcze przez trzy czy cztery miesiące.

Wrócił z kompletem zapasowych kluczy i położył je na blacie. – Mam też dla pani kilka wiadomości. Ma pani natychmiast zadzwonić do pana Blacksheara, który w tej chwili jest w domu pani matki.

– Dziękuję.

– Och, i jeszcze ktoś prosił, żebym włożył do pani przegródki ten liścik. Jakaś młoda dama.

Złożona na pół kartka hotelowej papeterii pokryta była zamaszystym, pretensjonalnym pismem:

*Czekam w hallu. Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. Evelyn Merrick.*

Chciała uciekać, ale przemęczone nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Biegła już za długo, za szybko, tyloma obcymi, przerażającymi ulicami. Wiedziała, że ucieczka jest niemożliwa. Jutro albo pojutrze, albo w przyszłym tygodniu, za jakimś zakrętem czasu, Evelyn Merrick będzie już na nią czekać.

Odwróciła się i ujrzała Evelyn Merrick, zmierzającą przez hall w jej kierunku, przedzierającą się przez tłum. Dzień, który zmienił pannę Clarvoe, zmienił też Evelyn. Nie uśmiechała się już i nie była tak pewna siebie jak wtedy na ulicy. Miała ponurą twarz nieznajomej, zimne oczy, ubrana była na czarno, jak na pogrzeb.

– Widzę, że dostałaś mój list.

– Tak – powiedziała panna Clarvoe. – Dostałam.

– Musimy porozmawiać.

– Tak. – Tak, musimy. Muszę dowiedzieć się, w jaki sposób straciłam ten dzień, w jaki sposób minuty minęły, nie dotykając mnie, jak spieszące się ptaki. Dzikie gęsi pędzące na południe. Nie ma ich już, szukaj wiatru w polu. Pamiętam, jak ojciec zabrał nas kiedyś na polowanie, Evelyn i mnie. Ojciec był akurat na mnie zły, bo od słońca bolała mnie głowa. Powiedział, że jestem mazgajem, który wszystkim psuje zabawę. Powiedział: *Czemu nie możesz być taka jak Evelyn?*

– Wszyscy się o ciebie martwili – oświadczyła nieznajoma. – Gdzie byłaś?

– Przecież doskonale wiesz, gdzie byłam. Byłam z tobą.

– O czym ty mówisz?

– Pojechałyśmy razem na wieś... zobaczyć łubin... my...

Głos nieznajomej był ostry i brzydki. – Zawsze opowiadałaś nie-stworzone kłamstwa, Helen, ale tego już za wiele. Nie widziałam cię od prawie roku.

– Nie usiłuj się teraz wypierać...

– Nie usiłuję. Wypieram się!

– Proszę, nie podnoś głosu. Ludzie się gapią. Nie mogę na to pozwolić. Muszę dbać o reputację, o dobre imię.

– Nikt przecież nie zwraca na nas najmniejszej uwagi.

– Właśnie, że tak. Widzisz, podarłam pończochy i płaszcz na wsi. Zapomniałaś już, jak pojechałyśmy na wieś, ty i ja, żeby zobaczyć łubin. Potknęłam się o jakiś głaz i upadłam. – Pod koniec tego zdania głos jej zaczął się wznosić, jakby chciała postawić tam znak zapytania a jej oczy były niepewne i przestraszone. – Teraz... teraz już sobie przypominasz?

– Nie mam czego sobie przypominać.

– Nie masz?

– Nie widziałam cię prawie od roku, Helen.

– Ale dzisiaj rano... dzisiaj rano widziałyśmy się pod hotelem. Zaprosiłaś mnie na drinka, powiedziałaś, że właśnie idziesz do przyjaciela, który ma uczynić cię nieśmiertelną, i zaprosiłaś mnie, żebym z tobą poszła.

– To przecież bez sensu.

– To ma sens! Pamiętam nawet nazwisko tego człowieka. Terola. Jack Terola.

Głos Evelyn był cichy i natarczywy. – Poszłaś zobaczyć się z tym człowiekiem, z Terolą?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że... obie poszłyśmy, ty i ja. Przecież sama nigdy bym nie poszła w takie miejsce, a poza tym Terola to twój przyjaciel, a nie mój.

– Nigdy wcześniej nie spotkałam się z tym nazwiskiem. Do momentu, kiedy ujrzałam je w popołudniowych gazetach.

– W gazetach?



– Terola dziś przed południem został zamordowany – odparła Evelyn. – To bardzo ważne, żebyś sobie przypomniała, Helen. Czy poszłaś do niego dzisiaj rano?

Panna Clarvoe milczała, jej twarz była kompletnie bez wyrazu.

– Czy dzisiaj rano widziałaś się z Terolą, Helen?

– Ja muszę... muszę pójść na górę.

– Ale musimy porozmawiać.

– Nie. Nie, ja muszę pójść na górę i zamknąć drzwi przed tymi wszystkimi potwornościami. – Odwróciła się wolno i ruszyła w kierunku windy, przygarbiona, z pięściami wciśniętymi w kieszenie płaszcza, jakby chciała uniknąć wszelkiego kontaktu z ludźmi.

Zaczekała, aż z jednej z wind wszyscy wysiądą, weszła do środka i kazała windziarzowi natychmiast zatrzasnąć drzwi. Stary, zmęczony windziarz wzrostem przypominał dziecko, zupełnie jak gdyby lata spędzone w maleńkiej windzie zahamowały jego rozwój. Był przyzwyczajony do dziwactw panny Clarvoe, takich jak samotne jeżdżenie windą, a dostawał od niej tyle napiwków, że mógł folgować tym zachciankom.

Zatrzasnął drzwi, a gdy winda zaczęła jechać w górę, utkwiał wzrok we wskazówce pokazującej mijane piętra.

– Mroźny mamy dzień, panno Clarvoe.

– Nie wiem. Ja mój straciłam.

– Słucham, psze pani?

– Straciłam swój dzień – powtórzyła wolno. – Wszędzie szukałam, ale nie mogę go znaleźć.

– Pani... pani dobrze się czuje, panno Clarvoe?

– Nie nazywaj mnie tak.

- Co proszę?
- Mów do mnie: Evelyn.
- Oczywiście, psze pani.
- No, dalej, powiedz to. *Powiedz: Evelyn.*
- Evelyn – powiedział staruszek i zaczął się trząść.

Jak tylko znalazła się w apartamencie, przekreśliła zaraz klucz w drzwiach i, nawet nie zdejmując płaszcza, podeszła do telefonu. Wykręcając numer, czuła narastające podniecenie, wzbierające w niej niczym lawa w kraterze wulkanu.

- Pani Clarvoe?
- Czy to... czy to ty, Evelyn?
- Oczywiście, że to ja. Wyświadczyłam pani jeszcze jedną przysługę.
- Błagam. Miej litość...
- Proszę nie beczeć. Nie cierpię tego. Nie cierpię mazgajów.
- Evelyn...
- Chciałam tylko powiedzieć, że odszukałam dla pani Helen. Trzymam ją pod kluczem w tym jej pokoju hotelowym, całą i zdrową.
- A dobrze się czuje?
- Niech się pani nie martwi. Już ja się nią zajmę. Tylko ja wiem, jak ją traktować. Była niegrzeczną dziewczynką, potrzebuje trochę dyscypliny. Kłamie, wie pani, ona strasznie kłamie, muszę jej więc dać porządną lekcję, tak jak tym pozostałym.
- Daj mi porozmawiać z Helen.
- O, nie. Ona teraz nie może rozmawiać. To nie jej kolej. Zmieniamy się, pani rozumie. To bardzo kłopotliwe, bo Helen nigdy nie pozwala mi zabrać głosu, muszę więc zabierać go siłą. Po wypadku była osłabiona i pękała jej

głowa, więc go po prostu zabrałam. Ja czuję się dobrze. Nigdy nie choruję. Zostawiam to jej. Wszystkie te okropności, choroby, starzenie się, wszystko to zostawiam jej. Ja mam tylko dwadzieścia jeden lat, a ta jędza ponad trzydzieści...

Evelyn Merrick czekała w hallu na Blacksheara, który zjawił się dwadzieścia minut później.

– Przyjechałem tak szybko, jak mogłem – powiedział. – Gdzie jest Helen?

– Zamknięta w pokoju. Poszłam za nią na górę i chciałam z nią pomówić, ale nie zwracała uwagi na moje pukanie. Więc słuchałam pod drzwiami. Słyszałam ją.

– Co robiła?

– Przecież pan wie, co robiła. Mówiłam o tym, gdy do pana dzwoniłam. Rozmawiała przez telefon, używała mojego imienia, mojego głosu, udawała, że jest mną.

– Chciałbym, aby to było tylko udawanie, zwykła dziecięca zabawa – odparł ponuro.

– A nie jest?

– To rzadka forma szaleństwa, panno Merrick, choroba, którą z początku przypisywałem pani. Lekarz nazwałby to rozdwojeniem jaźni. Ksiądz nazwałby to opętaniem przez diabła. Helen Clarvoe jest opętana przez diabła, któremu nadała pani imię.

– Dlaczego ona mi to zrobiła?

– Chce pani pomóc mi dowiedzieć się tego?

– Sama nie wiem. Co miałabym robić?

– Pójdziemy na górę i pomówimy z nią.

– Nie wpuści nas.

– Możemy spróbować – odparł Blackshear. – To jedyne, co możemy dla Helen zrobić – próbować. Próbować, przegrywać i próbować znowu.

Wjechali windą na drugie piętro i udali się długim, wykładanym dywanami korytarzem do apartamentu panny Clarvoe. Drzwi były jednak zamknięte i nie prześwitywało spod nich żadne światło, ale Blackshear słyszał kobiecy głos dochodzący z pokoju. Nie był to głos Helen – zmęczony i bezbarwny, lecz głośny, arogancki i piskliwy, jak u pensjonarki.

Zastukał stanowczo do drzwi i zawołał:

– Helen? Wpuść mnie.

– Odejdź, stary durniu, i zostaw nas w spokoju.

– Jesteś tam, Helen?

– No i zobacz, w co mnie wpakowałaś. Odnalazł mnie. Tego właśnie chciałaś, tak? Zawsze mi zazdrościłaś, zawsze chciałaś wykluczyć mnie ze swojego życia. I teraz dopięłaś swego, sprawiłaś, że ten Blackshear i policja ścigają mnie jak jakąś kryminalistkę. Nie jestem kryminalistką. Terolę tylko dotknęłam lekko nożyczkami, żeby dać mu lekcję. Skąd mogłam wiedzieć, że ma ciało miękkie jak masło? Normalny mężczyzna nawet by nie krwawił, tak leciutki był mój dotyk. Nie moja wina, że ten biedny głupiec zmarł. Ale policja mi w to nie uwierzy. Muszę się z tobą ukryć. Tylko ty i ja, co ty na to? Jak Bóg mi świadkiem, jeśli ja to zniosę, to i ty powinnaś. Marne mam z ciebie towarzystwo, staruszko, sama mi to przyznasz. Od czasu do czasu chyba więc wymknę się na troszkę, żeby się zabawić.

Blackshear chciał znów zawołać, ale z rozpaczy słowa uwięzły mu w gardle: *Walcz, Helen. Walcz z nią. Postaw się jej.* Zaczął walić w drzwi pięściami.

– Tylko posłuchaj! On stara się wyłamać drzwi, żeby uratować swą ukochaną. Czy to nie wzruszające? Nie zdaje sobie sprawy, ile drzwi będzie musiał wyłamać, to tylko pierwsze. Jest ich jeszcze ze sto, a ten żaloszny idiota myśli, że uda mu się to gołymi pięściami. Zabawny dzieciak. Każ mu sobie iść, Helen. Powiedz mu, żeby dał nam spokój. Powiedz, że jeśli sobie nie pójdzie, już nigdy nie zobaczy cię żywej. No, dalej. Mów. *Mów*, ty wstrętna wiedźmo!

Nastąpiła chwila ciszy, a potem dał się słyszeć głos Helen, urywany szept:

– Panie Blackshear. Paul. Odejdź.

– Helen, zaczekaj. Pomogę ci.

– Odejdź, odejdź.

– Słyszałeś, kochasiu? Odejdź, powiada. Kochasiu. Boże, to takie zabawne. Ale romans ci się przytrafił, Helen. *Naprawdę* myślałaś, że ktoś mógłby się w tobie zakochać, stara wiedźmo? Spójrz, pokrako, w kryształową kulę.

Zaniosła się śmiechem. Jego dźwięk wznosił się i opadał, jak syrena wyjąca na alarm, raptem nastąpiła cisza, jakby krzykliwa noc wstrzymała oddech.

Blackshear przycisnął usta do szpary w drzwiach. – Helen, posłuchaj.

– Odejdź.

– Otwórz drzwi. Jest tu ze mną Evelyn Merrick.

– Kłamiesz.

– Otwórz drzwi, to się przekonasz. Ty nie jesteś Evelyn. Evelyn jest ze mną.

– Kłamiesz, kłamiesz, kłamiesz!

– Proszę cię, Helen, wpuść nas, to ci pomożemy... Panno Merrick, proszę coś do niej powiedzieć.

– Nie chcemy cię oszukać, Helen – oświadczyła dziewczyna. – To naprawdę jestem ja, Evelyn.

– Kłamiecie! – Ale usłyszeli szcęk zamka i odsuwanie łańcucha, a w drzwiach wolno ukazała się udręczona twarz panny Clarvoe. Zwróciła się do Blacksheara, jej blade usta mełły słowa wolno i z wysiłkiem: – Helen tu nie ma. Odeszła. Jest stara, chora i nieszczęśliwa i chce, żeby ją zostawić w spokoju.

– Wysłuchaj mnie, Helen – powiedział Blackshear. – Nie jesteś stara i chora...

– *Ja* nie jestem. *Ona* owszem. Myli ci się. Ja jestem Evelyn. Ja czuję się dobrze. Mam dwadzieścia jeden lat. Jestem ładna. Jestem lubiana, świetnie się bawię. Nigdy nie choruję ani się nie męczę. Będę nieśmiertelna. – Przerwała gwałtownie i wlepiła zafascynowany, ale i zde gustowany wzrok w Evelyn Merrick. – Ta dziewczyna... co to za jedna?

– Wiesz przecież, kto to jest. To Evelyn Merrick.

– To oszustka. Pozbądź się jej. Każ, żeby odeszła.

– Dobrze – powiedział niechętnie. – Dobrze. – Odwrócił się do Evelyn: – Niech pani lepiej zejdzie do hallu i zadzwoni po lekarza.

Panna Clarvoe obserwowała, jak Evelyn oddała się korytarzem i wsiada do windy.

– Czemu miałyby dzwonić po lekarza? Jest chora?

– Nie.

– Więc czemu, skoro nie jest chora, miałyby dzwonić po lekarza? – Po czym dodała ze złością: – Nie przepadam za tobą. Jesteś taki podstępny.

Podstępny staruch. Jesteś dla mnie za stary. Nie miałabym z ciebie żadnego pożytku. Ja mam zaledwie dwadzieścia jeden lat. Mam setki chłopaków...

– Helen, proszę cię...

– Nie nazywaj mnie tak, nie wypowiadaj tego imienia. Nie jestem Helen.

– Właśnie, że jesteś. Jesteś Helen i nie chcę, abyś była kimkolwiek innym. Lubię cię taką, jaka jesteś. Inni też cię polubią, jeśli im tylko pozwolisz. Polubią cię za to, jaka jesteś, tylko dla ciebie samej, Helen.

– Nie! Nie jestem Helen, nie chcę być Helen! Nienawidzę jej!

– Helen to wspaniała młoda kobieta – powiedział cicho. – Inteligentna, wrażliwa i, owszem, ładna też.

– Ładna? Ta pokraka? Ta wiedźma? Ta szkarada?

Zaczęła zamykać drzwi, ale Blackshear naparł na nie całym ciężarem. Puściła je i odsunęła się z przejścia, wycofała się do pokoju, z jedną ręką schowaną za plecami, jak dziecko usiłujące ukryć jakiś niedozwolony przedmiot. Blackshear nie musiał jednak zgadywać, co ukrywa. Widział to w okrągłym lustrze wiszącym nad telefonem.

– Odłóż ten nóż do papieru, Helen. Połóż go na biurku, tam, gdzie jego miejsce. Jesteś bardzo silna, jeszcze niechcący zrobisz komuś krzywdę... A tak w ogóle, to gdzie poznałaś Terolę, Helen?

– W barze. Wpadł na drinka, spojrzał na mnie i zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia. Jak wszyscy mężczyźni. Nie mogą mi się oprzeć. Ma się ten magnetyzm. A ty go czujesz?

– Tak. Tak, czuję. I odłóż ten nóż, Helen.

– Nie jestem Helen! Jestem Evelyn. Powiedz. Powiedz, że jestem Evelyn.

Wpatrywał się w nią i nic nie mówił. Nagle zerwała się i podbiegła do lustra. Ale swojej twarzy w nim nie zobaczyła. To w ogóle nie była twarz,

tylko tuzin twarzy, krążących wokół – Evelyn i Douglas, i Blackshear, i Verna, i Terola, i ojciec, i panna Hudson, i Harley Moore, i recepcjonista, i malutki windziarz – twarze ich krążyły jak w diabelskim kole, a ich wargi poruszały się wciąż i krzyczały: „Co z tobą, mała, oszalałaś?” „Zawsze opowiadałaś niestworzone kłamstwa”. „Jaka szkoda, że nie mamy córki takiej jak Evelyn”. „I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu”. „Dlaczego nie możesz być taka jak Evelyn?”

Głosy umilkły, wielkie koło stanęło i w lustrze została tylko jedna twarz. Jej własna, poruszające się wargi były jej własnymi wargami, a słowa, które wypowiadały, mówił jej własny głos:

– Boże, ratuj.

W męczarniach, pojedynczymi pchnięciami bólu, wróciły jej wspomnienia. Przypomniała sobie bary, kabiny telefoniczne, dziki bieg, nieznane ulice. Przypomniała sobie Terolę i jego dziwne, niedowierzające spojrzenie na moment przed śmiercią, i gryzący swąd przypalającej się kawy. Przypomniała sobie, jak brała pieniądze ze spiętego pliku i jak później myślała, że ktoś je ukradł. Przypomniała sobie kota w alejce i promienie nocy, smak deszczu, młodego człowieka, który śmiał się, bo była nieprzemakalna...

– Daj mi ten nóż, Helen.

W lustrze widziała Blacksheara zbliżającego się wolno i ostrożnie, jak myśliwy, który dostrzegł ofiarę.

– Już dobrze, Helen. Nie denerwuj się. Wszystko będzie dobrze.

Zamilkł na chwilę, a potem zaczął przemawiać cichym, przekonującym głosem, mówił o lekarzach i szpitalach, i odpoczynku, i trosce, i przyszłości. Zawsze o przyszłości, jakby była określona i namacalna, rumiana i okrągła jak jabłko.



Zapatrzyła się w kryształową kulę lustra i ujrzała swoją przyszłość, noce zatrute wspomnieniami, dni przeżarte przez pragnienia.

– To tylko kwestia czasu, Helen. Wkrótce ci to przejdzie.

– Cicho bądź – rzuciła. – Kłamiesz.

Spojrzała na trzymany w rękę nóż i pomyślała, że tylko on mówi prawdę, że jest jej jedynym, ostatnim przyjacielem.

Przycisnęła nóż do miękkiego zagłębienia w szyi. Nie czuła bólu, tylko zaskoczenie, że jej krew tak ładnie wygląda, jak jaskrawe, niekończące się wstążki, których nigdy już nie będzie można zawiązać.

TCLLR